

bezwierszówki

SDP

Stowarzyszenie
Dziennikarzy
Polskich

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

nr 12 (150) grudzień 2017

ISSN 1732-7237



W numerze: **HISTORYCY IPN PRZEDSTAWIAJĄ...**

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.



Oferujemy:

- 130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych
- Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)
- Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking



Zapraszamy:

*uczestników kongresów,
szkoleń, konferencji
i gości indywidualnych.*

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com



**Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.**



W NUMERZE

Aktualności z kraju	2
Mokrosińska: Zjazd w Kazimierzu	5
Władze SDP	6
Szymański: O dziennikarstwie we Lwowie	7
Sprawa Oddziału Lubelskiego	8
Truszczyński: SDP ze wspomaganiami	11
Marsz Niepodległości 2017	12
Wegner: Polska jeszcze nie skarłała	14
Palczewski: Ochrona źródeł informacji	15
Nieśpiał: Uwielbiam prasę lokalną	15
Piórem Małgorzaty Todd	16
Kłopotowski: Po co nam PISF	17
Piórem Krystyny Mokrosińskiej	17
Jachowicz: Przedsmak w wojnie o media	18
Kwiatek: Głupia piosenka	18
Stychlerz-Kłucińska: Krytyka cnoty!	19
Twarze mediów: Bronisław Sałuda	20
Widziane z Warszawy...	22
Biernacki: Nie zostawił tutaj żadnego dziedzica	24
Okuniewski: <i>Multum in parvo...</i>	26
Goljat: Polak potrafi	30
Wyspa wolności W. Gadowskiego	34
Sztumski: Ikonostas olsztyński	35
Fundacja Dzieciom	36
Wojtczak: Mamo, dam radę	38
Pamięci redaktora Nowakowskiego	40
Nowakowski: Obóz Wszystkich Świątych	41
Falkowski: Jan Dantyszek w Olsztynie	44
Grelewski: Rok Josepha Conrada	45
Stworzyć modę na Moniuszkę	48
Złakowski: Niezłomny Warmiak	50
Historycy IPN przedstawiają...	51
Mieszczanek: Powracanie ziemian - III	62
Królikowska-Avis: Jeszcze jedno pożegnanie	66
Prezydent RP: „Odszedł od nas człowiek...”	67
Ci, co wskrzesili ducha Grunwaldu	68
Bažanowski: <i>Kancjonał mazurski</i>	69
Kłopotowski: O filmie „Pokot”...	70
Sokołowski: Medialna galaktyka	71
Brzozowski: Okiem satyryka	71

NA OKŁADCE

I strona: „Droga do kościoła w Sętału”,

Fot. © Henryk Cirut, 2017

IV strona: Henryk Cirut,

„Hydroformy”, 2016

Od naczelnego



FOT. © DPT, KAZIMIERZ DOLNY

Nowe... po starym?

W gościnnych progach Domu Pracy Twórczej Dziennikarzy w Kazimierzu Dolnym, kierowanym przez dyrektora Andrzeja Kociubę, minęły dwie ważne doby dla naszej dziennikarskiej organizacji. Przynajmniej z takimi nadziejami przybywała chyba większość delegatów z szesnastu regionalnych oddziałów SDP.

O potrzebie zmian na wielu płaszczyznach naszego Stowarzyszenia – jak żadne inne media SDP – pisaliśmy szeroko. Szkoda, że wysuwane postulaty na wielu (zwłaszcza tych, którzy zgodnie z dyrektywami zamienili się w przysłowiową „maszynkę do głosowania”), nie wywarły chyba większej refleksji. Nie liczyły się argumenty, często bardzo poważne, nie liczyło się dobro dziennikarskiej organizacji, a jedynie to, aby „nasi” zostali...

Zabrakło prawdziwej dyskusji nad rzeczywistymi problemami, przed którymi stoi nasze Stowarzyszenie. Ograniczono się właściwie do monologów, wrzucanych jako przerywniki pomiędzy głosowaniami. Podjęte „próby wnioskowania o wcześniejszą dyskusję programową zostały utracone. I tak zdychały powoli wszystkie [...] nadzieje, że da się jakoś posklejać podzielone środowisko” – stwierdza w swojej krótkiej relacji ze Zjazdu prezes Krystyna Mokrosińska (zob. s. 5).

Wprawdzie padły bardzo krytyczne słowa pod adresem ustępującego Zarządu Głównego od osób, które od środka znały sytuację, dotyczące m. in. upolitycznienia, braku transparentności i wolności słowa,

nieskoordynowanej działalności zagranicznej czy wykorzystywania majątku SDP w prywatnej działalności medialnej. Za słowa prawdy, odważnych spotkała kara... albo nie weszli do władz krajowych, albo zostali „odstawieni na boczny tor”. Wyborcza walka ma oczywiście swoje prawa, jednak może budzić zdziwienie stosunek prezesa Skowrońskiego (lat 52) do redaktora Truszczyńskiego (lat 75), który przez ostatnie dwanaście lat – jako sekretarz generalny SDP – z wielkim poświęceniem pracował dla naszego dobra.

„Skrytykowałem naszą władzę – pisze red. Stefan Truszczyński w tym wydaniu „Bez Wierszówki” – i już prezes stracił mnie z pozycji sekretarza generalnego. Prawda, że większość kolegów w Zarządzie Głównym to zaakceptowała, więc nie ma co podskakiwać” (s. 11). I dalej redaktor Truszczyński dodaje: „nie martwię się oczywiście zbyt, bo wiem, że moja krzywda w dobro się odwróci, a przecież zło dobrem trzeba zwyciężać”.

Nowa kadencja 2017-2020 – rozpoczęta; władze ukonstytuowane. Jakaż to kadencja będzie? Czy choć trochę zmieniony zostanie kurs? Za kilka miesięcy czeka nas Zjazd programowy!

A przed nami świąteczny czas... Zatem Koleżankom i Kolegom żurnalistom oraz wszystkim Drogim Czytelnikom, w tym grudniowym czasie z całego serca życzę niezwykłych Świąt.

Spokoju i piękna Narodzin Boga!

IRENEUSZ ST. BRUSKI

DOFINANSOWANO
ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



Kawalerowie Orderu Orła Białego

11 listopada 2017



Ks. Prałat Bernard Czernecki – duszpasterz górniczej „Solidarności”, opiekun podziemnych struktur tego związku, współorganizator Komitetu Pomocy Internowanym i Poszkodowanym – w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej jako niezłomnego kapelana „Solidarności”, wspierającego duchowo i materialnie polskich górników, krzewiącego ideę walki o Polskę niepodległą i sprawiedliwą, a także za pogłębianie i propagowanie postaw patriotycznych.

Franciszek Pieczka – polski aktor teatralny i filmowy, który od ponad pół wieku gości na polskich scenach – w uznaniu znamienitych zasług dla kultury polskiej, za znaczący wkład w rozwój sztuki teatralnej i filmowej.



Andrzej Pityński – polski rzeźbiarz tworzący od 1974 roku w Stanach Zjednoczonych, twórca słynnych rzeźb pomnikowych nawiązujących do polskiego czynu niepodległościowego i polskiej historii, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej i Stanów Zjednoczonych Ameryki – w uznaniu znamienitych zasług dla upowszechniania i popularyzowania historii polskiego czynu niepodległościowego, za wybitne osiągnięcia w twórczości rzeźbiarskiej, działalność polonijną i krzewienie polskości.



WNarodowe Święto Niepodległości Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda uhonorował najwyższym odznaczeniem państwowym Orderem Orła Białego księdza prałata Bernarda Czerneckiego, aktora Franciszka Pieczkę i rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego oraz wręczył odznaczenia państwowe osobom zasłużonym w służbie państwu i społeczeństwu.

Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian ustrojowych w Polsce, za niezłomność w dążeniu do demokratyzacji życia publicznego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej otrzymał **Andrzej Rozpłochowski**, działacz opozycji w okresie Polski Ludowej jeden ze współtwórców śląskiej „Solidarności”.

Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski w uznaniu wybitnych zasług dla rozwoju teologii i filozofii, za działalność na rzecz transformacji ustrojowej Polski, za osiągnięcia w pracy literackiej i publicystycznej otrzymał teolog, pisarz i publicysta **o. Jacek Salij**, natomiast w uznaniu wybitnych zasług dla transformacji ustrojowej Polski, za osiągnięcia w działalności państwowej i publicznej **Romuald Szeremietiew**, działacz opozycji demokratycznej i wieloletni wykładowca akademicki nauk wojskowych.



Za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za osiągnięcia w pracy dziennikarskiej i publicystycznej Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski Prezydent udekorował dziennikarza **Jerzego Jachowicza** – działacza NSZZ „Solidarność” w czasach Polski Ludowej oraz znanego i cenionego publicystę, piszącego m. in. na portalu SDP i miesięczniku społeczno-kulturalnym „Bez Wierszówki”.

W gronie odznaczonych znaleźli się także: **ks. prał. Henryk Zieliński**, redaktor naczelny tygodnika „Idziemy” za wybitne zasługi na rzecz budowania więzi społecznych i międzypokoleniowych w pracy dziennikarskiej i duszpasterskiej oraz **Stan Borys** – wokalista, muzyk i kompozytor, za wybitne zasługi w pracy artystycznej i twórczej.

Wszystkim odznaczonym gratulujemy!



FOT. © KRZYSZTOF SITKOWSKI / KPRP

porządku obrad



FOT. © ANDRZEJ J. GOJKE

Zjazd Delegatów 2017 w obiektywie Andrzeja J. Gojke



Zjazd w Kazimierzu

Prolog

Delegatów na Zjazd wybrano 160* – przyjechało 122**; w ostatnich głosowaniach brało udział 53.

To były miłe spotkania – kilka lat znów nam przybyło, odmówiliśmy „Wieczny odpoczynek...” za tych, których zabrakło, przeszliśmy krótkie szkolenie głosowania przyciskami i... zaczęło się.

Prezydium Zjazdu udało się wybrać bezproblemowo i nagle schody...

Pół godziny trwała awantura o legalność wyboru trzech delegatów z Lublina.

Potem realizowaliśmy procedury.

Akt pierwszy: Absolutorium

Próby wnioskowania o wcześniejszą dyskusję programową zostały utracone. I tak zdychały powoli wszystkie moje nadzieje, że da się jakoś posklejać podzielone środowisko.

Sąd koleżeński nie miał podczas trzech lat żadnych spraw, obietnice pochylenia się – pod wodzą doświadczonego sędziego – nad przepisami prawa dotyczącymi dziennikarzy pozostały tylko zamierzeniem.

Skarbniczka rzucała cyframi, Główna Komisja Rewizyjna miała zastrzeżenia (moim zdaniem poważne) choć wyrażone językiem dyplomacji i mimo zastrzeżeń wnioskowała o absolutorium, które Zjazd odchodzącym władzom udzielił większością głosów.

Jaki jest więc stan majątku i finansów SDP? Nawet zadając szczegółowe pytania w tej sprawie nie uzyskałam wyczerpującej odpowiedzi. Chciałam na przykład wiedzieć na czym polega specyfika Fundacji powołanej przez SDP – dlaczego dubluje się nagrody, dlaczego i Fundacja, i Komisja Interwencyjna przyznają pomoc? Czy władze Fundacji mają być tożsame z władzami Stowarzyszenia? Może powinniśmy o tym porozmawiać. Procedury były bezzwzględne.

Akt drugi: Wybory, „dyskusja” programowa

Trzej kandydaci na prezesa mieli po kilka minut, aby coś powiedzieć, pokłócić się – ale co z tego docierało do wybierających? To były hasła; wszyscy trzej byli członkami dotychczasowego Zarządu i wiedzieli o czym mówią – ja nie do końca.

Byli wobec siebie po prostu złośliwi czy prawdomówni? Jeśli coś w tej polemice było – powinniśmy więcej wiedzieć, może wyciągnąć wnioski. Powinniśmy wybierać z pełną świadomością, weryfikować zarzuty, zamiast wysłuchiwać mniej lub



FOT. © TADELUSZ WOZNIAK

bardziej dowcipnej pyskówki, którą część sali przyjmowała śmiechem i brawami.

Więcej emocji było przy omawianiu „polityki zagranicznej” Stowarzyszenia – uczestniczące w sporze Panie też miały kontrolowany czas – ale co będzie dalej nie wiem, nie mieliśmy szansy podyskutować. Potem w kulisach słyszałam, że nie powinniśmy być PR-owcami MSZ. Czy wyjazdy zagraniczne opłacane przez MSZ, artykuły na zamówienie to nasz „patriotyczny” obowiązek czy może niezależność dziennikarska jest tu naruszona? Taka była dyskusja w kulisach, na sali jej zabrakło.

I wreszcie Himalaje manipulacji – podpowiadanie (niestety przez członka władz), na kogo należy głosować!!!

Koledzy Delegaci! Obecni i nieobecni w Kazimierzu!

Proponuję abyście przygotowali się na zapowiadany wiosną 2018 roku Zjazd programowy, dotarli do dokumentów przeanalizowali je i MIELI WŁASNE ZDANIE np. na takie tematy:

Poza Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich toczy się dyskusja o Kartce Etycznej Mediów – była nawet konferencja w Sejmie o prawdziwe w mediach. A może Karta Etyczna Mediów wymaga zmian? A może jest kilka prawd?

Czy szefowie mediów mogą być we władzach SDP?

Gdzie jest granica współpracy dziennikarzy z rządem i partiami?

Co zrobić, aby odkleić od SDP etykiety upartyjnienia?

Jakie mamy propozycje legislacyjne dotyczące naszego zawodu – dostęp do

informacji, art. 212 § 2 kk, prawo prasowe, media publiczne, prawo autorskie, lobbying...?

Czy zamykamy się w naszym, ciągle malejącym środowisku, czy otwieramy się na dziennikarzy skupionych w innych stowarzyszeniach lub nienależących do żadnych organizacji dziennikarskich? Co możemy zaproponować środowisku? Pomoc finansowa Fundacji lub Komisji Interwencyjnej SDP jest ważna, ale jak bronić profesjonalizmu, niezależności i godności zawodu?

Postawiłam 15 znaków zapytania w tej szybkiej pozjazdowej refleksji – od nas, 160 delegatów zależy ciąg dalszy...

Epilog

10 lat temu mieliśmy ponad 50 proc. zaufania w społeczeństwie (niemieccy dziennikarze byli wtedy poniżej sprzedawców używanych samochodów) – a dziś niektórzy nasi krytycy twierdzą, że dziennikarstwo w Polsce kona – są PR-owcy, propagandziści, lobbyści...

Liczę, że Zarząd Główny do zapowiedzianego wiosennego zjazdu programowego zleci badania kondycji naszego zawodu. Diagnoza może być bolesna – ale od tego trzeba zacząć leczenie.

KRYSTYNA MOKROSIŃSKA
Honorowy Prezes SDP

* Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Biogramy, opr. E. Binder, Warszawa 2017.

** Oficjalne dane Biura Zarządu Głównego SDP; pierwszego dnia zarejestrowało się 114 delegatów, drugiego 122.



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Władze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

W dniach 18 i 19 listopada podczas Zjazdu Delegatów SDP w Kazimierzu Dolnym wybrano nową władzę krajową Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich kadencji 2017-2020.

Prezes

Krzysztof Skowroński (Warszawa)

Zarząd Główny

Witold Gadowski (Kraków) – wiceprezes

dr Jolanda Hajdasz (Poznań) – wiceprezes

Janina Jadwiga Chmielowska (Katowice)

– sekretarz generalny

Aleksandra Rybińska (Warszawa) – skarbnik

dr Ireneusz St. Bruski (Olsztyn)

dr Maria Gietz (Gdańsk)

Piotr Legutko (Kraków)

Wanda Nadobnik (Warszawa)

dr Marek Palczewski (Łódź)

Mariusz Pilis (Kraków)

Stefan Truszczyński (Warszawa)

Tadeusz Woźniak (Gdańsk)

Główna Komisja Rewizyjna

Janusz Wikowski (Gdańsk)

– przewodniczący

dr hab. Krzysztof Gurba (Kraków)

– wiceprzewodniczący

dr hab. Marek Wroński (Warszawa)

– sekretarz

Ewa Urbańska (Warszawa)

Waldemar Wiśniewski (Łódź)

Komisja Interwencyjna SDP

Wojciech Pokora (Lublin)

– przewodniczący

Karina Łopieńska (Warszawa)

– wiceprzewodnicząca

Hubert Bekrycht (Łódź)

dr hab. Dagmara Drzazga (Katowice)

Stefan Kudelka (Warszawa)



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Naczelny Sąd Dziennikarski

dr hab. Michał Drożdż (Kraków)

– przewodniczący

Piotr Górski (Poznań) – wiceprzewodniczący

Miłosz Kluba (Kraków) – sekretarz

Kajus Augustyniak (Łódź)

Piotr Hlebowicz (Katowice)

Andrzej Klimczuk (Rzeszów)

Paweł Pietkun (Warszawa)

Andrzej Radomiński (Warszawa)

Andrzej Tomczak (Bydgoszcz)

Rzecznik Dyscyplinarny SDP

Zbigniew Zawada (Wrocław)



FOT. © ANDRZEJ J. GOWIK

Uchwała Zjazdu Delegatów SDP ws. rezolucji Związku Dziennikarzy Niemieckich

Zjazd Delegatów SDP wyraża oburzenie treścią rezolucji Związku Dziennikarzy Niemieckich z 5 listopada 2017 roku.

Związek Dziennikarzy Niemieckich rozpowszechnia w niej fałszywe opinie na temat braku wolności prasy i prześladowania dziennikarzy w Polsce. Przypominamy, że wszystkie środki masowego komunikowania w naszym kraju funkcjonują w oparciu o prawo stanowiące w demokratyczny sposób, z poszanowaniem zasad wolnych i niezależnych mediów.

Formułowanie kłamliwych opinii oraz ich rozpowszechnianie na forum międzynarodowym jest nadużyciem, które psuje wzajemne relacje między naszymi organizacjami i między naszymi krajami. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich apeluje do kolegów ze Związku Dziennikarzy Niemieckich o dziennikarską rzetelność przy opisywaniu sytuacji w Polsce.

Kazimierz Dolny, 19 listopada 2017

O dziennikarstwie we Lwowie

28 października br. we Lwowie odbyło się kolejne spotkanie Klubu Galicyjskiego. Poświęcone było dziennikarstwu i zagadnieniom tego zawodu, rozmawiano o jego misji, o wypaczeniach współczesnego dziennikarstwa i o współpracy dziennikarzy polskich i ukraińskich.

Spotkanie zbiegło się z wizytą we Lwowie dziennikarzy rzeszowskich, którzy tradycyjnie w przededniu 1 listopada odwiedzają Cmentarz Łyczakowski i porządkują groby spoczywających tam przedwojennych dziennikarzy. Ponieważ kontakty między bracią dziennikarską naszych miast sięgają początku lat 90., było o czym porozmawiać. Treść spotkania podsumował krótko jeden z prowadzących spotkanie Wasyl Rasewycz: „My – Polacy i Ukraińcy – jesteśmy jak bliźnięta. Mamy na tyle podobną kulturę polityczną, że walczymy i kłócimy się z powodu tego właśnie podobieństwa. Dzieje się tak, bo historia odgrywa dla nas ogromną rolę”.

Obrazy rozpoczęły się miłym akcentem. W przededniu swoje urodziny obchodził redaktor naczelny „Kurier Galicyjski” i pomysłodawca utworzenia Klubu Galicyjskiego Mirosław Rowicki. Z tej okazji konsul RP we Lwowie Marian Orlikowski pogratulował jubilatowi i wręczył mu kosz kwiatów.

Na wstępie, by oddać hołd przedwojennemu dziennikarstwu we Lwowie, wystąpił dr Piotr Szopa z rzeszowskiego IPN-u. Przytoczył interesujące fakty, nieznane obecnie nawet historykom. Prelegent zaznaczył, że historia lwowskiego dziennikarstwa z lat 1918-1939 jest na tyle bogata, że stawia Lwów w czołówce dziennikarstwa odrodzonej Rzeczypospolitej. A już przytoczone przez niego cyfry wprawiły zebranych w zdumienie: ponad tysiąc tytułów prasowych, 37 tytułów prasy religijnej, nakłady pism codziennych po 60 tys., a np. pisma dla pięciolatek – 40 tys. Na dziś są to cyfry niespotykane, o których redakcje mogłyby tylko marzyć, a przecież, jeżeli tyle drukowano, to musiało się to też rozchodzić. Podkreślił też, że audycja „Wesołej lwowskiej fali” zbierała przy odbiornikach w całej Polsce około 6 mln słuchaczy! Czy dziś jakiegokolwiek radio ma taką liczbę słuchaczy? Piotr Szopa przedstawił również sylwetkę ostatniego spikera Polskiego Radia Lwów w 1939 roku – Władysława Żebrowskiego, który jako były wojskowy nadawał komunikaty do ostatniej chwili działania rozgłośni.

Po prelekcji rozpoczęto rozmowę o współczesnym dziennikarstwie i stosunkach polsko-ukraińskich na tym polu. Dyskusję prowadzili Andrzej Klimczak, dziennikarz



FOT. © MARIA BASZA

z Rzeszowa, Lwów reprezentował wspomniany już Wasyl Rasewycz.

Andrzej Klimczak przedstawił działalność dziennikarską w Polsce. „Niestety – jak podkreślił prelegent – nie ma już niezależnego dziennikarstwa w Polsce”. Wiąże się to z tym, że ponad 90 proc. prasy codziennej jest w rękach kapitału zagranicznego, głównie niemieckiego i redaktorzy naczelni mają wytyczne, co do przedstawianej tematyki. Oprócz tego wiele periodyków jest powiązanych z partiami politycznymi efektem czego jest iż często przedstawiają wybrane tematy w określonym świetle.

Redaktor Klimczak ubolewał nad rozluźnieniem kontaktów polskich i ukraińskich dziennikarzy, które owocuje nieraz tendencyjnym przedstawianiem niektórych wydarzeń w obu krajach. Ma tu miejsce brak prawdziwej informacji, którą można byłoby uzyskać od zaprzyjaźnionego dziennikarza za granicą. Mówił o potrzebie wznowienia takich kontaktów, nawiązywania dalszych znajomości, co dałoby możliwość prawdziwego przedstawiania wydarzeń. Tylko czy takie przedstawienie faktów byłoby zgodne z linią każdej gazety?

Następnie Wasyl Rasewycz przedstawił podobne problemy dziennikarstwa ukraińskiego. Przede wszystkim to, że media na Ukrainie są w rękach oligarchów i to oni dyktują, co i jak ma się ukazywać. Kolejnym minusem ukraińskiego dziennikarstwa jest niski poziom wykształcenia. Dziennikarze mają braki w wykładni wydarzeń historycznych, często łączą treść wydarzeń i fakty. Czy działają tak z własnej woli? Nie wiadomo. Oprócz tego Wasyl Rasewycz ubolewał nad brakiem znajomości języków. Jeżeli dotyczy to wydarzeń w Polsce, to często lwowscy dziennikarze swoje materiały o tamtejszych wydarzeniach czerpią z prasy kijowskiej, która, z kolei, opiera się na mediach rosyjskich. Co z tego wynika – wiadomo. I tu poparł Andrzeja Klimczaka, że ważną rzeczą są w tym przypadku bezpośrednie kontakty

dziennikarzy po obu stronach granicy. Polska prasa też opiera się w niektórych przypadkach na mediach rosyjskich. Dotyczy to np. Prawego Sektora, który wypromowany został głównie przez te media. Faktycznie na Ukrainie jest to organizacja marginalna.

Niemalą rolę odgrywają tu polskie media, które „tworzą” wywiady z takimi osobami jak syn Romana Suchochwyca, Jurijem, czy wywiad z nieznanym nikomu niejakim panem Skoropadzkim, rzecznikiem Prawego Sektora (faktycznie jest to obywatel Rosyjskiej Federacji). Takimi osobistościami ukraińscy dziennikarze w ogóle się nie zajmują i nie reagują na ich wypowiedzi. Ma to na celu naginanie sytuacji do potrzeb polskiej polityki. Niestety udają się do takich chwytów takie periodyki jak „Gazeta Wyborcza” czy „Rzeczpospolita”. I tu jest zadanie dla dziennikarzy ukraińskich, którzy powinni tego rodzaju materiały wyjaśniać. Sprzyjać temu powinny wzmożone kontakty między dziennikarzami naszych państw.

W dyskusji głos zajęli dziennikarze obecni na sali. W wypowiedziach wspominali swoje spotkania z polskimi dziennikarzami po rozpadzie Związku Radzieckiego. Spotkania te otwierały im oczy na wiele rzeczy dziejących się w każdym z państw. Niestety z czasem te więzi rozluźniły się i przyjaźnie pozostały jedynie sporadycznie. Młode pokolenie dziennikarzy tych kontaktów niestety już nie ma i stąd wynika potrzeba ich wznowienia. Podkreślał to również w swojej wypowiedzi Askold Jeriomina z „Wysokiego Zamku” i inni dziennikarze ukraińscy. Andrzej Klimczak obiecał poruszyć tę kwestię na forum Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w najbliższym czasie.

Po oficjalnym zakończeniu spotkania jeszcze długo, już nieformalnie, rozmawiano, wymieniano poglądy i zdania, obiecując sobie zacieśnienie byłych więzi. Dla dobra obu narodów.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
„Kurier Galicyjski”

Sprawa Oddziału Lubelskiego SDP

Uchwała nr 22 Zarządu Głównego SDP ws. unieważnienia Walnego Zebrania Członków Oddziału w Lublinie i powołania Zarządu tymczasowego

Z uwagi na rażące naruszenie przepisów Statutu SDP w zakresie: trybu zwołania oraz przebiegu Walnego Zebrania Członków Oddziału Lubelskiego SDP w dniu 31 lipca 2017 r., skutkujące nieważnością zwołania Walnego Zebrania Członków oraz nieważnością podjętych uchwał, na podstawie § 36 pkt 13 Statutu SDP uchwała się, co następuje:

1. Stwierdza się nieważność zwołania Walnego Zebrania Członków Oddziału Lubelskiego SDP oraz nieważności uchwał podjętych przez ww. Walne Zebranie Członków, w szczególności dotyczących: wyboru do władz Oddziału Lubelskiego oraz wyborów delegatów na Zjazd Delegatów.

2. Powołuje się Zarząd tymczasowy Oddziału Lubelskiego SDP w składzie:

- 1) Stefan Truszczyński – Prezes Oddziału,
- 2) Zbigniew Rytel – członek Zarządu tymczasowego
- 3) Wojciech Pokora – członek Zarządu tymczasowego
- 4) Ryszard Surmacz – członek Zarządu tymczasowego.

3. Zarząd tymczasowy pełni funkcję do czasu wyboru nowych władz Oddziału Lubelskiego SDP przez Walne Zebranie Członków.

4. Zobowiązuje się Zarząd tymczasowy do:

- 1) podjęcia działań w celu zwołania Walnego Zebrania Członków oraz przeprowa-

dzenia przez Walne Zebranie Członków wymaganych czynności, w tym wyboru nowych władz Oddziału Lubelskiego SDP, z zachowaniem wymogów statutowych;

- 2) przejęcia majątku i wszelkiej dokumentacji Oddziału;
- 3) złożenia Zarządowi Głównemu raportu z przeprowadzonych czynności.
5. Uchwała wchodzi w życie w dniu jej podjęcia.

Krzysztof Skowroński, Stefan Truszczyński
Janina J. Chmielowska, Jolanta Hajdasz
Zbigniew Rytel, Andrzej Stawiarski
Waldemar Wiśniewski, Tadeusz Woźniak
Warszawa, 24 października 2017

Decyzja Komisji Interwencyjnej SDP ws. wniosku członków SDP z Lublina

9 listopada 2017 roku do Komisji Interwencyjnej SDP wpłynął wniosek członków Zarządu Oddziału SDP w Lublinie (wybranego 31 lipca br.) o interwencję ws. niezrozumiałej – według nich – decyzji o ich zawieszeniu przez Zarząd Główny SDP dnia 24 października br.

Komisja, po przeanalizowaniu przesłanego materiału oraz zasięgnięciu informacji od osób zaangażowanych w sprawę, do-

strzega kilka deliktów Uchwały nr 22, jednak zgodnie z zapisami w Statucie, nie jest właściwym organem SDP do rozpatrzenia powyższego wniosku. Komisja Interwencyjna – jak stwierdza Statut SDP – „rozpatruje zgłoszenia dziennikarzy o naruszeniu ich praw zawodowych, podejmuje decyzje o podjęciu interwencji, mediacji lub udzieleniu innej formy wsparcia w porozumieniu z Centrum Monitoringu Wolności

Prasy oraz opiniuje wnioski dziennikarzy o udzielenie pomocy finansowej” (49).

Zgodnie z kompetencjami, kierujemy sprawę do Naczelnego Sądu Dziennikarskiego i Rzecznika dyscyplinarnego SDP.

Ireneusz St. Bruski, przewodniczący Komisji
Anna Fastnacht-Stupnicka, sekretarz Komisji
Warszawa, 13 listopada 2017

Opinia prawna dot. sprawy Oddziału Lubelskiego (fragm.)

Na podstawie przedstawionych mi dokumentów, ustaliam co następuje:

1. Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przywołując w uchwale podstawę prawną § 36 pkt 13, obowiązującego w dniu 24 października 2017 r. Statutu SDP, winien użyć słów „zawiesza w czynnościach Zarząd [...]”. Wykładnia językowa rzeczono przepisu świadczy o uprawnieniu Zarządu Głównego dotyczącego wyłącznie „zawieszenia w czynnościach”, czyli pozbawienia możliwości działania Zarządu Oddziału poprzez nałożenie zakazu dalszego reprezentowania na zewnątrz Zarządu Oddziału od chwili podjęcia uchwały przez ZG SDP. W takiej sytuacji zachodzi tzw. nieważność *ex nunc* (łac. od teraz) – nieważność czynności prawnej od momentu jej orzeczenia przez kompetentny organ. Skutki praw-

ne wywołane przez czynność prawną przed wydaniem orzeczenia zachowują ważność, natomiast nieważne są wszystkie skutki prawne takiej czynności po wydaniu orzeczenia.

2. Dalsze uprawnienie przysługujące Zarządowi Głównemu SDP wynikające z § 36 pkt 13 zdanie 2 daje możliwość powołania zarządu tymczasowego. Podkreślić należy, że Statut dopuszcza możliwość powołania zarządu tymczasowego pod warunkiem, tj. „w razie zawieszenia Zarządu Oddziału”. Nie ma zatem możliwości powołania Zarządu tymczasowego, jeśli Zarząd Oddziału nie został uprzednio zawieszony w czynnościach. Podkreślić należy, że Statut SDP uzależnia powołanie Zarządu tymczasowego od uprzedniego „zawieszenia w czynnościach Zarządu Oddziału” (*vide*: § 36 pkt 13 Statutu).

3. Zgodnie z postanowieniami Statutu SDP § 36 pkt 1-19, które w sposób enumeratywny wymieniają kompetencje Zarządu Głównego SDP, nie ma uprawnień dotyczących „stwierdzenia nieważności zwołania Walnego Zebrania Członków” oraz „stwierdzenia nieważności uchwał podjętych przez Walne Zgromadzenie Członków”. Zarząd Główny SDP powołał się zatem na kompetencje, których nie posiada.

W związku z powyższym uchwała Zarządu Głównego SDP została wydana bez właściwej podstawy prawnej, tym samym uchwała ta została wydana z istotnym naruszeniem prawa skutkującym stwierdzeniem jej nieważności.

dr n. prawnych Martyna Seroka
Wydział Prawa i Administracji UWM
Olsztyn, 13 listopada 2017

Naczelny Sąd Dziennikarski o sprawie dot. Oddziału Lubelskiego (fragm. Sprawozdania NSD kadencji 2014-2017)

13 listopada br., za pośrednictwem Komisji Interwencyjnej SDP, otrzymałem dokumenty dotyczące Oddziału Lubelskiego SDP. Członkowie Zarządu Oddziału SDP w Lublinie (wybranego 31 lipca br.), przedstawiają tam niezrozumiałą – według nich – decyzję o zawieszeniu ich przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w dniu 24 października br. Rzeczą jest istotnie zawiła, ponieważ w uchwale Zarządu Głównego z dnia 24.10.2017 r. (jej kopię otrzymałem) nie ma słowa „zawieszenie”, zwłaszcza w odniesieniu do władz Oddziału.

Zarząd Główny w tej uchwale – stwierdzając „rażące naruszenie przepisów statutu” i „na podstawie § 36 pkt. 13 statutu” (mówi on o zawieszeniu w czynnościach Zarządu Oddziału) „stwierdza nieważność zwołania Walnego Zebrania Członków Oddziału Lubelskiego oraz nieważność uchwał podjętych przez ww. Walne Zebranie Członków, w szczególności dotyczących: wyborów do władz Oddziału Lubelskiego oraz wyborów delegatów na Zjazd Delegatów”.

Rzecz jednak w tym, że ten punkt § 36 statutu SDP nie daje uprawnień do unie-

ważniania uchwał władz oddziału SDP. Kompetencja taka zawarta jest w innym miejscu Statutu, na które Zarząd Główny się nie powołuje. Jest więc zagwozdzka: czy i jaką moc sprawczą ma uchwała Zarządu Głównego SDP unieważniająca decyzje statutowych władz oddziału podjęta przy tak przedstawionej podstawie prawnej? Na pytanie to – być może – odpowie nowy Naczelny Sąd Dziennikarski SDP wybrany na kolejną kadencję na tym Zjeździe, któremu już dzisiaj przekazuję tę sprawę.

Piotr Górski, sekretarz NSD
Kazimierz Dolny, 18 listopada 2017

Odwołanie członków Oddziału w Lublinie do Zjazdu Delegatów SDP

Demokratycznie wybrany Zarząd Oddziału SDP w Lublinie – zawieszony decyzją Zarządu Głównego z dnia 24 października br. – na mocy § 37 ust. 2 Statutu SDP odwołuje się od ww. decyzji do Zjazdu Delegatów SDP i wnioskuje o jej uchylenie, w związku z tym, że zapadła ona z naruszeniem prawa.

Wnoszujemy również o zawieszenie obrad Zjazdu do czasu prawnego rozstrzygnięcia sprawy, aby w przypadku ewentualnego późniejszego orzeczenia przyznającego nam rację, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie znalazło się w trudnej sytuacji unieważnienia podjętych decyzji i potrzeby powtórnego zwołania Zjazdu.

Uzasadnienie

Podczas Walnego Zebrania Oddziału SDP w Lublinie, odbytego w dniu 31 lipca 2017 roku, w tajnych głosowaniach zostaliśmy wybrani nie tylko na funkcje Prezesa Oddziału i członków Zarządu Oddziału, ale również delegatów na Zjazd Delegatów SDP w Kazimierzu nad Wisłą.

Z bliżej nam nieznanych powodów w dniu 3 listopada br. Zarząd Główny SDP e-mailami, kierowanymi do Zarządu Regionu „Solidarność” w Lublinie – jako właściciela lokalu Biura Oddziału – poinformował nas (skarbnik Zarządu Oddziału otrzymał kopię e-maili) o podjętej w dniu 24 października br. Uchwale nr 22, która zarzuca

nam rażące naruszenia prawa i Statutu SDP (§ 36 pkt 13). Ww. Uchwałą Zarząd Główny zawiesił Zarząd Oddziału SDP w Lublinie i delegatów na Zjazd Delegatów SDP we wszystkich, przysługujących nam, prawach. Przed podjęciem decyzji Zarząd Główny nie skontaktował się z Zarządem Oddziału, nie przeprowadził żadnego postępowania wyjaśniającego.

Jako członkowie Zarządu Oddziału SDP w Lublinie chcieliśmy przywrócić podupadającą rangę zawodu dziennikarza, podjęliśmy też próbę wyjścia z propozycją integracji oddziałów regionalnych, wyrażoną w piśmie z września br. Sformułowane tam propozycje do porządku obrad Zjazdu Delegatów, w formie wniosków, dotarły do Zarządu Głównego SDP. Możemy myśleć, iż któryś ze zgłoszonych tam punktów mógł spowodować tak alergiczną reakcję na Foksal. Dotychczasowe działania Zarządu Głównego SDP sugerują paniczne działania osób, które poczuły się zagrożone.

Szanowni Delegaci, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, będące najstarszym stowarzyszeniem żurnalistów w RP, jest jednym z najważniejszych ciał opiniotwórczych w kraju, mającym bezpośredni wpływ na politykę Państwa Polskiego. Tymczasem Zarząd Główny pozbawił nas nie tylko statutowych praw, przysługujących dziennikarzom, ale konstytucyjnych praw

obywatelskich. Mało, wysyłając informację do osób spoza Stowarzyszenia, postawił zarówno członków Zarządu, jak i Oddziału lubelskiego w niekorzystnym świetle w opinii publicznej i naruszył nasze dobre imię, co może nosić znamiona pomówienia.

Biorąc to wszystko pod uwagę, przejmie prosimy o poważne rozważenie naszego odwołania od decyzji jaka zapadła w stosunku do członków Stowarzyszenia i delegatów na Zjazd oraz jej uchylenia. Dzisiaj Zarząd Główny zawiesił nas, nie bacząc na nasze statutowe i konstytucyjne prawa, pozbawiając Zarząd Oddziału w Lublinie godności dziennikarskiej i zwyczajnie – ludzkiej. Dzisiaj uczynił to z nami. Z kim jutro..?

Z poważaniem

„zawieszony” Zarząd Oddziału SDP w Lublinie
Bogusław Sarat, Stanisław Piotr Gaszyński
Lech L. Przychodźki, Andrzej Sikora
Lublin, 10 listopada 2017

Od redakcji

Podczas Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, w dniu 18 listopada 2017 roku, delegaci w głosowaniu przyjęli uchwałę o oddaleniu „Odwołania członków Oddziału w Lublinie”. Za oddaleniem „Odwołania” opowiedziało się 78 delegatów, 32 było przeciw.



SDP Olsztyn Finał konkursu „Trzeci sektor w mediach”



Od lewej: Wojciech Ciesielski, Monika Falej, Piotr Grzymowicz, Hanna M. Vasylevska, Krzysztof Guzek i Zbigniew Piszczako

FOT. © JAROSŁAW SKÓRSKI / GALERIAOLSZTYN.EU

18 listopada, podczas dorocznego Forum Organizacji Pozarządowych Miasta Olsztyna, ogłoszono tegorocznych laureatów konkursu „Trzeci sektor w mediach”.

Pierwszą nagrodę o wysokości 2,5 tys. złotych otrzymał red. **Krzysztof Guzek** z Radia Plus; drugie miejsce wraz z nagrodą w wysokości 1,5 tys. złotych zdobyła dziennikarka Polskiego Radia Olsztyn – **Hanna Maria Vasylevska** (SDP), miejsce trzecie zaś i kwotę 1 tys. złotych – **Łukasz Czarnecki-Pacyński** (SDP), publikujący swoje materiały na portalu Olsztyn24.com.

Na konkurs nadesłano ponad 20 prac. Oceniało je jury konkursu w składzie: Monika Falej – przewodnicząca Rady Organizacji Pozarządowych Miasta Olsztyn, Zbigniew Piszczako – sekretarz i Wojciech Ciesielski – członek Zarządu ds. wydawniczych Oddziału Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie.

Jury konkursu, z uznaniem podkreśliło, że nadesłane na konkurs prace ukazują pozytywne wzorce postaw jednostki lub



FOT. © JAROSŁAW SKÓRSKI / GALERIAOLSZTYN.EU

grupy osób pracujących w organizacjach pozarządowych czy to w formie fundacji, stowarzyszenia, klubu i w ten sposób przyczyniają się do rozwoju naszego regionalnego społeczeństwa obywatelskiego.

Współorganizatorami konkursu jest Warmińsko-Mazurski Oddział SDP i olsztyńska Rada Organizacji Pozarządowych. Fundatorem nagród Prezydent Olsztyna.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Zaproszenie Pielgrzymka dziennikarzy

Szanowni Koleżanki i Koledzy, serdecznie zapraszamy na doroczną Pielgrzymkę dziennikarzy na Jasną Górę. W roku jubileuszowy Maryjnych odbędzie się ona w dniu 9 grudnia 2017 roku pod hasłem: „Matce Bożej z wdzięcznością. Modlitwa różańcowa – zobowiązanie i ratunek”.

Spotkanie rozpoczniemy mszą św. o godz. 11 w Kaplicy Różańcowej na Jasnej Górze. Eucharystii przewodniczył będzie metropolita częstochowski abp Wacław Depo,

przewodniczący Rady ds. Środków Społecznego Przekazu KEP.

O godz. 16.30 zapraszamy do Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II na konferencję, zorganizowaną przez Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarskie i Muzeum Monet i Medali Jana Pawła II, pt. „Księżnej Dobrawie, Matce Chrzestnej Narodu, w roku 1040. rocznicy jej śmierci. – Polska w obliczu realnego zagrożenia islamizacji Europy Zachodniej”.

Wygłoszone zostaną następujące prelekcje: *Początki chrześcijaństwa na ziemiach polskich – zasługi księżnej Dobrawy dla chrztu Polski* (Jan Jarosz, historyk kultury, Kraków); *Rola Jasnogórskiego Sanktuarium w krzewieniu i zachowaniu wiary Polaków* (o. Stanisław Rudziński, paulin, historyk sztuki) i *Islam jako zagrożenie dla Europy i chrześcijaństwa* (ks. dr hab. Dariusz Oko).

ANNA DĄBROWSKA, prezes KSD



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

SDP ze wspomaganie

Topnieją szeregi, więc Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich szuka ratunku w imporcie. Udało się trochę. Jest w Zarządzie Aleksandra Rybińska. Wędkę zarzuciła – obecna sekretarz generalna SDP – Jadwiga Chmielowska. A potem poszło szybko. Tuż po przyjściu po raz pierwszy na ulicę Foksal poliglotka została wybrana skarbnikiem Stowarzyszenia. I o dziwo zgodziła się, choć na razie nie ma przecież pojęcia o finansach SDP. Na pewno jednak szybko się nauczy podliczania słupków naszych wydatków. A że kształcona była w Niemczech na pewno będzie dokładna. A ze sprawiedliwością to się okaże.

Mamy teraz niezłą wolność prasy w Polsce nad czym czuwa pani redaktor, doktor nauk zresztą. Gorzej z tą wolnością w samym SDP. Skrytykowałem naszą władzę i już prezes strącił mnie z pozycji sekretarza generalnego. Prawda, że większość kolegów w Zarządzie Głównym to zaakceptowała, więc nie ma co podsłakiwać. No cóż, dziennikarz to saper, gdy się pomyli to już po nim. Tyle że pozostawione bezkarnie niewypały mogą w każdej chwili wybuchnąć. Nie martwię się oczywiście zbyt, bo wiem, że moja

krzywda w dobro się odwróci, a przecież zło dobrem trzeba zwyciężać. Teraz koleżanka Chmielowska będzie już przebywała permanentnie w stolicy, no i trudno, że tam na Śląsku po niej – jako wiceprzewodniczącej oddziału SDP – się zapłaczą.

Tymczasem my SDP-owcy przekonamy rychło zagranicznych dziennikarzy robiąc krucjatę po ich stolicach. Dzięki perswazji naszych członków i zaproszonych spoza Stowarzyszenia kolegów, za pieniądze podatników, dowiedzą się niedowiarki, że w Polsce jest znacznie lepiej niż oni o nas piszą. Na pewno owi rychło przejrzą na oczy. Drużyna pouczająca kolegów zza granicy to skład doborowy i na pewno bardzo dobrze się przygotowują, bo misja honorowana jest przyzwocie. Czekamy więc na artykuły o Polsce, nie takie jak kłamstwa w „Gazecie Wyborczej”, a jeśli już krytyczne, to konstruktywne.

Ja też niegdyś narzekałem. No, ale młody jestem to mam jeszcze czas się wykazać. Zresztą dziarsko idzie robota, bo i zadań niemało przed zjazdem programowym, który już za kilka miesięcy. Młodzi stażem we władzach SDP – koleżanki i koledzy – szybko zrozumiemy kto tu rządzi. Porządek musi być.

Na pewno wkrótce przybędą nam świetnie wyszkoleni dziennikarze i Stowarzyszenie będzie się troszczyć o ich byt i bezpieczeństwo zawodowe. A także o zarobki. Bo to walka najtrudniejsza i będzie najważniejsza.

Dziś atakują nas nie tylko służby specjalne, mafia, niedobitki Platformy. Choć robią to zupełnie nienowocześnie, groźne są dotychczasowe rokowania jeśli chodzi o przyszłoroczne samorządowe zwycięstwa wyborcze. Otóż w Warszawie mimo tego okropnego paskudztwa reprivatyzacyjnego, o którym cieknie z ekranów, zdecydowanym liderem okazuje się być Rafał Trzaskowski. W Krakowie nadal prowadzi ten straszny Jacek Majchrowski, a w Poznaniu również straszyc będzie Jacek, tyle że Jaśkowiak. Dziwne to, bo nasza koleżanka Jolanta Hajdasz postraszyła go przecież świętą figurą, która ma stać w centrum miasta.

Tak więc po reanimacji SDP ma bardzo wiele do zrobienia. Wszystko ku chwale Ojczyzny i z troską o żurnalistyczną brać. Niektórzy tak już mają, że uważają, iż nigdy nie będzie lepiej, ale tylko gorzej. Ja do takich nie należę.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

W telegraficznym skrócie z ZG SDP

28 listopada, podczas 1. zebrania Zarządu Głównego SDP kadencji 2017-2020 oprócz ukonstytuowania się Zarządu (wiceprezesami zostali Witold Gadowski i dr Jolanta Hajdasz, sekretarzem generalnym – Janina Jadwiga Chmielowska, skarbnikiem – Aleksandra Rybińska), w programie znalazł się wniosek Piotra Górskiego z NSD z „apelem o skorygowanie oczywistego błędu Komisji Wyborczej Zjazdu Delegatów SDP i decyzji Zjazdu dotyczącej składu Komisji Interwencyjnej SDP, które

są niekorzystne dla red. Anny Fastnacht-Stupnickiej” (wniosku nie omówiono) oraz podania o zapomogę ze względu na stan zdrowia w kwocie 5 tys. złotych (przyznano jednogłośnie), dofinansowanie kwotą 14 tys. złotych dwóch ostatnich wydań „Bez Wierszówki” w 2017 roku (przyznano 8 tys. złotych przy sprzeciwie J. Chmielowskiej, J. Hajdasz i A. Rybińskiej) i dofinansowanie wystawy „Piłsudski w Obrazach” kwotą 1 tys. złotych (przyznano jednogłośnie). W ramach spraw bieżącym przedyskuto-

wano kwestię priorytetów w pracach Zarządu, m. in. organizację dalszych konferencji z udziałem zagranicznych dziennikarzy oraz przyjęto wniosek Bogdana Krawczyka ws. uhonorowania przez ZG red. Haliny Lesiowskiej-Trzczińskiej. W zebraniu uczestniczył prezes SDP, 11 członków nowo wybranego Zarządu, dyrektor Biura ZG SDP oraz przedstawiciel Głównej Komisji Rewizyjnej.

Kolejne zebranie Zarządu Głównego odbędzie się 14 grudnia.



FOT. © TEMPUS FUGIT – MARCIN BUDZYŃSKI FOTOGRAFIA

Marsz Niepodległości 2017 „My chcemy Boga!” w obiektywie Marcina Budzyńskiego





FOT. © TEMPUS FUGIT – MARCIN BUDZYŃSKI FOTOGRAFIA

Tegoroczny Marsz Niepodległości stał się obiektem ataku wszystkich przeciwników PiS, a przede wszystkim tych, którym marzy się powrót do epoki III RP z czasów rządów koalicji Platforma – PSL. Fala ataku wylewa się w Polsce, ale też z zagranicy.

Za sprawą donosów opozycji politycznej do Brukseli, również urzędnicy unijni nastawieni wrogo do obecnej władzy wykorzystują Marsz Niepodległości do oczerniania Polski i straszenia partią Jarosława Kaczyńskiego jako demonem zła niszczącego demokrację, praworządność. Wprowadzającego terror państwowy spod znaku faszyzmu, antysemityzmu i rasizmu. Niemal pewne jest, że donosy te sufluje swoim zaprzyjaźnionym politycznym kumpłom brukselskim Donald Tusk.

Z atakami polskich polityków można sobie z biedą poradzić, wytykając przy każdej okazji ich manipulacje i kłamstwa. Z tym między innymi, co mówi skompromitowany były ambasador RP w Stanach Zjednoczonych Ryszard Schnepf, któremu Marsz Niepodległości 2017 rzekomo przypomina sytuację z lat 30., kiedy na ulicach widoczna była wrogość, a nawet terror wobec ludzi grupach wyselekcjonowanych. W charakterystyczny



dla dyplomacji sposób Schnepf zarzuca tegorocznemu Marszowi Niepodległości postawy antysemityzmu.

W jeszcze bardziej obrzydliwy sposób wtrąciła swoje trzy grosze Hanna Gronkiewicz-Waltz, próbująca na siłę odbudować swoją słabnącą pozycję Prezydent Warszawy sugeruje, że w przyszłym roku w Marszu Niepodległości zapewne pojawi się hasło „Gott mit uns”, niemiecka dewiza „Bóg jest z nami”, co było wykorzystywane m. in. przez hitlerowców. Dziwi się, że Kościół katolicki w Polsce do tej pory nie zareagował.

O wiele niebezpieczniejsze od krajowych są ataki płynące z zagranicy. Do nich należy

oficjalna wypowiedź Guya Verhofstadta, szefa frakcji Porozumienia Liberalów i Demokratów na rzecz Europy. Podczas debaty poświęconej Polsce w ostatni czwartek powiedział, że na ulice Warszawy wyszło tysiące faszystów i neonazistów.

Jak się wydaje, poprawną i być może skuteczną drogą do tego, aby Verhofstadt odszczekał swój wściekły i nieuzasadniony napad jest wytoczenie mu procesu sądowego, co zrobiła Reduta Dobrego Imienia Macieja Świrskiego.

Najbardziej podły, godny tylko pogardy atak przypuścił na łamach portalu „New York Timesa” socjolog i historyk Jan Tomasz Gross. Bredzi o transparentach z napisem „Śmierć wrogom ojczyzny” i okrzykach: „Sieg Heil!” i „Ku Klux Klan!”.

To jest coś nieprawdopodobnego, żeby aż tak kłamać, takie potworności wyssać z własnego palca.

Jedynym sposobem jest podanie Jana Grossa do sądu cywilnego przez państwo polskie. To, że przegra jest pewne.

Może wyhamuje ze swoimi gołosłownymi oskarżeniami, jeśli przyjdzie mu z własnej kieszeni płacić za ordynarną, brudną kampanię nienawiści, którą sam buduje.

JERZY JACHOWICZ

Polska jeszcze nie skarłała

Liberalowie lewicowi, głównie promi-nenci Unii Europejskiej, zarzucają, iż w naszym Marszowi Niepodległości uczestniczyli „neofaszyści”, „ksenofoby” i „neonaziści”. Ta ostania inkryminacja jest tak niedorzeczna, że zatracza intencjonalną funkcję obelgi, natomiast budzi pogardę do jej wyrazieli, dowodzi bowiem niskości ich poziomu kultury moralnej i predyspozycji umysłowych. Każdy przecież obywatel kraju z UE, średnio wykształcony i nade wszystko uczciwy, wie, że to niemożliwe, iżby w narodzie polskim była żywotna ideologia nazistowska, zwana tak od nazwy partii, do której należał Hitler i miliony jego fanatycznych zwolenników. A skoro niemożliwe, to znaczy, że słowo „naziści” pod adresem tych, którzy na Marsz przywlekli slogan o „czystości rasowej” Europy, oczywiście że proweniencji hitlerowskiej, musiało być z premedytacją przygotowane. Taka operacja nazywa się prowokacją...

Owszem, przedwojenna Falanga przynależność do wspólnot narodowych mierzyła kryteriami „krwi i ziemi”, w Rosji „klasy”, zbieżnymi wówczas z ideologicznym demonizmem Niemców-nazistów, Włochów-faszystów i Rosjan-bolszewików. Jednakże nasza Falanga, choć wyrządziła kulturze polskiej wiele zła i w jej popiołach przez całą Polskę ludową tlił się ogień niecałkiem nieugaszony i zresztą nadal tli się w kilku pokoleniach, to jednak w żadnej mierze Falanga nie była, i dzisiejsze ugrupowania jej pokrewne nie są, pochodną nazizmu, ani z niego się nie wywodzą. Mniemam, że nawet Michnik zgodzi się z tą opinią, przecież jego rodzina cudem ocalała w pochodzie zbrodni nazistowskich, a on sam, aczkolwiek często spotwarza kłamstwem i insynuacją nasz (czy *de facto* również swój?) naród, żyje w dobrobycie otoczony szacunkiem wielu renegatów i głupców. Niech teraz oficjalnie odeprze zarzuty swych ideologicznych pobratymców z tzw. lewicy liberalnej. Byłoby to zadośćuczynienie za sprawiane od 1989 roku szkody kulturze polskiej (czy jego także?).

Tymczasem doznaję satysfakcji z najmniejsze oczekiwanej strony – Młodzieży Wszechpolskiej, spadkobierców ideologii atawistycznej Romana Dmowskiego. Oto jeden z jej przedstawicieli, dwudziestotrzyletni elektronik spoza Warszawy, wziął udział w Marszu Niepodległości i napisał do mnie list, którego fragment niniejszym publikuję, zachowując oryginalny zapis:

Jeżeli duchowo ktoś utożsamia się z naszym krajem, historią, tradycją i potrafi



FOT. © KAMIL SKITEK

się zachować – nie robi problemów i nie zagraża społeczeństwu – jest Polakiem.

Zapewne widział Pan, jak polskojęzyczne media lewicowe oraz te w innych krajach zrobiły tak zwaną nagonkę na Marsz Narodowy. Zwyzywali nas od faszystów, nazistów – jestem pewny, że te osoby, które to wypowiedziały, nawet nie znają znaczenia tych słów.

Oni nie potrafią znieść tego, że my Polacy mamy tożsamość i nie akceptujemy tego, co wyprawiają władcy Unii Europejskiej społeczeństwu – wpuszczając nieokrzesanych obcych ludzi, którzy nigdy z Nami w zgodzie żyć nie będą. Niestety jednak przedstawiciele Unii nie widzą zagrożenia, nie zauważają gwałtów, zniszczeń, terroru – jakiego dokonują przybysze. Zamiast się zająć tym problemem, to zajmują się Nami. Wczoraj ludzie z platformy pokazali jak bardzo „kochają i zależy im na bezpiecznej Polsce” – zwłaszcza pan Lewandowski, który cały Nasz naród zwyzywał od najgorszych.

Co do Marszu Niepodległości – byłem tam, przemaszerowałem całą drogę, od ronda Dmowskiego, aż na błonie Stadionu Narodowego, pomimo choroby i towarzyszących mi kul obok, chciałem pokazać, jak mi zależy na mojej ojczyźnie i dałem radę. Szedłem równo ze wszystkimi, a czasem nawet szybciej. Było bardzo spokojnie, a przede wszystkim bezpiecznie. Oczywiście na początku starsi, powiąza-

ni z komunistami Obywatele RP – próbowali robić prowokacje, ale policja ich dosłownie grzecznie wyniosła i wniosła do samochodu, bo położyli się na ulicy i nie chcieli ruszyć. Marsz naprawdę był spokojny, śpiewaliśmy pieśni patriotyczne, wszyscy byli radośni, każdy prawie trzymał flagę w ręku, małe dzieci również szły, a ta banda polityków wyzywa Nas teraz od faszystów i nazistów – oni są bezczelni – przecież, to naziści w czasie II wojny światowej wymordowali, ponad 6 milionów Polaków – a oni śmią nas porównywać do nich... Mówią, że w Polsce panuje dyktatura, ale oni chyba nie widzą, że sami się zachowują jak dyktatorzy i tak robią władcy Europy, jak i robiła Platforma przez 8 lat.

Wracając do marszu, nikt nie szedł z butelkami z alkoholem w rękach, jak to mówią w „niezależnych mediach”, naprawdę było spokojnie.

Oczywiście po wydarzeniu regenerowałem się ponad dwa dni, bo pokonałem samego siebie przechodząc taki dystans, ale naprawdę było warto. W taki sposób mogłem oddać hołd Polsce i żołnierzom, którzy walczyli o Polskę i jej niepodległość, często poświęcając swoje życie, po to abym mógł tutaj żyć – także mój przemasz dla nich należał się im ode mnie.

A co do tych zdrajców, którzy teraz się wypowiadają – dla mnie powinni zostać ukarani, będę dążył do tego, aby tak się stało – mam zamiar napisać oficjalne pismo do rządu.

Odniosę się jeszcze do wypowiedzi już byłego rzecznika Młodzieży Wszechpolskiej, zapewne Pan słyszał o jego wypowiedzi na temat tego, że osoba, o czarnym kolorze skóry nigdy nie będzie Polakiem – mnie osobiście ta wypowiedź się nie spodobała, może nie do końca rzecznikowi o to chodziło, ale powiedział, co powiedział i niestety przez jedną wypowiedź MY – jako cała organizacja – straciliśmy w oczach ludzi, a lewactwo ma pole do popisu. Bowiem, jak Pan napisał, oprócz krwi i ziemi jest również przynależność do narodu, czyli duchowość. Przecież w Powstaniu Warszawskim – walczył czarnoskóry mężczyzna, który czuł się Polakiem [...].

Kamil Skitek

Autor technął we mnie nadzieję, że trawstując początek naszego Hymnu Narodowego, Polska jeszcze do cna nie skarłała, póki żyje w niej taka młodzież...

JACEK WEGNER

Ochrona źródeł informacji – komentarz do sprawy Wojciecha Bojanowskiego

Prokuratura wycofuje się ze ścigania Wojciecha Bojanowskiego. To dobra wiadomość. Przypomnijmy fakty.

Wojciech Bojanowski, reporter TVN, jest autorem reportażu „Śmierć na komisariacie”. Znalazło się w nim nagranie z policyjnej kamery, pokazujące użycie paralizatora wobec Igora Stachowiaka, który zmarł kilkadziesiąt minut później na komisariacie. Po reportażu z wrocławskiej policji odeszły osoby związane ze sprawą Stachowiaka. Wojciech Bojanowski zdobył w tym roku nagrodę Radia ZET im. Andrzeja Wojciechowskiego za wspomniany reportaż.

Dolnośląscy związkowcy z NSZZ Policjantów złożyli doniesienie do Prokuratury, zarzucając Bojanowskiemu rozpowszechnienie informacji z prokuratorskiego śledztwa dotyczącego śmierci Igora Stachowiaka. Związkowcy uważają, że publikacja filmu była „linczem na policjantach”, a dziennikarz ujawnił informacje ze śledztwa, za co grozi do 2 lat więzienia. Sąd na wniosek Prokuratury uwolnił dziennikarza od konieczności zachowania tajemnicy dziennikarskiej na temat źródła jego informacji. Umożliwiłoby to pociągnięcie dziennikarza do odpowiedzialności w razie odmowy ujawnienia anonimowego informatora. 21 listopada br. „Rzeczpospolita” podała, że Prokuratura Okręgowa w Warszawie przejęła od prokuratury rejonowej śledztwo i uznała, że wniosek o uchylenie tajemnicy dziennikarskiej wobec Bojanowskiego był „przedwczesny”.

Bojanowski od samego początku utrzymywał, że nie ujawni tożsamości swoje-

go informatora. „Nigdy tego nie zrobię” – mówił. W mediach społecznościowych jego postawa zjednywała mu poparcie środowiska dziennikarskiego. Ujmowali się za nim również prawnicy i niektórzy związkowcy oraz Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Bojanowski złożył zażalenie na postanowienie sądu. Prokurator Andrzej Jaraszek stwierdził, że wniosek sądu nie spełniał przesłanek art. 180 § 2 kpk.

Artykuł 180 § 2 stwierdza: „Osoby obowiązane do zachowania tajemnicy notarialnej, adwokackiej, radcy prawnego, doradcy podatkowego, lekarskiej, dziennikarskiej lub statystycznej oraz tajemnicy Prokuratury Generalnej, mogą być przesłuchiwane co do faktów objętych tą tajemnicą tylko wtedy, gdy jest to niezbędne dla dobra wymiaru sprawiedliwości, a okoliczność nie może być ustalona na podstawie innego dowodu. W postępowaniu przygotowawczym w przedmiocie przesłuchania lub zezwolenia na przesłuchanie decyduje sąd, na posiedzeniu bez udziału stron, w terminie nie dłuższym niż 7 dni od daty doręczenia wniosku prokuratora. Na postanowienie sądu przysługuje zażalenie”.

Warto jednak zauważyć, że reportaż Bojanowskiego ujawnił ważne dla opinii publicznej informacje, bez których nie doszłoby do wspomnianych zmian w policji. Dzięki reporterowi (i jego tajnemu informatorowi) opinia publiczna dowiedziała się, w jaki sposób był traktowany na komisariacie Igor Stachowiak. Zgodnie z art. 180 § 3 kpk Bojanowski nie może

być zwolniony z zachowania tajemnicy dziennikarskiej, jeżeli osoba przekazująca mu informacje do publikacji, zastrzegła sobie anonimowość. Przepisu tego nie stosuje się w przypadku art. 240 § 1 kk, ale jeśli chodzi o zarzut wobec Bojanowskiego, to wydaje się, że nie jest on zawarty w przepisach tego paragrafu, zatem nie ma wobec niego zastosowania i na podstawie tego artykułu Bojanowski nie może być zwolniony z tajemnicy dziennikarskiej.

W całej tej sprawie są dwa aspekty: (1) ujawnienie informacji ze śledztwa oraz (2) ochrona tajnego informatora. Co do pierwszej, to wydawało się, że jest już rozstrzygnięta, skoro z policji odeszły osoby odpowiedzialne za działania wrocławskich policjantów. Opinia publiczna miała i ma prawo wiedzieć, co się dzieje w polskich komisariatach. Drugi aspekt tej sprawy ma fundamentalny charakter dla dziennikarstwa – dotyczy ochrony źródeł informacji. Dzięki tej ochronie mogło zostać przeprowadzonych wiele dziennikarskich śledztw w Stanach Zjednoczonych i w Polsce. Jeżeli klimat się zmieni i dziennikarze zostaną pozbawieni prawa do ochrony swoich informatorów, to obywatele nie dowiedzą się już o niczym poza oficjalnymi oświadczeniami i piarowskimi komunikatami. Bez funkcjonowania systemu anonimowych informatorów legnie w gruzach cała koncepcja dziennikarstwa śledczego, a odbiorcy zostaną pozbawieni ważnych informacji, które na zawsze pozostaną w ukryciu.

MAREK PALCZEWSKI

Uwielbiam prasę lokalną

Zawsze kiedy wyjeżdżam, choćby na chwilę z Lublina sięgam po miejscowe dziennikarstwo. Z ciekawości zarówno zawodowej – zawsze można coś ciekawego podpatrzeć, i z czysto ludzkiej – lubię poznawać środowisko, w którym przebywam.

Dlatego stałym elementem moich podróży po kraju są przywożone do domu stopy lokalnych pism powiatowych, gminnych, regionalnych. Nie wszystkie nawet zdążę przeczytać „od deski do deski” zanim wylądują w koszu lub piecu. Zawsze jednak targam je ze sobą, choćby przez całą Polskę. Żeby porównać, pokazać kolegom i koleżankom dziennikarzom, coś podpatrzeć i wykorzystać na swoim podwórku. W gazetach lokalnych lubię też to, że widać w nich zarówno ludzkie tragedie, jak i codzienne radości. To też doskonale rzut oka na stan dziennikarstwa. Gazety lokalne stanowią z jednej strony pokaz siły mediów, z drugiej obnażają ich wszelkie słabości. Mamy w nich doskonale i ważne teksty, ale też błahy temat w słabym wykonaniu.

Tym razem los rzucił mnie na Podhale, gdzie spędziłem przełom października i listopada. Nie mogłem więc nie sięgnąć po „Tygodnik Podhalański”. Ta gazeta zawsze była dla mnie odtrutką na złe, słabe dziennikarstwo.

I tym razem znów się nie zawiodłem! Mnóstwo czytania. O polityce, kulturze, górach, wystawach i morderstwach. I choć tekst otwierający jeden z numerów, był właściwie w 90 proc. przypomnieniem historii sprzed lat, to zaskakująco dobrze się go czytało. Natomiast istną perełką był z pozoru błaży artykuł o ataku na krowę siekierą, który zajął dwie trzecie strony. Swoisty, lokalny temat, w solidnym wykonaniu. Do tego całe kolumny zapowiedzi, informacji praktycznych – dobrych na każdą okazję. Niby jest to w niemal każdej lokalnej gazecie. A jednak, „Tygodnik Podhalański” robi to – moim zdaniem – jeśli nie najlepiej w kraju, to na pewno bardzo dobrze. Wszystko to okraszone porządną dawką plebiscytów, sprawozdań, nawet ogłoszenia

świetnie się czyta. Wszystkiego pełno. Wiedza o Podhalu kompleksowa.

Co urzekające, graficznie „Tygodnik Podhalański” jest niezwykle konserwatywny. Bez wielkich infografik, wymuszonych wymków i innych sztuczek graficznych, które mają przyciągnąć czytelnika. Powiedziałbym nawet – jest ten tygodnik zaprzeczeniem tych trendów, a wyrazem tego jest niewielka czcionka, przez którą wręcz – szczególnie przy jesiennej pogodzie i szybko zapadającym zmroku – trudno się przebić zmęczonym całodniową wędrówką po górach oczom.

I do tego jeszcze „ludzka”, ale nieprzekombinowana „jedynka” z odważnymi tematami, na której wartością są ciekawie napisane i dobrze opracowane „zajawki” przy jednoczesnej dbałości o odpowiednie wyeksponowanie stałych elementów gazety – wielka siła „Tygodnika Podhalańskiego”. Nie tylko zresztą tego numeru, który ostatnio miałem okazję kupić w Zakopanem.

TOMASZ NIEŚPIAŁ



Piórem Małgorzaty Todd Jak hartowała się wazelina

Sowieccy okupanci zmuszali podbitych do czytania i oglądania w kinach straszliwych wypocin swoich propagandystów. Takim sztandarowym dziełem była powieść zatytułowana *Jak hartowała się stal*.

Terror między innymi na tym polega, że poddanych zmusza się do czytania tylko tego, czego życzy sobie okupant. Z jego punktu widzenia najlepiej, żeby odbiorca nie miał alternatywy. Czasy się zmieniły i „brak papieru” na literaturę piękną niepostrzeżenie został zastąpiony takim jej zalewem, że trudno się połapać, gdzie szukać tego, co byśmy chcieli czytać, czy oglądać. Okazuje się, że komuchy są znowu górą!

Poprawność polityczna doprowadzona do absurdu, wydała zatrute owoce w postaci literatury tak zakłamanej, że stalinowscy aparatczycy by się jej nie powstydzili. Przy okazji okazało się, że Zachód, który nie uodpornił się na prymitywną propagandę, uległ jej najbardziej. Za komuny w Polsce każdy angielski, amerykański, czy francuski film w kinie był wydarzeniem, bo pokazywał jakąś odrobinę prawdy o ludzkich losach, czego „demoludy” były pozbawione. I oto historia się odwróciła. Z obfitości zachodnich seriali nie da się wybrać niczego do oglądania. Postacie są tak zakłamane i niekonsekwentne w postępowaniu, że trudno to znieść. Wszystko na jedno kopyto. Można podejrzewać, że są pewne

próby stworzenia czegoś ambitniejszego, ale tłumione są zapewne w zarodku. Najnowszą wiodącą produkcją telewizyjną „białego człowieka” można by zakwalifikować pod wspólnym tytułem: *Jak hartowała się wazelina*. Dlatego potrzebna nam dobra zmiana w kulturze, w promowaniu naprawdę dobrej literatury, która mogłaby być kanwą dla ciekawych i wartościowych seriali.

Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła ogłosić konkurs na utwory beletrystyczne, ale zanim to nastąpi, ostrze pióra przyszli laureaci. Proponuję, żebyście na początek udostępniili swoje utwory 10. życzącym wam osobom i wysłuchali ich opinii, to bardzo skuteczna metoda uniknięcia niepotrzebnych błędów.

Resortowi rezydenci

Następna lipa w natarciu. Tym razem rząd „krzywdzi” przyszłych doktorów, którzy bez doktoratów, czy przynajmniej specjalizacji, nie mogą przecież opuścić naszego kraju, nie mają bowiem perspektyw na godziwą mamonę zagranicą! Media rozczulają się nad losem rezydentów i nie muszą wyszukiwać tego, co ważne dla Polaków, a Pan Prezydent może wetować to i owo, opóźniając konieczne zmiany.

Na razie ci najbardziej bojowi ministrowie muszą czekać, aż będą mogli

zrobić następny krok. Wojny na szczęście jeszcze nie mamy, nominacja generałów może poczekać, a może nawet uda się przeczekać z tym do powrotu odsuniętych towarzyszy z WSI? Resortowe dzieci i wnuki wszelkiej maści, a zwłaszcza te w togach, najwyraźniej na to liczą.

Ja bym jednak na miejscu Pana Prezydenta taka spokojna nie była. Totalna opozycja ze swoją totalną propozycją, a właściwie jej brakiem, a więc żeby było tak jak było, najwyraźniej zaczyna się Po-

lakom nudzić. Hamowanie zmian niczego nie załatwi, ale głowa państwa zdaje się jeszcze tego nie dostrzegać.

Zatem czas na kolejny krok. Skoro ostrzy ministrowie tacy jak Ziobro i Macierewicz spotkali się z kontrą, to może delikatny wicepremier od kultury zrobi milowy krok? Najwyższy czas na ustawę degermanizacyjną w polskich mediach. Wyrzucimy wreszcie z naszego kraju, polskojęzyczne niemieckie media, na zbitą pysk!

Czas na nonsensy

Jak zmienić 50 proc. chętnych w 100 proc. niezadowolonych? To proste – wystarczy wprowadzić co drugą niedzielę zamkniętą dla handlu. W ten sposób ci, którzy liczyli na wszystkie wolne niedziele w supermarketach, będą zawiedzeni, podobnie jak wszyscy ci, którzy woleliby, żeby to im pozostawiono wybór, kiedy mają robić zakupy.

Połowiczny postulat, jak należy spędzać niedzielę, nie zadowala nikogo, no może

jedynie biurokratów. Od nich bowiem ma zależeć bogobojność jednych i niewygoda innych. Na tym jednak nie koniec. Pomyśłodawcy przymusu zamykania supermarketów w niedzielę już martwią się tym, że wolno będzie handlować na stacjach benzynowych i dworcach kolejowych oraz autobusowych. Zatem najlepiej byłoby pozamykać w niedziele stacje benzynowe i dworce. Zatraskani o rodzinę pomysłodawcy, nie martwią się tym, co jest sprze-

dawane. Zwłaszcza alkohol nie budzi ich sprzeciwu. Przyjmują zapewne, że sklepy z alkoholem otwarte 24 godziny na dobę, to wyższa konieczność i z troską o rodzinę nie ma nic wspólnego.

Na tym jednak nie koniec propozycji nonsensów. Zamiast czasu zmian, mamy kolejną zmianę czasu. Wszyscy wiedzą, że to czysty absurd, ale nie ma odwážnego, który by zatrzymał tę bezsensowną dwukrotną zmianę godzin każdego roku.

Wywiady z Panem X O stowarzyszeniach

Meg: Co sądzi pan o powołaniu stowarzyszenia pożytku publicznego na rzecz...

Pan X: Odradzam.

Meg: Nie pyta pan nawet jakie stowarzyszenie?

Pan X: Charytatywnych jest całe multum, inne nie wchodzą w grę.

Meg: Dlaczego?

Pan X: Bo nie jest w stanie zjednoczyć nas żaden pozytywny cel dla dobra ogółu.

Meg: No wie pan!

Pan X: Wiem. Jesteśmy narodem walcącym i najlepiej wychodzi nam walka o niepodległość. Po zwycięstwie z wrogiem zewnętrznym już nic nas nie powstrzyma, żeby wykańczać się nawzajem.

Meg: Czyli wróg naszym przyjacielem? Przyzna pan jednak, że są ugrupowania, którym udaje się zewrzeć szeregi.

Pan X: Fakt. Zwłaszcza porozumienia o charakterze mafijnym mają się u nas dobrze. Natomiast otwartość pozytywnych celów traktujemy z podejrzliwością.

MAŁGORZATA TODD

Po co nam PISF



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
POLISH FILM INSTITUTE

Polskie kino jest coraz lepsze. Publiczność w kraju popiera je w kasie, jury festiwalu w kraju i zagranicą daje nagrody. Zmianę dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w trakcie kadencji uważam więc za drastyczną. Antagonizuje przeciw rządowi najbardziej wpływowe środowisko twórcze.

Bez PiS nie byłoby Instytutu. Projekt ustawy ostro zwalczała Platforma Obywatelska nim ustawę przyjął Sejm z inicjatywy ministra kultury z SDL Waldemara Dąbrowskiego i za poparciem PiS na polecenie Jarosława Kaczyńskiego. Posłowie jego partii nie chcieli bowiem jej poprzeć. Prezes okazał się mądrzejszy od ludzi, którymi się otacza. Ułatwił sukces polskiego kina.

Czy PiS zamierza dzisiaj rozwalić PISF, jak twierdzą niektórzy filmowcy? Nie sądzę.

Skoro już doszło do podważenia samorządu filmowców, poszukajmy korzyści. Moim zdaniem warto im zmienić mentalność. Nowy dyrektor może pomóc pobrzękując kieszą lub odmawiając grosza. Najnowsze filmy dają przykłady potrzeby interwencji.

„Cicha noc” Piotra Domalewskiego dostała Złote Lwy dla najlepszego dzieła. Ukazuje ponury obraz Polski prowincjonalnej. Z Holandii przyjeżdża do rodziny najstarszy syn z planem biznesowym, który rozsypuje się w miarę rozwoju fabuły. W polskim błocie nic nie może się udać. Film jest bardzo dobry warsztatowo w sam raz dla nagrody za debiut. Natomiast nie wnosi nic nowego do debaty o Polsce, by dostać aż Złote Lwy. Znany

ten pesymizm, który lepiej artystycznie wyraził Wojtek Smarzowski w „Weselu” kilkanaście lat temu. Czy przez ten czas nic nie zmieniło się na lepsze?

Zresztą, Domalewski opowiada wbrew własnemu doświadczeniu. Pochodzi z prowincji z wielodzietnej rodziny. A kształcił się w szkole aktorskiej w Krakowie i szkole filmowej na Uniwersytecie Śląskim, za darmo. Przedstawił scenariusz mało kasowy lecz pieniądze na produkcję dostał. Otrzymał nagrodę nie za debiut lecz najwyższą nagrodę filmową w ogóle na początku kariery reżysera. Czyli można odnieść sukces w „tym kraju”.

A tymczasem jeden z jego bohaterów chce założyć warsztat samochodowy. Coś dłużej w garażu. To taki polski start-up, tylko wystartować nie może. W garażu powstało Apple. Nie mówię, aby pokazać coś na miarę największej korporacji świata. Wystarczyłoby LM Systems, które Dawid Cycoń założył także w garażu pod Rzeszowem. „Jego firma rozwija najnowsze technologie, produkuje ogniwa fotowoltaiczne, pracuje nad ultralekkim szkłem, prowadzi badania nanomateriałowe, realizuje zlecenia dla zachodnich instytutów”, przepisuję z „Gazety Wyborczej”. A główny krytyk gazety zachwyca się „Cichą nocą”, jak reszta kolegów. To jest chora fascynacja kłęską, miłość do nieudaczników.

Na pohybel zdrowiu psychicznemu jury festiwalu w Gdyni zlekceważyło film Łukasza Palkowskiego „Najlepszy” o narkomanie, który z dna dźwignął siebie do pozycji mistrza świata w morderczych

zawodach trathlion. Film był w Gdyni ulubieńcem publiczności; widocznie ma dosyć samobiczowania Polaków. Natomiast jury znalazło Srebrne Lwy dla pretensjonalnego nudziarstwa o kolejnej kłęsce „Ptaki śpiewają w Kigali”. Była nagroda dla „Pokotu”, który uważam za nieuczciwy (zob. s. 70) jednak został wystawiony jako polski kandydat do Oscara.

Byłem w komisji ekspertów PISF oceniającej scenariusze. Nie mogę podać konkretów ale pojawiły się teksty mające za nic polską rację stanu. Odrzuciliśmy je, lecz widocznie Instytut wyrobił sobie opinię miejsca, gdzie można przyjąć pieniądze mimo że Polski co najmniej się nie lubi.

Filmowcy i krytycy wychowali się albo w kulcie kłęski albo cynizmu albo humanizmu o za miękkim sercu. Nie potrafią zmienić pozycji wyzwoleńca, który pamięta pańskie razy na grzbiecie. Ktoś musi ich wyprostować. Będzie to trudne i bolesne, niejeden kark może zostać złamany przy zbyt gwałtownym przywracaniu do pionu. Nowy dyrektor PISF ma delikatne zadanie wychowawcze wobec środowiska: „Przeście smędzić. Tak, krytyka narodu jest uzasadniona, lecz znajmy proporcje. Polakom potrzeba szacunku i większej wiary w siebie. Wy macie nam tego dostarczyć a ja dostarczę kasę. I ma być warsztatowo dobre! Mam także pulę pieniędzy dla wielkich talentów, którym wszystko będzie wolno byle w ramach prawa”.

A teraz rzućcie się na mnie, wyzwoleńcy.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

Piórem Krystyny Mokrosińskiej Pogłoski o mojej śmierci były mocno przesadzone



W listopadowym numerze „Bez Wierszówki” Stefan Truszczyński napisał artykuł pt. „...najpierw na szczurach” (zob. 11/2017, s. 22) odnosząc się do tzw. doradców.

Wniosek: „społeczne pieniądze wydaje się łatwo”.

Całkowicie popieram ten wniosek ale posłużenie się przykładem Rady Konsultacyjnej CMWP uważam za kłamliwą manipulację. Jako prezes SDP-u zabiegałam o stworzenie takiego ciała przy Centrum Monitoringu Wolności Prasy. Wszyscy, którzy przyjęli zaproszenie, działali *pro publico bono*, bez jakichkolwiek honorariów, czy chociażby zwrotów kosztów podróży.

Oto lista członków Rady na przestrzeni lat 2005-2011: mec. Maciej Bednarkiewicz, Stefan Bratkowski (do 2007 r.), prof. Antoni Dudek, prof. Antoni Kamiński, prof. Tadeusz Kowalski, prof. Ireneusz Krzemiński, prof. Michał Kulesza, mec. Agnieszka Metelska, Jacek Moskwa, Nina Nowakowska, prof. Andrzej Paczkowski, Krzysztof Piesiewicz (do 2007 r.), Julia Pitera (jako szefowa Transparency International do 2007 r.), prof. Andrzej Rzepliński (do 2007 r.), mec. Jan Stefanowicz, dr Joanna Taczowska, Henryk Wujec, dr Tomasz Żukowski.

Na Zjazd w 2011 roku przygotowaliśmy zbiór dokumentów dotyczących prac Rady.

Ciekawa lektura i powinna być dziś obowiązkowa, szczególnie przy pokrzykiwaniu o zmiany w prawie, o lustrację, o tajemnicę zawodową, o sposób zatrudniania dziennikarzy itd. itd. Nie odkrywajmy świata na nowo do tego lekceważąc osoby, które z nami pracowały (podkreślam raz jeszcze – *pro publico bono*) są autorytetami w swoich dziedzinach, czy to się komuś podoba czy nie.

Rada nie „umarła śmiercią naturalną” jak sugeruje Stefan Truszczyński – to nowe władze SDP wybrane w 2011 roku nie miały potrzeby korzystania z jej doświadczenia.

I jeszcze jedno sprostowanie: Iwona Śledzińska-Katarasińska nie była nigdy, jak sugeruje Stefan, członkiem Rady.

Piórem Jerzego Jachowicza Przesmak w wojnie o media



Powoli nabrzmiewa sprawa repolonizacji mediów, odsunięta w czasie z powodu przedłużającego się ostatecznego wykluwania reformy sądownictwa. Ze zrozumiałych powodów fundamentalnej, bo otwierającej drzwi do innych ważnych zmian w państwie. Mając nadzieję, że – choć nie bez kłopotów – do końca tego roku uda się przeprowadzić reformę Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego, prawdopodobnie szczyt debaty o zmianie struktury mediów przypadnie na wiosnę przyszłego roku.

Nikt nie jest aż tak naiwny, by wierzyć, że kolejna wielka zmiana, można rzec o znaczeniu ustrojowym, przebiegnie bez konfliktów i oporów równie silnych, jak podczas procesu reformowania sądownictwa. I znowu należy liczyć się zarówno z głośnym i zmasowanym sprzeciwem zainteresowanych ośrodków medialnych,

zatrudnionych w nich osób jak i całej politycznej opozycji. To jest przesądzone niemal z definicji. Tak się bowiem ukształtowała rzeczywistość III RP, że najważniejsze instytucje w państwie były ostoją establishmentu politycznego ukształtowanego umowami okrągłego stołu, zaś politycy byli gwarantami trwania i rozwoju tych instytucji w możliwie najbardziej korzystnych dla nich warunkach.

Już jednak dziś dochodzi do pierwszych starć między obrońcami starego zakonserwowanego układu a zwolennikami reform. Świadcami takiej spontanicznie zrodzonego sporu byliśmy w tym tygodniu w Sejmie. Kiedy ktoś z opozycji zaczął kwestionować finansowe zwiększenie nakładów z budżetu na media publiczne, znany z polemicznego temperamentu i krewkości lingwistycznej poseł PiS Dominik Tarczyński. Przypominał jak to w czasach rządów koalicji

Platforma Obywatelska – Polskie Stronnictwo Ludowe kwitł nagminny proceder karmienia potężnymi pieniędzmi mediów prywatnych. Premiowane były szczególnie te, które wykazywały ogromną gorliwość w popieraniu tamtej władzy. Były jej tubami propagandowymi. Dzisiejsze kąśliwe uwagi, że pieniądze trafiają do mediów publicznych, zdaniem posła Tarczyńskiego, są hipokryzją.

To rozsierzdziło opozycję, z ław której zaczęły dobiegać mało przychylne okrzyki. Wśród nich jakiś głos kobiecy. To z kolei stało się wodą na młyn dla posła Tarczyńskiego: „A ty nie krzycz moja droga, bo krzyk niczego nie zmieni. Ani krzyk, ani jęczenie, ani wycie niczego nie zmieni. Jest wycie? Znakomicie!” – odparował gorący polemista.

To przedsmak tego, co nas czeka wkrótce. Aby do wiosny!

Piórem Wojciecha P. Kwiatka Głupia piosenka



Ten i ów może się obruszy, że jedną z najbardziej popularnych, ba, może i kultowych piosenek zmarłego niedawno Marka Grechuty tak postępują. Ale nic nie poradzę – ilekroć słucham utworu „Dni, których nie znamy”, ogarnia mnie to śmiech to dezorientacja moralna, intelektualna i artystyczna, żeby nie powiedzieć: etyczna.

Bo właściwie dlaczego? Dlaczego ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy?

Ładnie to, owszem, brzmi – nadzieja, że te dni może będą piękne, piękniejsze od tych, co już minęły. Ale przecież żadnej gwarancji nie ma! A może idzie o to, że na przyszłość możemy mieć jakiś wpływ? Teoretycznie oczywiście... No... niby na swoje życie powinniśmy móc mieć... Ale czy na pewno? I czy zawsze? Czy powiedzenie, że każdy jest kowalem swego losu, jest bezwzględnie prawdziwe?

Otóż to!

Nie jest! Każdy zdrowo myślący człowiek, który co nieco przeżył, powie, że to nie jest prawda. Że to prawdą czasem może być, ale na pewno nie musi!!!

Tak więc sprawę przyszłości mamy jakby załatwioną – dni, których jeszcze nie znamy, mogą być ważne – ale ta ważność może mieć dwie twarze: i sukces, i klęska są ważne, prawda? Ale znaku równości między nimi nie postawisz!

A dni, które już znamy, które już były?

O, te są ważne! Ważne, bo może z nich płynąć jakaś nauka na przyszłość. Jeśli zapomnimy o tym, co było, możemy wymazać „niechcący” z pamięci własne dawne błędy,

z których może powinniśmy się czegoś nauczyć? Czegoś, co może ukształtuje tak czy inaczej naszą przyszłość?! Zaryzykowałbym może taką diagnozę: przyszłość może być (bywa) summa wydarzeń przeszłych. Błędy, głupstwa, niefrasobliwość, podłość, małość, strach, bezmyślność, impulsywność w podejmowaniu decyzji – wszystko to może decydować (i jakże często decyduje!) o naszej przyszłości, o dniach, których jeszcze nie znamy. Czasem o takich sytuacjach mówi się, że ktoś „płaci za błędy młodości”, że „przeszłe wydarzenia rzucają na jego terazniejszość długi cień”. To wszystko bierze się z faktu, że nie przywiązujemy wagi do życiowych doświadczeń, że żyjemy z dnia na dzień uważając idiotycznie, że „ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”.

Jak to jest dalej w owej przedmiotowej piosence?

„Pewien znany ktoś, kto miał dom i sad, zgubił nagle sens i w złe kręgi wpadł” ... Proszę bardzo!!! Błędy w przeszłości popełnił, więc stracił „dom i sad”. Ale nie ustępuje: „On nie stoczył się, wytłumaczyć umiał sobie wtedy właśnie, że” ... Co sobie wytłumaczyć umiał – wiemy z refrenu. Ale czy ta wiara w ważność dni, których jeszcze nie znamy, gwarantuje temu znanemu komuś, że dalej będzie idylla? Czy on przemyślał, co doprowadziło go do tego, że „zgubił nagle sens”? Czy więc wyciągnął on wnioski z przeszłości? Czy ślepo wierzył, że ważne jest tylko to, co będzie? W tym drugim wypadku może się zdarzyć, że – postępując tak, jak wcześniej – znowu „zgubi nagle sens”.

Uczenie się na błędach, wyciąganie wniosków, autoanaliza i autorefleksja, „stanięcie w prawdzie”, jak mawia się dziś w środowiskach katolickich – to rzeczy niezbędne, by życie upływało względnie harmonijnie, by nie zdarzało się nam, że „zgubimy nagłe sens”.

Uff... Do jakich to wniosków podczas analizy banalnej piosenki można dojść? Cóż, kultura masowa – nawet jeśli Grechuta taki „masowy” nie był, potrafi dać asumpt do przemyśleń ogólniejszych bardzo nieraz wysublimowanych i dotyczących naprawdę ważnych spraw.

W tym momencie przypomniało mi się hasło wyborcze tow. Aleksandra Kwaśniewskiego z wyborów prezydenckich. Brzmiało ono: „Wybermy przyszłość”. Po czym okazało się, że bez spojrzenia w p r z e s z ł o ś ć przyszłość możemy mieć robaczywą i bez żadnych realnych perspektyw.

I teraz już, myślę, jestem usprawiedliwiony, że zająłem się głupią piosenką.



Krytyka cnoty!

Każdy w miarę kulturalny człowiek wie, że prawdziwa cnota krytyki się nie boi. Żołnierz na odcinku media publiczne, Jacek Kurski niewątpliwie zapomniał i o tej maksymie. Wystarczył jeden tekst Łukasza Warzechy o oportunistach związkowców, obruszenie się kilku posłów rządzącej partii, i już kolega Warzecha nie ma czego szukać w programie „W tyle wizji”. Jeżeli to nie małostkowość, to niby co?!

Podzielając oburzenie wielu kolegów ze Stowarzyszenia na brak obiektywizmu w mediach publicznych, ostatnie posunięcie szefostwa TVP związane z zawieszeniem jednego z prowadzących program w TVP Info, czyni z tej stacji – w linii prostej – ramię propagandowe ekipy rządzącej.

Łukasz Warzecha jeszcze nie tak dawno uważany był powszechnie za dziennikarza prawicowego. Powierzono mu prowadzenie konferencji promujących programy ugrupowań spod stempla Zjednoczonej Prawicy. Była prezes Polskiego Radia Barbara Stanisławczyk jego wybrała do przewodzenia uroczystości promującej jej książkę pod znamienym tytułem *Kto się boi prawdy? Walka z cywilizacją chrześcijańską w Polsce*. W roli gościa honorowego wystąpił nań prof. Andrzej Zybortowicz, doradca obecnego prezydenta ds. bezpieczeństwa, a całość imprezy objęło patronatem wpływowo dziś środowisko Frondy.

Dalej, Łukasz Warzecha nie napisał swojego tekstu, obraźliwego w mniemaniu wyżej wspomnianych, na łamach zniechęconej „Gazety Wyborczej” ani tygodnika „Polityka”, ale w wyjątkowy przychylnym rządzącej ekipie tygodniu „Do Rzeczy”. I przechodząc do meritum, cóż takiego napisał Łukasz Warzecha, co tak rozwścieczyło żołnierza PiS w gmachu przy ul. Woronicza? Zacytujmy istotny fragment: „Związek zawodowy – a związki zawodowe są populistyczne z samej swojej natury – wybrał po prostu całkowicie arbitralnie najbardziej spektakularny przedmiot ataków (nadają się do tego zwłaszcza sieci handlowe), wzmacniając w ten sposób swój polityczny wpływ. Nie ma tu żadnej spójnej myśli, żadnej konsekwencji – jest uszczęśliwianie ludzi na siłę i arogancka interwencja w wolność gospodarczą oraz osobistą, w której nie chodzi o nic więcej jak tylko o własną korzyść związkowców, czyli wąskiego grona zawodowych darmozjadów”.

Nie preferuję w tekstach publicystycznych epitetów, typu „darmozjadów”, bo to po prostu nieeleganckie. Ale co do przesłania trudno się nie zgodzić. Zrozumiałą rzeczą jest, że każda strona broni własnego gniazda. Piotr Duda reprezentuje związek NSZZ „Solidarność” i w sposób taki, jaki potrafi, stara się powiększyć swój stan posiadania. Atmosfera polityczna mu sprzyja, więc kuje żelazo, póki gorące. Ponadto istotą każdego związku zawodowego

na świecie jest populizm. Tu nie ma na co się obrażać. Przekaz ma być lapidarny, bez niuansowania złożonych kwestii gospodarczo-społecznych i dosadny. By media internetowe mogły tak skonstruowaną wypowiedź zacytować. Pracowałam w „Tygodniku Solidarność” wiele lat i było dokładnie tak samo.

Z tej powszechnie akceptowanej praktyki wyłamywał się raz po raz Janusz Śniadek, ale niezbyt długo zagrzebał miejsca na stanowisku przewodniczącego. Między innymi dlatego, że jego wypowiedzi dla szeregowych członków „Solidarności” były zbyt rozlekłe i mało czytelne. W „Tygodniku” podobnie, tylko za tego szefa związku możliwe były na łamach pisma wypowiedzi krytykujące – nazwijmy to – etatystyczną politykę kraju. Jeżeli przez nieopatrność redaktora naczelnego ukazała się jakaś opinia, która nie spodobała się przewodniczącemu, awantura była gotowa. Nie przyjmowano też spokojnie najmniejszej uwagi o potencjalnej nieudolności kierownictwa związku, jeśli chodzi o kurczące się jego szeregi. Inaczej niż to ma miejsce na Zachodzie, gdzie branżowe centrale związkowe są tak potężne, że żaden szef resortów gospodarczych nie ośmieliłby się pominąć reprezentanta któregoś z nich podczas procedowania ustawodawstwa dotyczącego kodeksu pracy.

Reasumując, kiedy o tej sytuacji poszeptowano wewnątrz związku, i wiedzieli o niej dziennikarze coraz bardziej niszowego pisma, jakim stał się „Tygodnik Solidarność”, opinia publiczna miała spokój. Kiedy odważył się wspomnieć o niej tygodnik o większym zasięgu, zagotowało się. I tak bardzo, że żołnierz Jacek Kurski zawiesza autora tejże publikacji. I to w sytuacji, kiedy Łukasz Warzecha był bodaj ostatnim dziennikarzem jako związanym z telewizją publiczną, który nie próbował wyprzedzić oczekiwań wóldarzy z ulicy Wiejskiej czy Nowogrodzkiej. Zaskakiwał błyskotliwymi ripostami, punktował niedouczenie polityków, prezentował niekiedy odmienny pogląd niż prowadzący czy pozostali zaproszeni goście. Słowem, dzięki jego udziałowi audycja stawała się ciekawsza, miała temperaturę, a widz dowiadywał się więcej. Był takim kwiatkiem na torcie upolitycznionych mediów. Kiedy podobny los spotka Grzegorza Jankowskiego, media publiczne niewiele będą się różnić od propagandowej stacji TVN, tylko *à rebours*. Przykro mi, ale niewielu jest w TVP prowadzących programy publicystyczne tej klasy, bo to są lata pracy i doświadczenia.

Prezes Kurski może sobie też pogratulować kolejnego *désintéressement*. Niedawno wyjątkowo kulturalny, obyty w świecie, od zawsze przychylny opozycji PRL-owskiej, a po 1989 roku prawicy – europoseł PiS prof. Zdzisław Krasnodębski był uprzejmy poinformować na Twitterze, że „to było ostatnie zaproszenie od TVP Info, jakie przyjąłem”.

Chodzi o flagową audycję TVP Info „Minęła dwudziesta”. Drugą zaproszoną osobą był Paweł Kukiz. Ostatecznie ten ostatni miał dla siebie cały czas antenowy. Profesor Krasnodębski miał na tyle taktu i dyskrecji, że nie podał oficjalnie prawdziwego powodu swojej decyzji. I niech tak już pozostanie.

Żeby było jasne, media publiczne za czasów rządu PO-PSL były też skrajnie upolitycznione. I dwiema rękami należy podpisać się pod słowami szefa Rady Mediów Narodowych Krzysztofa Czabańskiego, że „Telewizja Polska dopuściła do przekazu informacyjno-publicystycznego rzeczy, które przez lata były niedopuszczalne, albo wręcz wyśmiewane i niszczone, dzięki niej na rynku medialnym jest pluralizm”. Ale już druga część wypowiedzi świadczy, w moim przekonaniu, o niezrozumieniu idei mediów publicznych. Nie oznacza to li tylko, że „sama TVP jest pluralistyczna, ponieważ – jak uzasadniał – w debatach, które się w niej odbywają, spierają się różne osoby”. Gołym okiem „widać”, że w programach informacyjno-publicystycznych większą uwagę prowadzących cieszą się politycy ekipy rządzącej. Sednem sprawy jest jakość oferty programowej i obiektywizm przekazu. Niekiedy szandarowy program informacyjny TVP „Wiadomości” w materiałach *stricte* informacyjnych nie uwzględniają w ogóle innego punktu widzenia niż partyjny. A toż to przecież abecadło zawodu dziennikarza. Nie będę się nad tym rozwodzić, bo to wiedza powszechnie znana. Jeśli nie, tym gorzej dla tych, którzy o tym nie wiedzą.

Trudno też przyjąć stanowczą deklarację wicepremiera prof. Piotra Glińskiego o tym, które programy i w których stacjach TV bardziej dzielą Polaków i sieją nienawiść. Według wicepremiera jest nim „Szkło kontaktowe” w TVN, a ten, który jest delikatniejszy i oparty na humorze – to „W tyle wizji”. O gustach, jak radził klasyk, się nie dyskutuje. Bywają skrajnie nieobiektywne wydania „Szkła kontaktowego”, obrażające wręcz inteligencje widzów. Ale cechy te obecne są także w stacji preferowanej przez prof. Glińskiego. Łamańce ideologiczno-towarzyskie w wykonaniu jeszcze niedawnej kandydatki SLD na prezydenta Magdaleny Ogórek, budzą pusty śmiech czy obrażanie bez pardonu ludzi przez Krzysztofa Feusette. W porównaniu z nimi Łukasz Warzecha prezentował doskonale rzemiosło dziennikarskie i także poczucie humoru.

Wszystko to razem napawa smutkiem i bezradnością. Niemniej, według ustaleń kolegów ze Stowarzyszenia, należy toczyć dyskusje „w rodzinie” i pisać co nam w duszy gra, choć media konkurencyjne mają znacznie więcej grzechów na sumieniu. Przy, jednakowoż, jednym zastrzeżeniu, media prywatne rządzą się nieco innymi prawami. Media publiczne winne być jak – przysłowiowa – żona Cezara, gdyż to my, podatnicyłożymy na jej utrzymanie.

MARZANNA STYCHLERZ-KŁUCIŃSKA

Bronisław Sałuda – nie byłem ulubieńcem KW



FOT. © ANDRZEJ ZB. BRZOWOWSKI

Andrzej Zb. Brzozowski: W 1954 roku oddelegowana Pana z rozgłośni łódzkiej do ekspozytury w Olsztynie, w jakimś konkretnym celu?

Bronisław Sałuda: Sytuacja była taka, że w Olsztynie zachorował redaktor prowadzący ówczesną ekspozyturę Polskiego Radia i skierowano mnie na zastępstwo, na kilka tygodni. Zgodziłem się między innymi z tego powodu, że już wcześniej interesowałem się tym regionem. Jako dziecko czytałem *Krzyżaków* Sienkiewicza, a potem w okresie okupacji wpadła mi w ręce książka Melchiora Wańkowicza *Na tropach Smętka*. Do tego od najmłodszych lat byłem zapalonym wędkarzem, liczyłem więc na to, że podczas tego krótkiego pobytu w Olsztynie, powędkuję na dużo większe ryby, niż w swoich rodzinnych Mystkowicach. Od kilku lat miałem już strzelbę i nadarzała się sposobność zapolowania na dziką; rzadkość w Łodzi, o jeleniu lub sarnie nie wspominając.

Rok później pełnił Pan już funkcję dyrektora olsztyńskiej ekspozytury, a następnie rozgłośni przez kolejnych dziesięć lat. Tak się złożyło, że z krótkiej delegacji zrobił się przystanek na całe życie. Od tamtego czasu minęło grubo ponad pół wieku. Jest Pan absolwentem ekonomiki rolnictwa, autorem wielu publikacji na ten temat, skąd więc to zainteresowanie radiem?

Studiowałem w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi, pracując

jednocześnie w Zarządzie Wojewódzkim „Wici”, a później w ZW ZMP. Chciałem studiować dziennikarstwo, ale w Łodzi nie było takiego kierunku. Stąd te studia rolnicze. Pod koniec kariery działacza młodzieżowego, trzeba się było rozejrzeć za jakąś inną pracą. Mój znajomy dowiedział się o wolnym etacie w łódzkim radiu i do tego wszystkiego znał dyrektora. Zarekomendował mnie i tak znalazłem się w redakcji wiejskiej łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia. W ten sposób zaczęło się moje radiowe, a tym samym i dziennikarskie życie.

Jakie były początki Pańskiej pracy w olsztyńskim radiu?

Zaczynaliśmy przy ulicy Kajki 8. Małe pomieszczenia, mały zespół. Przyszedłem z dużej rozgłośni, uważałem więc, że to trochę mnie degradowuje. Pomału zaczęło to się rozrastać. Zespół dziennikarski był niebywale ambitny. Robiliśmy wszystko, żeby się jakoś odbić i coś znaczyć na Warmii i Mazurach, jak i w kraju. Marzyła nam się nowa rozgłośnia, marzył nam się własny nadajnik radiowy. Przyszły takie czasy, przed 56 rokiem, że można było coś w tej materii postulować. Między innymi powstał w mojej głowie pomysł, aby pobudować nową rozgłośnię. Przyszedł jednak rok 1956, już po wmurowaniu kamienia węgielnego, i cała inwestycja stanęła pod znakiem zapytania. Budowę rozgłośni odwołano. Protestując, wysmażyłem w tej sprawie list otwarty i zgłosiłem swoją dy-

misję. Mogłem sobie na to pozwolić, bo byłem samotny, nie obciążony rodziną. Poza tym była już „atmosfera października”. Zaryzykowałem, list wydrukowano w „Warmii i Mazurach”. Ówczesny prezes radiokomitego przyjął moją rezygnację i zwolnił mnie ze stanowiska. Na jego miejsce przyszedł jednak nowy prezes, Włodzimierz Sokorski, któremu widocznie spodobał się mój gest i cofnął moje zwolnienie i poczynił starania, że nowa rozgłośnia będzie w Olsztynie budowana.

Co się zmieniło po zmianie ekspozytury na rozgłośnię w 1958 roku?

Mieliśmy własny maszt nadawczy, własną radiostację przy ulicy Żołnierskiej. Zaczęliśmy aspirować do konkurencji z innymi rozgłościami. Program ogólnopolski z Olsztyna idący na antenę w Warszawie był większy niż na przykład w Szczecinie, gdzie była duża rozgłośnia. Pomimo tego, że mieliśmy mniejszy zespół i mniejsze środki. Mieliśmy za to własne zespoły artystyczne, jak na przykład chór pod kierownictwem Włodzimierza Jarmołowicza, czy orkiestrę Zbyszka Chabowskiego. Osobną instytucją kulturalną zaczęła być „Olsztyńska Szopka”.

W nowym budynku było o wiele łatwiej pracować. Zaczęły powstawać coraz ciekawsze produkcje, takie jak słuchowiska, reportaże, audycje tematyczne. Wcześniej były to głównie pisane i dźwiękowe informacje, dzielone muzyką. Nie było magnetofonów i wozu transmisyjnego. To był długi proces zmian. Rozgłośnia stawała

się pomału kulturotwórczym obiektem Warmii i Mazur.

Jak długi był czas antenowy w tamtym okresie?

Zaczynaliśmy od trzydziestu tysięcy głosników. Były to tzw. „toczki”. Doszliśmy prawie do dwustu tysięcy, do tego doszła radiostacja z trzydziestokilometrowym zasięgiem. Ale słuchano nas także o wiele dalej... mieliśmy nawet sygnały z Ameryki Południowej. Odbite fale w wyjątkowo sprzyjających warunkach atmosferycznych docierały nawet do Brazylii. Początkowo nadawaliśmy dziennie przez godzinę. Wtedy to było bardzo dużo.

Czy od samego początku był podział na redakcję?

Oczywiście, że tak. Podstawową była informacyjna, potem doszła redakcja reportaży, literacka, muzyczna. Stopniowo to się rozszerzało.

W jaki sposób rekrutowano dziennikarzy?

Początkowo to nawet nie matura, lecz chęć szczerza pozwalała awansować na radiowego redaktora. Często decydował przypadek. Z tego pierwszego naboru grzechem byłoby nie wymienić Piotra Napiórkowskiego. Kurp z pochodzenia, liźnął parę klas przedwojennego gimnazjum, ale opanowanie języka, wprost złote pióro.

Czasami kogoś nam podrzucała Warszawa. W ten sposób przyszedł do nas między innymi redaktor Mirosław Tomaszewski. Parę osób zgłosiło się osobiście, jak na przykład Maryna Okęcka. Bardzo dobry nabytek. Pracowała w banku. Przyszła, zrobiła kilka audycji i stała się kimś, i to nie tylko w radio. Po znajomości udało się ściągnąć Annę Kochanowską (autorka i reżyseria słuchowisk oraz *spiritus movens* „Olsztyńskiej Szopki Radiowej”). Także Stanisław Pawliczak po maturze poszukując pracy sam się zgłosił. Okazało się, że ma ciekawy głos. Zaczął praktykować jako sprawozdawca radiowy, na umowę, bez etatu i w ciągu kilku lat wyrósł na ogólnopolską, a nawet europejską skalę. Podkupiła go radiu telewizja. Jego głos słyszało się potem z satysfakcją nie jeden raz w sprawozdaniach z najważniejszych światowych, sportowych imprez. To był dziennikarski klejnot i żałować należy, że odszedł w tak młodym wieku.

Kiedy zakończył Pan współpracę z olsztyńską rozgłośnią?

To długa historia. Prawdopodobnie nie byłem ulubionym dzieckiem Komitetu Wojewódzkiego, ani w ogóle olsztyńskiej władzy. Między innymi dlatego, że zacząłem wojować i zwyciężyłem, jeżeli chodzi na przykład o budowę nowej rozgłośni. Pewnie zawsze patrzono na mnie z rezerwą. Zwłaszcza, że nie należałem do tych,

którzy przemawiają na plenach Komitetu. Nie zabrałem głosu ani razu, bo mnie się wydawało, że jest to międlenie i strata czasu. Poza tym uważałem, że powinienem i zwolnić sekretarza POP. Stało się to za zgodą egzekutywy naszej partyjnej organizacji radiowej i za zgodą związków zawodowych. Nie dokonałem żadnej samowoli, ani prawnego wykroczenia. „Ale... wiecie... rozumiecie... to nie może tak być, żeby partia, nie była ważniejsza od władzy administracyjnej” – tłumaczył mi ówczesny sekretarz propagandy KW Michał Atlas, proponując, że nie będzie sprawy, gdy przyjmę z powrotem wyrzuconego sekretarza do pracy w rozgłośni. Nie zgodziłem się, bo uważałem, że postąpiono słusznie. Ale przecież nie mogłem się kopać z koniem. Skoro nie chciałem tego nakazu wykonać, wiedziałem, że w takiej sytuacji muszę odejść.

Prezes Sokorski poszedł mi bardzo na rękę, bo nie zwolnił mnie, tylko przeniósł na etat korespondenta terenowego rozgłośni centralnej. I wtedy dopiero mogłem zacząć pracować na własny rachunek. Zrobiłem przy tej okazji doktorat. Potem zaraz niedługo przyszła emerytura i zaczął się kolejny etap w moim życiu.

Jakie są Pańskim zdaniem najważniejsze zmiany, które dokonały się przez te lata w dziennikarstwie radiowym?

Wiem jak było wtedy, kiedy w radiu pracowałem. Potem radio, jako instytucja, już mnie nie interesowało. Nie słucham radia i nie mam radia w samochodzie. Nie wiem co się teraz w radiu dzieje. Wiem, że nawet porównywać trudno z tym, co było dawniej, skoro teraz nie godzinę, lecz całą dobę nadawany jest program i to na kilku zakresach fal równocześnie.

Jako pasjonat myślistwa sporo Pan na ten temat publikuje. Jedną z takich publikacji jest między innymi *Bigos myśliwski*, ale nie chodzi tu chyba o kulinaria?

To jest zbiór humoresek, przysłów i anegdot związanych z łowiectwem. Potem pojawiła się pozycja *Królowe polskie na łowach* (2000) oraz *Polscy władcy na łowach* (2007). W tej chwili jest w opracowaniu *Nowy słownik języka łowieckiego*. Tak bogatego tematycznie i obszernego, około 400 stron, słownika nie było do tej pory. Niezależnie od tego, jest już zakończona redakcja pierwszej w Polsce autorskiej, ilustrowanej, encyklopedii łowieckiej. 25 tysięcy haseł, w dwóch tomach, każdy po około 400 stron.

Jest Pan też autorem książki *Humor polityczny 1989-2014*, widać więc, że ma Pan dość szeroki krąg zainteresowań?

Zdarzyła się taka publikacja. Mam bardzo bogate archiwum dotyczące żartów poli-

tycznych i obyczajowych. Kilka metrów bieżących kartoteki. Problem w tym, kto po moim odejściu mógłby to przejąć i użytkować. To jest zbiór całego życia.

Na zakończenie poproszę o jakąś anegdotę z Pańskim udziałem?

Przypomina mi się teraz taka sytuacja. Kiedy już została oddana do użytku nowa rozgłośnia przy ulicy Radiowej, to pozostał do zagospodarowania obiekt starej rozgłośni, przy ulicy Kajki 8. Doszły do mnie takie słuchy, że władze chciały tam urządzić hotelik dla VIP-ów, którzy odwiedzają województwo olsztyńskie. Zaproszono mnie na spotkanie w tej sprawie, na którym powiedziałem, że nie mam nic przeciwko temu. Mam tylko jeden warunek. Potrzebuję mieszkań dla pracowników radia. Jeżeli otrzymam pięć mieszkań do dyspozycji, to wtedy... proszę bardzo. W przeciwnym razie nawet nie mamy o czym rozmawiać. Nie oddamy Kajki 8, a jak zajdzie konieczność, to staniemy w oknach z toporkami pożyczonymi od strażaków i będziemy się bronić. „Ale to już grozi więzieniem!” – zareplikował gwałtownie wojewoda Rubczewski. Ja na to: „Gomułka też siedział!”. Na tym sprawa się skończyła i nikt więcej do niej nie wrócił. Przy ulicy Kajki 8 zamieszkali pracownicy rozgłośni.

Przypomniała mi się jeszcze jedna humorystyczna sprawa związana z redakcją przy ulicy Kajki 8. Trochę wcześniejsza. Do radia przychodziły specjalne biuletyny PAP, krajowe i zagraniczne. Cały czas były adresowane na: „Olsztyn, ul. Kajaki 8”. Nie prostowaliśmy. W Warszawie pewnie o Kajce mało kto wiedział, a Warmia i Mazury kojarzyły się wszystkim z kajakami i uważali, że wszystko jest więc w jak najlepszym porządku.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOWSKI

Bronisław Sałuda – absolwent ekonomiki rolnictwa warszawskiej SGGW, doktor nauk ekonomicznych. Autor wielu publikacji o tej tematyce. Nestor olsztyńskich dziennikarzy. Do Olsztyna przyjechał w 1954 roku; został oddelegowany z radia łódzkiego do ekspozytury Polskiego Radia w Olsztynie. W latach 1955-1965 pełnił funkcję redaktora naczelnego olsztyńskiej rozgłośni; w tym czasie ekspozytura przekształciła się w rozgłośnię i przeniosła się do nowej siedziby, z ulicy Kajki na ulicę Radiową. Wydawca i pasjonat myślistwa. Przygotowuje m. in. encyklopedię łowiectwa oraz „Kalendarz historyczny Polski północnej” ze szczególnym uwzględnieniem Warmii i Mazur.



Pomnik Katyński w Jersey City

FOT. © AIDAN WAKELY-MULRONEY / FLICKR.COM



„Narodowy Pomnik Katyński” w Baltimore

FOT. © SAM601601 / FLICKR.COM



Podczas pracy nad pomnikiem „Rzeź Wołyńska” Gliwice 2017

FOT. © SAN24.PL

„Mściciel” w Doylestown FOT. © SHEENA 2.0™



Bogu i Rodakom

Andrzej Pityński – dziś siedemdziesięcioletni rzeźbiarz, Polak który przed 40. laty wyjechał do Stanów Zjednoczonych, odznaczony został w Dniu Niepodległości przez Prezydenta Andrzeja Dudę najwyższym odznaczeniem, Orderem Orła Białego.

Kilka dni po uroczystości w Pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, siedzimy przy kuchennym stole w domu rodzinnym artysty w Ulanowie. W nocy wrócił z Gliwic, gdzie sprawdzał postęp prac przy najnowszym swoim potężnym dziele – pomniku „Rzeź Wołyńska”, wysokim na 7 metrów. Ten wielki monument – jak wszystkie u Pityńskiego – stanie za kilka miesięcy w Jeleniej Górze.

Telefonuje przyjaciel Pana Andrzeja. Informuje go o napaści słownej ze strony lewackiej prasy. Zamiast gratulacji – epitety i wyzwiska. Rzeźbiarz słucha spokojnie odczytywanej treści artykułu. Uśmiecha się.

– Zawsze tak jest. Ale to mnie tylko mobilizuje – mówi. Tematem prac czynię naszą historię, naszych bohaterów narodowych i Bożą Opiekę nad nami wszystkimi. Takie ataki jak ten, utwierdzają mnie, że mam rację.

W 1979 roku podjął pracę w eksperymentalnej placówce naukowej specjalizującej się w wielkich odlewach z metali kolorowych i ze stali Johnson Atelier w Princeton w New Jersey. Stąd powędrowało w świat kilkadziesiąt wielkich rzeźb. Stoją bardzo eksponowane, na najważniejszych placach i w parkach miast – w Bostonie („Partyzanci” – oddział konnych jeźdźców z pikami, monument o wymiarach 9 x 6 x 5 metrów – za co dostał dyplom uznania od Senatu Stanu Massachusetts i wygłosił w izbie reprezentantów przemówienie przyjęte przez senatorów owacją na stojąco). W Jersey City, naprzeciw miejsca gdzie stało World Trade Center, znajduje się pomnik przebitego bagnetem żołnierza, odsłonięty w 50-lecie zbrodni katyńskiej. Wywołało to wówczas furję ze strony władzy w Polsce i zamknęło Pityńskiemu drogę do kraju na całe lata.

Dziś historia się powtarza w wykonaniu antynarodowych, lokalnych sił.

– Nic to – mówi rzeźbiarz. – Będziemy walczyć o wzniesienie pomnika upamiętniającego zbrodnię wołyńską w Jeleniej Górze, tak jak to było ustalone. Zawsze podejmujemy najważniejsze tematy, a ten jest teraz bardzo istotny.

Pityński wyrzeźbił pomniki bohaterów naszej historii: Marii Skłodowskiej-Curie



Wernisaż wystawy Andrzeja Pityńskiego w Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego w Warce, 2017 FOT. © RAFAŁ DONICA / MUZEUMPULASKI.PL

(Bayonne), Jana Pawła II (Manhattan), Jerzego Popiełuszki (Trenton). W Warszawie na Żoliborzu jeździec na koniu w skoku – pomnik „Błękitnej Armii Generała Józefa Hallera”, w Hamilton „Sarmata”, w St. Petersburgu na Florydzie pomnik Tadeusza Kościuszki. Na cmentarzu polskim w Doylestown, zwanym amerykańską Częstochową, stoi „Mściciel” – kłęczący huzar o gigantycznych wymiarach 10 x 6 x 5 metrów.

W rodzinnym Ulanowie, leżącym u zbiegu Sanu i Tanwi, przepięknym miasteczku, które prawa otrzymało od króla Zygmunta III Wazy już w 1616 roku, Andrzej Pityński oczywiście również zostawił swoje dzieła. Bezinteresownie. Wykonał wielkie płaskorzeźby – „Ulanowską Tarczę Honoru” ku czci ofiar II wojny światowej, w tym 2,5 tys. Żydów zamordowanym przez Niemców zaraz po wkroczeniu na te ziemie we wrześniu 1939 roku. Stanowili oni wówczas połowę mieszkańców Ulanowa. Dziełem Pityńskiego jest również orzeł z brązu na ratuszu, a także pomnik polskiego papieża stojący w parku oraz popiersie zasłużonego dla miasta wieloletniego burmistrza Ulanowa – Andrzeja Bąka.

Dziś w miasteczku odradzają się flisackie tradycje. To teraz polska stolica ludzi związanych ze sprawami transportu drewna Sanem i Wisłą aż do Gdańska. Odbyły się ostatnio prawie 700-kilometrowe spławy turystyczne do Gdańska. Cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Jak potężne były niegdyś flisackie tratwy można zobaczyć na zdjęciach w otwartym przed dwoma laty w Ulanowie Muzeum Flisactwa Polskiego. Warto tu przyjechać – zaprasza burmistrz Ulanowa

Stanisław Garbacz, który kieruje miastem od 10 lat. Warto zwiedzić unikalne, drewniane kościoły pochodzące z XVII wieku – pod wezwaniem Jana Chrzciciela (patrona wód) i pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej. W parku pod miastem znajduje się także kirkut liczący ponad 400 lat.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI



„Patriota” w Stalowej Woli

FOT. © DONALD M. REYNOLDS, 2014

Nie zostawił tutaj żadnego dziedzica...

5 grudnia 2017 roku mija 150 lat od chwili narodzin Józefa Piłsudskiego; po 99-leciu odzyskania przez Polskę niepodległości okrążyła rocznica urodzin głównego jej Wskrzesiciela (5 grudnia 1867) skłania do tego, by przyrzec się temu, jak współtworzyli jego legendę współcześni mu pisarze i poeci wkrótce po tym, jak go zabrakło.

Warto posłużyć się kilkoma istotnymi tekstami, napisanymi przez znanych i mniej znanych autorów, zawartymi w książce, której tytuł Czytelnicy znajdą w pewnym miejscu wśród poniższych cytatów.

1.
Pamięć – łez zapomina i smutki upiększa,
Wierność – gorzkie pamiętki słodyczą nasycza.

Nie zostawił po sobie żadnego dziedzica.
Jego to wina jest, czy nasza? Czyja większa?
[...]

* * *

Nam nie trzeba historii, ale mitologii.
Nam Wódz po to potrzebny, aby był legendą.
Gdy go wiersze owiną i piosnki oprzędą,
Będzie nas wiódł na wszystkie bezdroża
i drogi,
Póki cud jest strategią, a pieśń jest komendą.

Nam, najgorszym ciężarem dni powszednie ciężą.

My zawsze swym hetmanom, na każdą wyprawę

Jedną ręką dajemy zwycięską buławę,
By drugą im odebrać ją – ledwie zwyciężą.
[...]

Czy dzisiaj Srebrne Dzwony w podwawelskiej baszcie

Przypomną go podzwonnym srebrnej melancholii?

Lecz wy coście go znali, w podaniach przekażcie,

Ze po wiekach marzenia, po nocy niewoli,
Po ciemności, co złotym świtem się przesila,
Gdzież jest w historii Polski taka jedna chwila –

Chwała, od której idą ognie, blaski, dreszcze

I krzyki i wiaty – wciąż je słyhać jeszcze –
Grają na złotych trąbkach natchnienia trębacze,

Oszalała ze szczęścia warszawska ulica
Kwiaty rzuca i krzyczy – śmieje się i płacze –

A on jedzie pośrodku krzyczących szpalerów,
A on jedzie na czele swoich szwoleżerów –
A wszystkie dzwony biją ze wszystkich kościołów –

Amarantem i bielą trzepoczą sztandary –

A on mówić nie może. Mundur na nim szary

* * *

Nie zostawił po sobie żadnego dziedzica

Lecz wy coście go znali, w podaniach przekażcie,

Ponad żal, ponad ciemność mogił i popiołów,

Ową chwilę – chorągiew wolności na maszynie.

Jeszcze wiernych poetów idzie za nim lament,

Oni jedni go zbawią od polskiej amnezji,

By mógł, wprawiony w wiersze jak ognisty diament

Pozostać tam, gdzie jego miejsce jest –
w Poezji.

Marian Hemar, *Strofy trudne*
(między 1962 a 1967)

2.

„Ludzie tacy jak Józef Piłsudski nie przechodzą na świat po to, aby zaświecić jak meteor w nocy i zostawić po sobie mrok. Dani są narodom jako wieczne światło, jako drogowskaz, jako księga mądrości i właśnie za grobem są ich największe zwycięstwa.

Nauka, przykład Józefa Piłsudskiego stawać się nam będzie coraz bardziej religią, taką samą, jaką była walka o wolność dla naszych ojców i dziadów, będą one przenikać coraz głębiej w naród jako ideał szlachetnej siły, rozumnej dumy, dobrowolnego ładu, nieustannego tworzenia i walki, i będą z tego narodu czynić coraz potężniejszą, rozumniejszą, bardziej świadomą jedność [...]”

Jan Lechoń, * * * („Gazeta Polska”, 17 V 1935)

3.

Gdy Kazimierz Wierzyński dowiedział się w maju 1935 roku o śmierci Józefa Piłsudskiego, wraz z wieloma innymi udał się pod Belweder. Tam spotkał również zapatrzonego w okna pałacu swego znajomego, znanego ówczesnego malarza, Wojciecha Jastrzębowski (autora wystroju plastycznego trumny Marszałka). Ów, wskazując głową na tłum stojący u sztachet,

powiedział poecie: „To wszystko sieroty, już nie będzie brwi, pod które mogliśmy się schronić”. Potem Wierzyński w *Pamiętniku poety* zanotował m. in.:

„[...] Do młodych ludzi sprzed 1914 roku, dla których Polska była religią, a poświęcenie dla niej treścią życia, Piłsudski przyszedł jak po swoje. Stał się od razu ich przywódcą i symbolem wiary. Nie liczyli się na miliony, ale byli gotowi na wszystko, nawet na śmierć. Zginąć za Polskę, znaczyło tyle, co śnić o jak najwyższym obowiązku. Sny te krążyły po wszystkich domach w Polsce, mieszczańskich i robotniczych, pańskich i chłopskich. Młode głowy nie cierpiały na bezsenność, a sny nie znają przywilejów klasowych.

Dwadzieścia jeden lat, które potoczyły się od wymarszu Legionów do tej śmierci za żelaznym ogrodzeniem, zmieniły wiele we wszystkich Polakach. Nawet dla tych sprzed 1914 roku Polska przestała być religią, a poświęcenie dla niej w niczym nie przypominało snów romantycznych. Nie zmieniło się tylko jedno: wygodna zgoda, aby ktoś robił wszystko za innych, leniwy i serdeczny błogostan, że można się schronić pod wielkie brwi i tam zażywać spokoju.”

Za: Marek Arpad Kowalski, *Na stos*
(Warszawa 2005)

4.

Co teraz? Zamknąć wszystko w tych ścianach i nosić

Po pokojach los trudny i ziemię rozległą.
Zdawało się, że wolność to już będzie dosyć,
A to jest tylko tyle, ilu ich poległo.

Gdzie patrzeć przez te ściany?

Oto rzeka rwąca [...]

Nikt nurtu nie wywróży, losom nie poradzi [...]

Kazimierz Wierzyński, *Belweder*
(*Wolność tragiczna*, 1936)

FOT. © NAC



5.

„Napoleon wchodził cały w swój czyn, przeistaczał się weń, znikał w swym czynie. [...]

Ale ten Wielki był większy od swych czynów.

Nie mieścił się w żadnym z nich. Pozostawał poza nimi ogromny i nieodgadniony. Nie zużywał do cna swych rezerw. Jak gdyby oszczędzał się dla czegoś większego. Jego siła, jądro jego istoty pozostało nieużyte. Położył się nim na Polsce jak chmura i trwa.

Jego rola dziejowa dopiero się zaczyna

Napoleon był cały obecnością i chwilą, jak świetny fajerwerk, mający tylko jedno przeznaczenie: wyeksploatować się do końca. Dla Tamtego czyn nie był ostateczną rzeczą. Z niechęcią, ciężką i nieskorą ręką wypuszczał je spod płaszcza, gdy już inaczej nie można było: czyny egzemplaryczne. Siła moralna, która trwała za czynem, była dlań ważniejsza. Ciulał ją w narodzie. Gruntował kapitał żelaznej mocy. Naprzód w sobie. Od tego rósł na oczach wszystkich, brał w siebie wielkość. Lokował ją w sobie jako w najpewniejszym miejscu. Budował posąg. W końcu, gdy dopełnił swej wielkości, odszedł pewnego dnia niepostrzeżenie, bez słowa, jak gdyby to nie było ważne, zostawiając ją zamiast siebie: wielkość noszącą już na zawsze jego rysy.

Napoleon reprezentował tylko siebie. Ubrał się w historię jak w płaszcz królewski, zrobił z niej tren wspinały dla swojej kariery. Jednym z momentów jego siły było to, że był bez tradycji, nie obciążony przeszłością.

Tamten wyszedł z podziemi historii, z grobów, z przeszłości. Był ciężki marzeniami wieszczów, mglisty rojeniami poetów, obciążony męczeństwem pokoleń. Był cały dalszym ciągiem. Ciągnął za sobą przeszłość jak płaszcz ogromny na całą Polskę.

Jego twarz była może za życia twarzą indywidualnego człowieka. Zapewne ci, którzy byli w pobliżu niego, znali Jego uśmiech i zachmurzenie, błysk chwili na jego twarzy. Nam z daleka coraz bardziej gubią się indywidualne rysy.

[...]

Umierając, wchodząc w wieczność, marzy ta twarz wspomnieniami, wędruje przez szereg twarzy, coraz bledsza, przestronniejsza i promienniejsza. Aż w końcu z nawarstwień tych twarzy układa się na niej i zastęga w maskę ostateczną oblicze Polski – już na zawsze.

Bruno Schulz, *Powstają legendy*
(„Tygodnik Ilustrowany” 1935, nr 22)

6.

„Uroda tej twarzy.
Uroda tego nazwiska.
Uroda tej legendy.

Legendy czy rzeczywistości? Rzeczywistości tak niezwyklej, iż, aby zostać przyjętą, a raczej udźwigniętą przez rzesze, musi jawić się w kształcie legendy? W swoim znakomitym, proroczym eseju Bruno Schulz odpowiedział na to pytanie. Dla nas żyjących w końcu XX stulecia z perspektywy ponad pół wieku, postać Józefa Piłsudskiego nie przestaje promieniować zupełnie wyjątkowymi cechami charakteru, myśli i czynu. To przecież polski epos rycerski, najpiękniejszy, bo prawdziwy.”

Krzysztof A. Jeżewski, *Polski Ulisses*
(postowie do książki *W blasku legendy*,
przezeń przygotowanej i wydanej przez Editions
Spotkania, Paryż 1988)

7.

W innym miejscu swego tekstu Krzysztof A. Jeżewski rysuje antynomiczny „portret Piłsudskiego, Polaka-Litwina, Sarmaty-Europejczyka, romantyka-pozytywisty, idealisty-realisty, szlachcica-robotnika, rewolucjonisty-tradycjonalisty, patrioty-antynacjonalisty, prekursora zjednoczonej Europy, poety-polityka, człowieka wielkiej kultury, wyrafinowanych manier i srogięgo, rubasznego weredyka, ascety o niezwykłym uroku osobistym, serdeczności, dobroci i poczuciu humoru, konspiratora, bojowca, żołnierza i kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla”.

A w przypisie, wskazując tę dwoistość charakteru Marszałka, dodaje niezwykłą informację, dotyczącą fizycznego kształtu jego rąk. Jak pisała w swych Wspomnieniach Aleksandra Piłsudska: „Najciekawszy był jednak kontrast między jego prawą i lewą ręką. Lewa dłoń – wąska i nerwowa, kształtna i delikatna, zakończona kobiecymi niemal palcami, to ręka artysty i marzyciela. Prawa była o wiele większa, jakby innego człowieka. Silna, nawet brutalna, z równymi kwadratowo zakończonymi palcami, tak silna, że – zdawało się – mógł

by w niej łamać podkowy; była to ręka żołnierza i człowieka czynu”.

8.

Ową dwoistość charakteru Piłsudskiego odmalowuje w jeszcze inny sposób poniższy wiersz:

Lotny gołąb wyleciał z Zułowa,
opadł kędyś w sybirskich tajg głębie,
dusza rosła hartowna, stalowa,
serce jeno zostało gołębie.

Rozkaz Wodza grzmiał w boju z kul świętem,
czoło pełne zadumy i troski,
serce – kryształ, pogodne i czyste
dla kochanych żołnierzy ojcowskie.

I od ognia dziejowych wydarzeń
rozgorzało płomieniem gorącym,
zapatrzone w czyn śmielszy od marzeń
promieniało to serce jak słońce.

Zawsze pełne górnego zapachu
ogrzewało legunów szeregi
serce – czara z jasnego kryształu,
zawsze pełne Ojczyzny po brzegi.

Lecz umilkło, gdy nocą majową
Stwórca na nim dłoń swoją położył,
już w Czyn wielki wcieliło się słowo,
już spełniona ofiara; kraj ożył.

I ucichło jak gołąb strudzony
i przy łkania żalonym odgłosie
do stóp Matki zanosły je dzwony,
Serce – Słońce spoczęło na Rossie.

Wanda Malicka, *Serce Wodza* (1936)

Wybrał JERZY BIERNACKI

PS. Poza cytatem z książki Marka Arpada Kowalskiego, pozostałe wiersze i wypowiedzi prozą zaczerpnąłem z pracy pt. *W blasku legendy*. JB



Multum in parvo czyli rzecz o miniksiążkach

W niektórych publicznych i domowych bibliotekach i zbiorach, a także w księgarniach, można jeszcze napotkać książki o szczególnym formacie i treściach – to miniksiążki.

Miniaturyzacja – nie tylko książek – od dawna stanowiła jedną z domen zainteresowań ludzi, wszak małe jest piękne. Rozwój technik i technologii umożliwił zainteresowanym wydawcom miniaturyzowanie książek, kreując tym samym, swego czasu, całkiem niemałe grupy kolekcjonerów, hobbystów i zbieraczy miniksiążek.

Miniksiążka – co to takiego?

Definicji pojęcia „miniksiążki” jest wiele. Nasza rodzima *Encyklopedia wiedzy o książce* określa wymiary książki miniaturowej na poniżej 54 x 34,5 mm.

Pierwowzorem (prototypem) miniksiążki są z pewnością sumeryjskie, gliniane tabliczki, „zapisane” pismem klinowym. Ich wymiary wynosiły najczęściej 1,3 x 1,6 cala (cal to 25,33 mm), czyli około 33 x 40,5 mm. Powstały mniej więcej 2050-2000 lat przed n. Chrystusa.

Warto dodać, że już w starożytności miniksiążki były przedmiotem zainteresowań i kolekcjonowania ówczesnych „konsumen-

tów” książek. Podobno – chociaż trudno to sobie wyobrazić – Ciceron miał *Iliadę* napisaną tak drobnymi literami, że mieściła się w skorupie orzecha. Zarówno w starożytnej Grecji jak i Rzymie miniksiążki były nie tylko pieczołowicie i starannie pisane, ale też oprawiane w złoto czy srebro, umieszczane w pierścieniach i medalionach.

Bardziej widoczny rozwój miniksiążek nastąpił po rewolucyjnym wynalazku Gutenberga. Początkowo były to popularne podówczas almanachy, stanowiące połączenie użytecznych tekstów, informacji itp., ze zdobioną oprawą. Najbardziej znany i jeden z najwcześniejszych almanach został wydany w Anglii w roku 1508. Był oprawiony w brązową skórę, a jego wymiary wynosiły 30,5 x 36,5 mm.

W miarę postępu technik drukarskich malały też wymiary miniksiążek. Wydany w 1843 roku w Londynie almanach mierzył 21 x 13 mm.

Wiek XVII to szybki rozwój miniksiążek religijnych, modlitewników i śpiewników na rozmaite okazje. Ukazało się też wiele

wydań Biblii, które z racji swoich rozmiarów, zwano paluchowymi lub kciukowymi. Kolejne dziesięciolecia, to okresy widocznych postępów w systematycznych procesach miniaturyzowania książek. Na początku XX wieku za najmniejszą książkę uważano słynne *Listy Galileusza do Krystyny de Lorenc*. Książeczkę napisaną w 1615 roku wydało wydawnictwo braci Salmin, w języku włoskim. Liczyła 205 stron, o wymiarach 16 x 11 mm (w tym powierzchnia składu 10 x 7 mm). W roku 1904 wydawnictwo David Brais & Son z Glasgow opublikowało pełne wydanie dzieł Szekspira w 40 tomach. Owo wydanie stanowiło swego rodzaju arcydzieło i przełom w ówczesnej sztuce poligraficznej. Co ciekawe, kolekcję – tomy o wymiarach 38 x 52 mm, skład 25 x 42 mm – można było czytać bez żadnych pomocniczych narzędzi, np. okularów. Dodać należy, że każdy z tomów liczył od 300 do 512 stron, a oprawa to złożona, sztuczna skóra.

Postęp sztuki poligraficznej sprawił, że miniksiążki mogły być powielane z książek dużych formatów. Zaczęły powstawać



FOT. © KSIĄŻNICA POLSKA

swego rodzaju biblioteczki podróżnicze zawierające miniksiążki. Pierwsza taka biblioteka powstała w Paryżu w 1802 roku. Wiadomo też, że taką biblioteczkę, zawierającą 49 minitomów woził ze sobą podczas wypraw wojennych Napoleon.

Wiek XIX i XX to widoczny rozkwit „produkcji” miniksiążek. Ich oferta zaczyna być już bardzo widoczna w blisko 40 krajach świata. Miniksiążki lokowane bywają na rozmaitych targach i wystawach. Wielkość wydań to często zarówno kilkadziesiąt, jak i kilkadziesiąt tysięcy jednego nakładu.

W postaci miniksiążek pojawiają się w przestrzeni społecznej zarówno na przykład wydawnictwa słownikowe, jak i książki użytkowe, reklamujące miasta, hotele, zabytki itp. Pojawiają się też nowe wymyślne oprawy miniksiążek: zamszowe, metalowe, płócienne, drewniane, czy oprawy z medalionem.



FOT. © BRANDSPECIALCOLLECTIONS.BLOGSPOT.COM

Miniatury książkowe w Polsce

Miniksiążki w Polsce pojawiają się w 1. połowie XIX wieku, a więc w okresie, w którym nasz kraj nie był niepodległy. Książki wówczas wydawane spełniać musiały to, co nazywamy dzisiaj czytelnictwem, ale miały podtrzymywać ducha narodowego, pielęgnać języka polskiego czy też szerzenie oświaty i kultury polskiej, dzieci w szczególności.

W 1829 roku warszawska księgarnia Hugnes & Kermen, z inicjatywy F. S. Dmochowskiego – wydawcy, pisarza i księgarza, rozpoczęła wydawanie miniserii pt. „Podarunek dla dobrych dzieci”. W ramach tej serii ukazało się siedem tytułów.

Poszczególne tomiki miały format 96 x 65 mm. Seria ta była kontynuowana przez księgarza i wydawcę Natana Gluckshberga jako „Biblioteka dla dobrych dzieci”. W 1882 roku wydawnictwo B. Lesmana w Warszawie rozpoczęło wydawanie dziecięciotomowego zbioru miniksiążek pn. „Lira Polska”. Rok 1898 przynosi nowe znaczące wydarzenie – z okazji 100-lecia urodzin Adama Mickiewicza, ukazują się 700-stronicowe *Poezje* naszego wieszca. Jak na ówczesne czasy nakład całkiem spory – 1 tys. egzemplarzy.

Ciekawostką jest i to, że format wydanych *Poezji* (w tym także *Pana Tadeusza*) wynosił zaledwie 30 x 20 mm.

We Francji w roku 1832 ukazały się (w formacie 98 x 68 mm) Adama Mickiewicza *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa polskiego*. Gdy wybuchła I wojna światowa, pojawiło się szereg mini wydawnictw, przeznaczonych dla polskich sił zbrojnych i walki o odzyskanie niepodległości. W 1915 roku, nakładem Wiedeńskiej Delegacji Samarytania Polskiego, ukazał się zbiorek *Modlitwa Legionów Polskich* w formacie 65 x 52 mm.



FOT. © WELDEMINIATURES.COM

Po uzyskaniu przez Polskę niepodległości rozkwitło na dobre wydawanie miniatur książkowych. Ukazały się m. in. dwie serie wydawnicze pn. „Miniatury” – w ciągu trzech lat (1922-1924), w formacie 77 x 57 mm (w bloku 73 x 53 mm) pojawiło się blisko 40 tytułów, w nakładach jak na tamte czasy całkiem sporych – każdy tytuł w ponad 3 tys. egzemplarzy. Publikowano twórczość takich autorów, jak Goethe, Wyspiański, France, Piłsudski, Staff, Rilke, Konopnicka i innych. Wydawcą miniksiążek, zwanych w owym czasie także książkami-liliputami, był także znany warszawski księgarz i wydawca M. Arct.

Po II wojnie światowej można mówić o szerokiej ekspansji książek, w tym także miniksiążek. Zapoczątkowała je seria wydawnicza pn. „Poeci polscy” (tzw. biała seria), edytowana przez SW „Czytelnik”. Przez kilkadziesiąt lat na rynku pojawiło

się około 200 tytułów tej serii (każdy tomik formatu: 94 x 58 mm), poświęcony jednemu autorowi, opatrzone znakiem Safony – symbolem poezji, w łącznym nakładzie ponad 2 mln egzemplarzy i w stałej cenie ówczesnych 10 złotych.

Znane wydawnictwo Wiedza Powszechna od roku 1962 zaczęło wydawać serię pn. „Słownik Minimum”, w nakładach sięgających niejednokrotnie 100 tys. egzemplarzy i często później wznowianych. Format wydawanych słowników był jednakowy i wynosił 82 x 62 mm.

Ogromną furorę na świecie, głównie na Zachodzie, odniosła wydana w 1975 roku przez SW „Książka i Wiedza” miniksiążeczka *Międzynarodówka* (pomijam tu aspekty polityczno-ideologiczne), z podkreśleniem znaczenia formy, formatu i oprawy graficznej.

Ciąg dalszy na s. 28 →



FOT. © TOPPAN PRINTING COMPANY, TOKIO

→ Ciąg dalszy ze s. 27

Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe podjęło interesujący program wydawania „Bibliofilskiej Edycji Miniatur” (1976), a następnie „Liry Polskiej”, a także setki innych tytułów miniksiążeczek. Dla ciekawości: książeczka *Mrówki* Antoniego Orłowskiego (o spotkaniu Tadeusza z Telimeną) miała dwa wydania w łącznym nakładzie 100 tys. egzemplarzy.

Wydawcą miniksiążek zostało też w swoim czasie Stowarzyszenie Księgarzy Polskich, które m. in. na wniosek autora artykułu (pełniącego wówczas funkcję dyrektora olsztyńskiego „Domu Książki”) wydało dwie miniksiążeczki związane z Grunwaldem: *Wielka Wojna z Zakonem* (fragment dzieła K. Szajnochy *Jadwiga i Jagiello*) oraz *Bitwa pod Grunwaldem* (fragment bitwy z *Krzyżaków* H. Sienkiewicza). Oba tytuły zostały wydane dwukrotnie, w łącznym nakładzie 120 tys. egzemplarzy. Na Polach Grunwaldu sprzedawały się jak przysłowiowe „ciepłe bułki”. Trzecią edycję *Bitwy pod Grunwaldem* wydała już olsztyńska „Książnica Polska” i jest ona w sprzedaży do dzisiaj.

Warto w tym miejscu dodać, że drukarnią, która wyspecjalizowała się w „produkcji” miniksiążek były Zakłady Graficzne w Ciechanowie, w których wydawcy lokowali gros swojej oferty miniksiążkowej.

Kolekcjonerzy miniksiążek

Kilka słów o bibliofilach i kolekcjonerach miniksiążek. Było ich (a może i jest) w Polsce kilkuset, jednak warto wspomnieć trzech.

Tadeusz Hussak (1919-2014) wieloletni członek kierownictwa centrali b. „Domu Książki”, a następnie Zjednoczenia księgarstwa.

Mój nauczyciel i mentor w warszawskim Technikum Księgarskim, a następnie mój wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim i studiach podyplomowych Polityki Wydawniczej i Księgarstwa, były wieloletni

przewodniczący i przewodniczący honorowy Stowarzyszenia Księgarzy Polskich, autor licznych książek i publikacji o księgarstwie, w tym 70-stronnicowej książeczki *Miniksiążka – co to takiego?*, opublikowanej w 2003 roku w nakładzie zaledwie 200 egzemplarzy. Posiadał jedną z największych w Polsce i Europie, a może i na świecie kolekcji miniksiążek, liczącej blisko 6 tys. pozycji. Znaczny fragment owej kolekcji (ponad 2 tys. egzemplarzy) przez ponad sześć miesięcy w 2009 roku był wystawiony w olsztyńskim „Centrum Książki”. Kolekcje T. Hussaka oberzało w tym czasie kilkanaście tysięcy klientów księgarni.

Wielkim miłośnikiem, kolekcjonerem i twórcą miniaturowych książek był, mieszkający na Górnym Śląsku Zygmunt Szkocny (1911-2003). W 1976 roku stworzył ręcznie m. in. miniksiążeczkę *Alfabet łaciński*, o wymiarach 0,8 x 1,0 mm, która jako rekordzista trafiła do „Księgi Rekordów Guinnessa”, jako najmniejsza książka świata.

Należy wspomnieć też o dr. Andrzeju Skrzypczaku, także moim wykładowcy i mentorze z okresu studiów na UW, wielkim miłośniku książek, ekspercie z dziedziny książki, a także jednym z niewielu w kraju znawców książek małoformatowych i historii książki.

Nanotechnologia książkowa

Jednym z genialnych osiągnięć współczesnej techniki jest umożliwienie gromadzenia i przechowywania gigantycznych pojemności informacji w „pudełkowej” przestrzeni, a więc w mocno zminiaturyzowanych formatach.

W 1945 roku amerykański naukowiec Vannevar Bush (1890-1974) przewidział świat nanotechnologii – skrótowo mówiąc: daleko posuniętej miniaturyzacji rozmaitych struktur, w której to np. całą *Encyklopedię Britannica* (licząca ponad 30 opasłych tomów, 120 tysięcy artykułów i około 45 milionów wyrazów) można będzie zredukować do wielkości pudełka od zapalek. Tak dla ciekawości: ostatnia drukowana wersja tej encyklopedii ukazała się na rynku w 2010 roku. Obecnie dostępna jest wyłącznie w wersji elektronicznej.

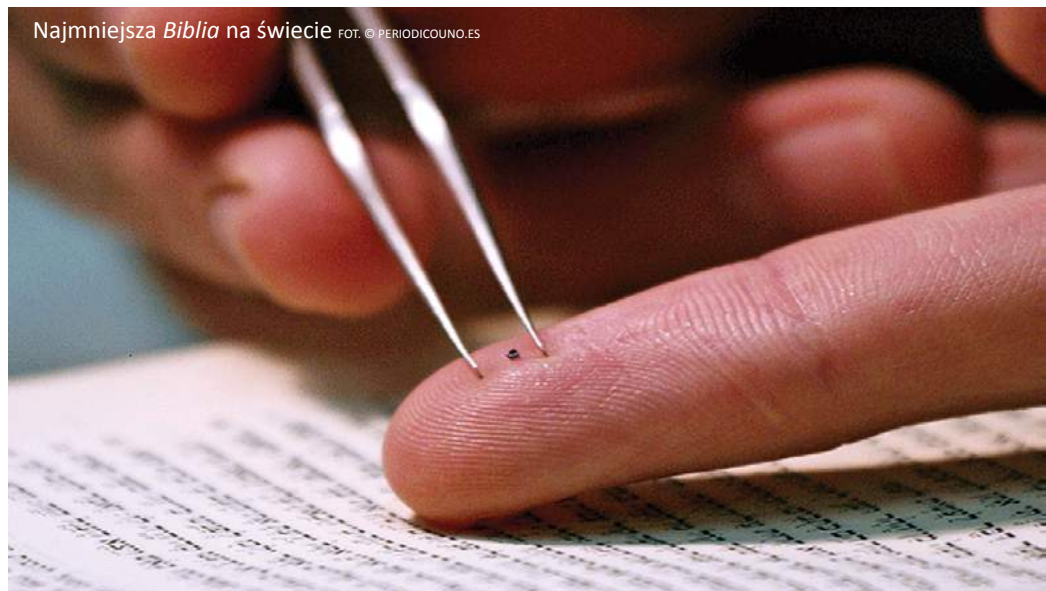
Jeszcze dalej w wizjonerstwie miniaturyzacji książek poszedł inny amerykański fizyk i filozof, mający m. in. polskie korzenie, Richard P. Feynman (1918-1988), który stwierdził, że „*Encyklopedię Britannica* można zmieścić w łepku od szpilki”.

Z biegiem lat okazało się, że szybko te wizje i marzenia przyoblekły się w rzeczywistość. Już w roku 1985 strony książek mogły być pomniejszone do rozmiarów w skali 1:25000, przy wykorzystaniu tzw. wiązek elektronowych. W 2007 roku nanotechnolodzy (naukowcy i studenci) z Technionu (Instytutu Technologii) w Hajfie umieścili cały hebrajski tekst *Starego Testamentu* (39 ksiąg) na obszarze zaledwie 0,5 mm kwadratowej, na pokrytej złotem krzemieniowej płytce, wytrawiony wiązką mikrocząstek jonów galu. Wykorzystali zdigitalizowany tekst źródłowy, który przepisano stosowną czcionką używając ponad 1,2 mln liter o wysokości 0,0002 mm.

Unikatowy „egzemplarz” owej *Nano Biblii* z Technionu, otrzymał w prezencie – z rąk prezydenta Izraela, Szimona Peresa – papież Benedykt XVI, podczas wizyty w Ziemi Świętej w 2009 roku.

JERZY L. OKUNIEWSKI

Najmniejsza Biblia na świecie FOT. © PERIODICOUNO.ES





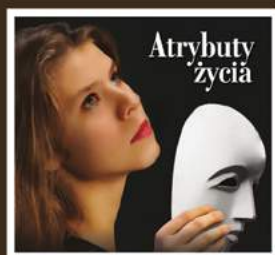
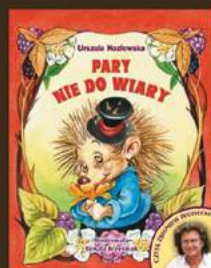
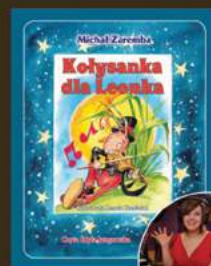
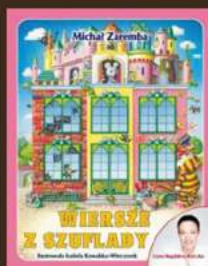
OFERTA WYDAWNICZA FUNDACJI DZIECIOM „ZDAŻYĆ Z POMOCĄ”



TYLKO U NAS!

PREMIERA KSIĄŻKI BEATY TYSZKIEWICZ „MOJE DZIECI”

ALBUM ILUSTROWANY FOTOGRAFIAMI
WYKONANYMI PRZEZ AUTORKĘ



Zamówienia można składać:

- ▶ telefonicznie: 881 938 055 / przez internet: www.bremo.pl
- ▶ e-mailem: sklep@bremo.pl, fundacja@dzieciom.pl

Znajdź nas na Facebooku:)





Polak potrafi

Po poprzednich artykułach wytknięto mi, że nadmiernie eksponuję zasługi ludzi obcego pochodzenia (czy też częściowo obcego pochodzenia) mających znaczący wpływ na historię Polski, rozwój polskiej kultury czy nauki. Ale cóż w tym dziwnego? Polska przez 600 lat była krajem wielonarodowościowym. Stąd też asymilacja Litwinów, Rusinów, Niemców, Żydów, Ormian czy Tatarów tylko dobrze świadczy o Polsce i polskim społeczeństwie. Z drugiej strony wpływy różnych nacji stapiając się tworzyły bogactwo kultury polskiej. Jednak w niniejszym artykule chciałbym tym razem przybliżyć postaci Polaków którzy odegrali znaczącą rolę wśród innych społeczeństw.

Podobno Polacy nie potrafią...

Tak niekiedy z przekąsem próbują nas określać inne nacje. Ale... No właśnie, ale... Ale jest to bzdura i tyle!

Nawet premier Margaret Thatcher odwiedzając Polskę w latach 90. swoje pierwsze przemówienie zaczęła od podkreślenia, że dwie najbardziej romantyczne postaci historii Anglii były pół-Polakami. Wymieniła tu Kanuta Wielkiego (996-1035) króla Anglii, Danii i Norwegii który poprzez swą matkę Sygrydę-Świętosławę był wnukiem Mieszka I. Drugą postacią wymienioną przez panią Thatcher był Karol Edward Stuart zwany Bonnie Prince Charlie (czyli

Piękny Książę Karolek) który w 1745 roku o mało nie odzyskał tronu Anglii i Szkocji dla zdeponowanej w roku 1688 dynastii Stuartów – książę Karol poprzez matkę Marię Klementynę Sobieską był prawnikiem Jana III.

Amerykanie pamiętają nie tylko o polsko-amerykańskich bohaterach wojny o niepodległość Tadeuszu Kościuszcze i Kazimierzu Pułaskim. Znaną postacią w USA, mimo że w Polsce mało kto o nim słyszał, jest jeden z trzech najlepszych (34 zestrzelenia) amerykańskich pilotów myśliwskich Francis „Gabby” Gabreski czyli Franciszek Gabryszewski. Młody Franek został uznany za nie rokującego nadziei i prawie wyrzucony z pierwszego szkolenia lotniczego. W czasie ataku na Pearl Harbour 7 grudnia 1941 roku udało mu się wzbicie w powietrze (tak jak bohaterom filmu „Pearl Harbour”) jednak nie zestrzelił wówczas żadnego samolotu japońskiego. W roku 1942 uparł się, aby przejść praktyczne szkolenie w polski myśliwskim Dywizjonie 315. Nabyte tam doświadczenie i umiejętności pozwoliły mu zostać asem myśliwskim w walkach powietrznych nad Europą. Tytuł asa myśliwskiego zdobył powtórnie w wojnie koreańskiej. Przed emeryturą awansowany został na stopień pułkownika lotnictwa.

Pomnik Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie autorstwa rzeźbiarza Bronisława Krzysztofa; uczona trzyma w ręce model polonu.

FOT. © ALBERTO CABELLO & VITORIA GASTEIZ, 2014

Natomiast domniemany odkrywca Ameryki żeglarz Jan z Kolna jest postacią bardzo tajemniczą. Czy istniał naprawdę? Czy rzeczywiście był Polakiem? Czy faktycznie w 1476 roku dotarł do wybrzeży Ameryki? Czy to on był tym niezidentyfikowanym starym kapitanem który, pod koniec lat 80. wieku XV, przekazał Kolumbowi tajemniczą mapę na podstawie której Kolumb tak śmiało żeglował jesienią 1492 roku do wybrzeży Ameryki? Wielkim admiratorem historyczności postaci Jana



z Kolna, jako polskiego odkrywcy Ameryki, jest znany pisarz Waldemar Łysiak.

Ale wróćmy do postaci historycznych. Maria Skłodowska-Curie to jedyna kobieta, której szczątki spoczęły w mauzoleum wybitnych Francuzów w paryskim Panteonie. Dwukrotna laureatka Nagrody Nobla, wielka Polka, wielka uczona francuska. Była pionierem w badaniach pierwiastków radioaktywnych. Jej podobizna widniała na monetach i banknotach polskich i francuskich, m. in. na 500 frankowym banknocie wycofanym z obiegu dopiero po wejściu Francji do strefy euro.

Za jednego z największych francuskich poetów uchodzi Guillaume Apollinaire (1880-1918) – mało kto jednak wie, że naprawdę nazywał się Wilhelm Apolinary Kostrowicki. Bardziej znana jest postać Josepha Conrada czyli Józefa Konrada Korzeniowskiego (1857-1924) – literatura angielska (i światowa) byłaby dużo uboższa bez jego *Lorda Jima* czy *Smugi cienia*.

Przykładów karier Polaków jest dużo więcej. Obecna kanclerz Niemiec Angela Merkel jest wnuczką Ludwika Mariana Kaźmierczaka pochodzącego z Poznania. W Austro-Węgrzech przełomu XIX i XX wieku czołowymi politykami byli dwaj Agenorowie Gołuchowscy (ojciec i syn) oraz Kazimierz Badeni (łącznie z funkcją premiera 1895-1897), we Francji w latach 70. XX wieku Jean de Lipkowski i Michel Poniatowski (potomek Kazimierza Poniatowskiego, brata króla).

W amerykańskim rankingu ludzi, którzy w ostatnim tysiącleciu mieli największy wpływ na zmianę świata (*1000 Years, 1000 People*, wydawnictwo Kodansha America, Inc., New York 1998) na wysokiej 134. pozycji umieszczony został Lech Wałęsa –



Francis „Gabby” Gabreski z Ralphem Staffordem i Felixem Schackim FOT. © D. SHELEY / FLICKR.COM

spośród osób żyjących tylko jeden James D. Watson (ur. 1928, genetyk i biofizyk, laureat Nagrody Nobla z 1962 r. za badania struktury DNA) zajmuje nieco wyższą 123. pozycję, pozostałe 132 osoby przed Wałęsą już dawno są poza światem żywych. Świat docenia historyczną rolę Lecha Wałęsy w demontażu komunizmu i często jest to dobitnie artykułowane – natomiast w Polsce niemało jest takich, co uparcie tworzą typowe „polskie piekielko” wokół jego osoby...

Rokossowski i Lewiński (Manstein)

Spośród wysokiej rangi dowódców podczas II wojny światowej mocno wyróżniali się sowiecki marszałek Konstanty Rokossowski i niemiecki feldmarszałek Erich von Manstein. Obaj mieli polskie korzenie – obaj jednak służyli wrogim Polsce reżimom totalitarnym. Stąd też nie bardzo chcemy się do nich przyznawać. Ale ich talenty i osiągnięcia militarne były imponujące.

Konstanty Rokossowski wywodził się ze starego polskiego rodu szlacheckiego herbu Glaubicz biorącego nazwisko od Rokosowa koło Gostynia. Do 18. roku życia wychowywał się w Polsce (w Warszawie i Grójcu). Mając ojca Polaka i matkę Rosjankę, jako nastolatek był dwujęzyczny. Jego pradziad Franciszek Rokossowski w 1812 roku, jako porucznik jednego z polskich pułków ułanów, szedł z Napoleonem na Moskwę – Konstanty w 1941 roku (wówczas jako generał) Moskwy zażarcie bronił. W XVI wieku Rokossowscy herbu Glaubicz należeli do liczących się rodów wielkopolskich. Spowinowaceni byli m. in. z piastowskimi książętami śląskimi. Jeden z Rokossowskich pełnił wówczas wysoką funkcję podskarbiego koronnego. Konstanty Rokossowski odnosił sukcesy pod Moskwą, Stalingradem, na łuku kurskim, a latem 1944 roku opracował i sprawnie przeprowadził zabójczo skuteczną operację Bagration.



Marie Laurencin, „Apollinaire et ses amis” („Une réunion à la campagne”), 1909.

FOT. © MUSÉE NATIONAL D'ART MODERNE, PARIS

Ciąg dalszy na s. 32 →

→ Ciąg dalszy ze s. 31

Po wojnie został oddelegowany do Polski i właśnie ten etap życia, gdy był praktycznie stalinowskim namiestnikiem w Polsce, wytykają mu Polacy – sam Rokossowski nie potrafił się pogodzić z tą niechęcią Polaków żaląc się, że „w Rosji uważają go za Polaka, a w Polsce za Rosjanina”. Jedną z anegdot tego okresu mówi, że Rokossowski (który po 30 latach nieużywania języka polskiego miał na początku pobytu w Polsce pewne problemy językowe) zwrócił się do swojej urodzivej sekretarki: *Zachaditje, razbieritje* („Wejdźcie i wyjaśnijcie mi”). Dla znających tylko język polski mogło to brzmieć mocno frywolnie – słowiańskie języki, jak widać, nie zawsze są podobne. Rozmowa ta była oczywiście czysto służbowa (aczkolwiek były panie, które o przystojnym i kulturalnym Rokossowskim wypowiadały się nadzwyczaj ciepło).

Natomiast mało kto wie, że późniejszy feldmarszałek Erich von Manstein urodził się jako Erich Lewinski i został, jako nastolatek, adoptowany przez siostrę matki i jej męża barona von Mansteina. Niemcy w okresie II wojny światowej mieli wielu świetnych dowódców, jednak za najwybitniejszego uważają właśnie Mansteina. Pradziad feldmarszałka pochodził z polskiej szlachty herbu Brochwicz wywodzącej swoje nazwisko od wsi Lewino koło Wejherowa. To właśnie Manstein (wówczas generał) opracował błyskotliwy manewr przejścia w 1940 roku niemieckich sił pancernych przez Ardeny. Pozwoliło to Niemcom wymanewrować wojska francuskie poprzez obejście linii Maginota i następnie je rozbić. W czasie kampanii rosyjskiej to on dowodził południowym skrzydłem frontu zdobywając m. in. mocno ufortyfikowany Sewastopol, potem prawie przełamał Armię Czerwoną na południowej części łuku kurskiego i skutecznie dowodził podczas walk odwrotowych nad Dnieprem. Jednak w marcu 1944 roku Hitler zdymisjonował ostatecznie swego super inteligentnego feldmarszałka, gdy Manstein, w nieco zbyt czytelny sposób, sprzeciwiał się nierealnym pomysłom furera i wykazywał mu jego dyktando wojskowe.

Z tej samej rodziny Lewińskich pochodził Janusz Brochwicz-Lewiński (pseudonim „Gryf”) bohaterki dowódcy obrony pałacyku Michła podczas powstania warszawskiego. Obronę tę rozślawiła piosenka: „Pałacyk Michła, Żytunia, Wola / Bronią ich chłopcy spod Parasola...”. Po wojnie Janusz Brochwicz-Lewiński służył w armii brytyjskiej i brytyjskim wywiadzie. W III RP otrzymał stopień generała brygady. Pod koniec 2015 roku wiele stacji telewizyjnych pokazało wzruszającą scenę, gdy Prezydent



FOT. © PAP

RP, przyklękając, dekoruje wiekowego Generała (siedzącego na wózku inwalidzkim) wstęgą Wielkiego Krzyża Orderu Odrodzenia Polski – niezapomniana scena, gdy majestat Rzeczypospolitej, klęcząc, oddał hołd jednemu ze swych Wielkich Synów.

Czy „niedaleko pada jabłko od jabłoni”?

Chyba jednak nie zawsze sprawdza się powyższe powiedzenie. Inne przeciwstawne powiedzenie mówi, że często: „Z jednego ojca i jednej matki, a różne dziatki”.

Rodzonymi braćmi byli unicki metropolita Lwowa Andriej Szeptyckij i polski generał Stanisław Szeptycki. Generał Szeptycki był jednym z bohaterów wojny 1920 roku, późniejsza wzajemna niechęć z marszałkiem J. Piłsudskim skazała go na wcześniejszą emeryturę. Działał aktywnie na rzecz porozumienia i współpracy polsko-ukraińskiej, jednak działania te nie przyniosły praktycznie żadnego efektu. Metropolita Szeptycki do dziś cieszy się wielką estymą wśród unitów (grekokatolików), występowali oni do papieża Jana Pawła II o jego beatyfikację. Jednak Polacy pamiętają poparcie metropolity dla pro-

niemieckiej polityki niektórych ugrupowań ukraińskich podczas II wojny światowej, jak też brak jednoznacznego potępienia ludobójstwa podczas rzezi wołyńskiej. Dodajmy, że obaj bracia, poprzez matkę, byli wnukami Aleksandra Fredry. Być może to odmienne widzenie spraw polsko-ukraińskich nie sprzyjało braterskiej miłości i powodowało, że bracia podczas nielicznych spotkań rodzinnych rozmawiali ze sobą po francusku.

Rodzonymi siostrami były prof. Barbara Skarga i Hanna Skarżanka pomimo, że rodowego nazwiska używały w dwóch różnych formach – stąd też mało kto łączył je ze sobą. Podczas okupacji obie zaangażowane były w działalność Armii Krajowej. Barbara miała jednak pecha i w 1944 roku aresztowana została przez NKWD oraz zesłana na 10 lat łagru. Pamiętamy panią profesor sprzed kilkunastu lat, gdy często, jako ceniony filozof i etyk, uczestniczyła w telewizyjnych debatach. Była również kanclerzem Kapituły Orderu Orła Białego. Corocznie kilkutygodniowe wakacje spędzała w Pelniku koło Morąga. Hanna została znaną aktorką i m. in. kilka lat występowała na deskach olsztyńskiego Teatru im. Stefana Jaracza.

Wanda Wasilewska, która właściwie wyparła się swej polskości i w Polakach wzbudza do dziś dużo niesmaku, była córką powszechnie szanowanego Leona Wasilewskiego (bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego) i siostrą Halszki Wasilewskiej (która za zasługi dla Armii Krajowej otrzymała Krzyż Walecznych, po wojnie została na Zachodzie i zerwała kontakty z siostrą).

Przyrodni bracia Adam Michnik i Stefan Michnik to dwa odmienne światy. Adam to znany opozycjonista czasów PRL, twórca i redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, kawaler Orderu Orła Białego. Starszy o 17 lat Stefan, oskarżany o zbrodnie stalinowskie, mieszka obecnie w Szwecji, do władz której Polska bezskutecznie występowała o jego ekstradycję.

Pod koniec XVIII wieku współtwórca Konstytucji 3 Maja szlachetny Ignacy Potocki był ostro zwalczany przez swego wpływowego i superbogatego krewnego (z dalszej linii) Szczęsnego Potockiego, jednego z twórców Targowicy, który przeszedł do historii jako synonim zdrajcy.

Całkiem odmienne sympatie polityczne prezentują obecnie bracia Jacek i Jarosław Kurscy. Odmienne prezentowali też Alfred i Konstanty Miodowiczowie – ojciec i syn. Ojciec był w latach 80. przewodniczącym pro-PZPR-owskich związków zawodowych, syn zdeklarowanym opozycjonistą, a potem w III RP szefem służb specjalnych. Do dziś pamiętam gdy pięć

lat temu Konstanty Miodowicz, jako jeden z nielicznych, nie dał się zdominować, zazwyczaj dominującej i pewnej siebie, Monice Olejnik w telewizyjnej „Kropce nad i”. Córką Alfreda i siostrą Konstantego była znana himalaistka Dobrosława Miodowicz-Wolf która zginęła w 1986 roku podczas próby zdobycia słynnego K2 w Karakorum.

W latach 60. ubiegłego stulecia pokrewieństwem ze Zbyszkim Cybulskim (kuzynostwo drugiego stopnia) mógł się chlubić, młody wówczas generał, Wojciech Jaruzelski.

Dalszymi krewnymi byli też kardynał Stefan Wyszyński i Andriej Wyszyński. Kardynała Tysiąclecia przedstawiać nie trzeba. Natomiast Andriej Wyszyński pozostawił po sobie wyjątkowo złą sławę jako krwiożerczy i bezwzględny prokurator generalny Związku Radzieckiego w procesach pokazowych podczas Wielkiego Terroru 1936-1939.

W 1920 roku jednym z czołowych dowódców armii Tuchaczewskiego, dokonującej licznych okrucieństw na ziemiach polskich, był generał Nikołaj Sołogub. Ten zrusyfikowany był oficer carski pochodził ze znanego polsko-litewskiego rodu Dowoyno-Sołohubów, któremu niektórzy przypisują kniaziowskie pochodzenie. Jego krewnym był emerytowany polski generał Stanisław Dowoyno-Sołohub zastrzelony przez sowieckiego oficera w swoim majątku po agresji 17 września 1939 roku

– pierwszy polski generał który zginął podczas II wojny światowej. Nikołaj Sołogub został zamordowany przez NKWD dwa lata wcześniej podczas czystek w Armii Czerwonej.

Znany (w latach 60. i 70.) rysownik, erudyta i gawędziarz Szymon Kobylński i prof. Lech Kobylński z Politechniki Gdańskiej (specjalista od hydromechaniki okrętu) byli stryjeczni braćmi drugiego stopnia. Lech Kobylński (pseudonim „Konrad”) podczas okupacji był jednym z czołowych żołnierzy szturmowego oddziału AL „Czwartaków” i to on osobiście rzucał bombę podczas akcji na Cafe Club w lipcu 1943 roku. Na Politechnice Gdańskiej, gdzie miałem przyjemność studiować, popularna była dykteryjka (potwierdzona mi później przez jednego z asystentów profesora) mówiąca, że w latach 60. prof. Kobylński na jakiejś zagranicznej konferencji naukowej zgadał się z pewnym profesorem niemieckim. Ten opowiadał mi, że tylko raz w życiu był w Polsce i to w czasie wojny, ale źle to wspomina. Podczas przesiadki w Warszawie zaszedł do kawiarni, krótko potem wpadł jakiś młody człowiek i rzucał bombę zabijając i raniąc kilka osób. Profesor Kobylński dopytał o dokładniejszą datę – wszystko się zgadzało. „Tak, tak, panie profesorze! Tym młodym człowiekiem byłem ja osobiście” – oświadczył zdumionemu Niemcowi.

WOJCIECH GOLJAT



A celebration of Joseph Conrad

An evening of presentations and readings portraying the influence of Joseph Conrad as a European and his links with Scotland.

Conrad experts Professor **Laurence Davies** of the Joseph Conrad Society and the University of Glasgow and Professor **Linda Dryden** of Edinburgh Napier University will enlighten and surprise as they reveal more of the life and times of Joseph Conrad.

Chaired by **Nick Barley**, the director of the Edinburgh International Book Festival.

St Andrew's Day
30 November 2017
6pm to 7.30pm

Augustine United Church
41-43 George IV Bridge
Edinburgh, EH1 1EL

Contact: events@napier.ac.uk
or to book directly: <http://bit.ly/2zvv4RA>

Polska – Europa: źródła dzisiejszego konfliktu

Rezolucje Parlamentu Europejskiego, które wyraźnie wymierzone są przeciwko Polsce mogą dziwić jedynie osoby naiwne i nie zdające sobie sprawy z tego, jakim zmianom ostatnio podlegał Stary Kontynent. Podobnie nie są zaskoczeniem już żadne nowe ataki na Polskę ze strony znanych europejskich polityków. Nikt z nich nie kryje przy tym, że wcale nie chodzi tu o rozwiązywanie rzeczywistych problemów.

Nie wdając się w głębsze analizy, można dziś zauważyć, że Polska stała się przedmiotem wściekłego ataku z kilku przyczyn i kilku powodów.

Ostatni bastion katolicyzmu

Nie ulega dziś wątpliwości, że nasz kraj jest najbardziej katolickim państwem i narodem w Europie. Po upadku żywej i masywnej religijności w Irlandii i Hiszpanii, Polska stała się zatem celem wszystkich tych organizacji i struktur, które katolicyzm obrały sobie jako główny cel zniszczenia.

Ostatnia – przeprowadzona spontanicznie przez Polaków i niekoordynowana przez kościelną hierarchię – akcja „Różaniec do granic” doprowadziła dzisiejsze urzędnicze elity Europy do stanu wrzenia. Takich zdarzeń nie mogą pozostawić bez reakcji, one bowiem mają niebezpieczną, dla nich, moc oddziaływania na zewnątrz.

Dla biurokracji europejskiej problemem nie są wcale narastające ataki nowych przybyszów na tradycyjne struktury europejskich społeczeństw, nie są nim także podpalenia ośrodków dla azylantów, do których coraz częściej dochodzi w Niemczech. Problemem numer jeden dla europejskiej biurokracji – choć głośno jeszcze nie wypowiedzianym – jest polski katolicyzm i wynikające z niego ideowe inspiracje.

Ta zaraza może się rozszerzać na inne kraje, a przecież nie po to, w pocie czoła – przez okres trwania dwóch ostatnich pokoleń – pracowano nad tym, aby wywracać tradycję i praktykę chrześcijaństwa z Europy, a tu naraz Polska staje się niebezpiecznym precedensem pokazującym, że może być inna droga.

Trzej wrogowie naraz

Polska staje się więc dziś celem dla trzech niechętnych jej cywilizacji i kultur.



Pierwszą z nich jest neomarksistowska elita Europy. Ta – oparta na ideach Szkoły Frankfurckiej – ideologia święci dziś tryumfy od Lizbony aż po Berlin. Wydawało się, że także w Polsce zmasowana ofensywa neomarksizmu, zwanego czasem marksizmem kulturowym, przyniesie oczekiwane owoce w postaci: upadku praktyk religijnych, rozkładu tradycyjnie rozumianej rodziny, promocji homoseksualizmu i homopolityki oraz nienaturalnego rozwinięcia w kobietach poczucia skrzywdzenia i dążenia do zaburzenia tradycyjnych ról społecznych.

Niesłychana ofensywa ideologiczna – promocje nowych stylów życia i wartościowania – za pomocą wszelkich dostępnych mediów, całego świata tzw. „prasy kobiecej” nie przyniosła jednak takich rezultatów jak w innych krajach Starego Kontynentu. Niedoceniany przez tzw. mainstream świat prasy kobiecej uporczywie i systematycznie – od ponad dwudziestu lat – sęczył w umysły polskich kobiet tzw. „nowe prądy”.

Neomarksizm wykorzystywał wszelkie tzw. „kanały dotarcia”, aby niepostrzeżenie zmienić w Polsce postawy i wychować nowego obywatela, który nie będzie się identyfikował z postawami patriotycznymi, zarzuci tradycyjny system wartości i gotów będzie do wtopienia się w jedno wielkie „społeczeństwo europejskie”.

Wszystkie te wysiłki, które przyniosły tak spektakularne efekty wszędzie poza

naszym krajem, w Polsce spełzły na niczym, poniosły klęskę.

Czy to może napełniać „rządców Europy” przyjaznymi uczuciami wobec naszego kraju?

Wielbiciele idei jednego państwa, które ma się rozlać po całym Starym Kontynencie. Ideowe dzieci Altiero Spinellego dziś upatrują w Polsce głównego przeciwnika dla swojego planu. Ten plan zatrzymał się na linii Odry i teraz – z kilku powodów – drży w posadach.

Neomarksistowski eksperyment oparty na przekonaniu, że tylko wywrócenie tradycji i na jej gruzach zbudowanie nowego systemu wartości, nowego społeczeństwa i nowego człowieka nie zyskał w Polsce znaczącego powodzenia. Stąd też nasz kraj stał się teraz obiektem sfrustrowanej agresji europejskich neomarksistów.

Drugim wrogiem Polski tradycyjnie jest polityczny islam. Wielowiekowe doświadczenia pokazują, że właśnie nad Wisłą islamskie ekspedycje napotykały wojowników i żołnierzy, którzy kruszyli jego zamiary.

Paradoksalnie dziś polityczny islam bardziej nienawidzi europejskiego neomarksizmu niż religijnej Polski. Jednak ostatnie wydarzenia, m. in. kłamliwe i podburzające relacje telewizji Al-Dżazira z Marszu Niepodległości w Warszawie sprawiły, że wiele ortodoksyjnych grup politycznego islamu sunnickiego zaczęło spoglądać na Polskę, jako na miejsce potencjalnych

odwetowych zamachów terrorystycznych. W świat islamu poszła z Warszawy kłamliwa informacja, że w trakcie pochodu 11 listopada niesiono transparenty wzywające go „holokaustu dla muzułmanów”.

Do tej pory zagrożenia płynące z „Nowej Wędrówki Ludów” szczęśliwie – dzięki twardej postawie polskiego rządu – nasz kraj omijały. Teraz jednak, gdy tzw. „uchodźcy” uzyskują właśnie prawa stałego pobytu w krajach Europy Zachodniej i dzięki temu mogą swobodnie poruszać się po całej „strefie Schengen”, zatem także w Polsce pojawiają się zagrożenia, o których dotychczas wiedzieliśmy jedynie z lektury serwisów światowych agencji informacyjnych.

Trzecim nurtem cywilizacyjnym, który uderza dziś w Polskę jest Wschód – rozumiany jako interesy imperialnej Rosji. Tu nie bez znaczenia są poglądy Aleksandra Dugina, do niedawna jednego z głównych ideologów Kremla. Dugin, już kilka lat temu, powrócił do wrogiej Polsce retoryki mówiącej o tym, że Polska jest „bękartem traktatu wersalskiego”, który stoi na drodze do zgodnego współdziałania pomiędzy Niemcami a Rosją.

Niebezpieczeństwo dzisiejszej ofensywy Kremla nie polega jedynie na nasilaniu działania agentury i operacjach dywersyjnych, to także nowe oblicze rosyjskiego samodzierżawia – tym razem car – Putin przedstawiany jest konserwatywnym środowiskom Europy jako „jedyny obrońca chrześcijaństwa”. Powszechnie nabierają się na to francuscy katolicy i niemieckie ruchy kwestionujące politykę kanclerz Angeli Merkel.

Nawet w samej Polsce znalazła się grupa tradycyjnych katolików, którzy napisali do Władimira Putina wiernopoddańczy adres prosząc go o „obronę wiary i tradycji” (list ten podpisała m. in. zasłużona działaczka patriotyczna prof. Anna Rażny z Krakowa).

Przyszłość

Mając na uwadze trzy – często pozostające ze sobą w konflikcie – główne nurty ataku na Polskę nasz kraj wydaje się być pozbawiony szans w tym starciu.

Paradoksalnie jednak właśnie starcie z tymi nurtami może skupić uwagę na Polsce i sprawić, że staniemy się naturalnym macecznikiem, w którym znajdują schronienie wszystkie grupy konserwatywne z wielu krajów Europy.

Polska nieustannie zyskuje jako kraj, w którym jest bezpiecznie i trwa szacunek dla tradycyjnych wartości wyznawanych kiedyś przez niemal cały kontynent. To wielki atut nie tylko polityczny, ale – w bardzo bliskiej przyszłości – także gospodarczy.

WITOLD GADOWSKI

Ikonostas olsztyński

Michelin Polska od trzech lat umożliwia swoim pracownikom podejmowanie działań na rzecz społeczności lokalnych, organizacji pozarządowych i instytucji publicznych w ramach programów wolontariackich organizowanych przez Fundację Rozwoju Michelin.

W warunkiem otrzymania grantu jest współpraca z organizacją pozarządową. I tak z inicjatyw sekretarza Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP, a zarazem pracownika Michelin – Zbigniewa Piszczako, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich brało udział w tegorocznej edycji projektu wolontariatu pracowniczego w Michelin Polska S.A. „Moc Dobra 2017”.

Zgłoszony projekt to warsztaty filmowe dla młodzieży pt. „Ikonostas – tajemniczy świat ikon”. W ramach projektu, realizowanego od maja do października br., nakręcono film edukacyjny pt. „Ikonostas olsztyński” w cerkwi greckokatolickiej pw. Pokrowy Matki Bożej w Olsztynie.

– W każdej cerkwi centralne miejsce zajmuje ikonostas, który przez odpowiedni porządek ikon ma odsłaniać tajemnice wiary i pozwalać na lepsze zrozumienie *sacrum*. Aby przybliżyć symbolikę ikonostasu osobom odwiedzającym cerkiew, staraliśmy się odpowiedzieć na pytanie: jak patrzeć na ikonostas, jak interpretować rozmieszczenie ikon i treści poszczególnych scen w nich zawartych – podkreśla Zbigniew Piszczako.

Duży wkład przy realizacji projektu wniosła nauczycielka Mirosława Czetyrba-Piszczako. Uczennica drugiej klasy gimnazjum, Anna Jarmoła, była lektorem oprowadzającym po tajnikach ikonostasu. Konsultacji w sprawach merytorycznych udzielał ks. Jan Hałuszka – proboszcz olsztyńskiej parafii greckokatolickiej, a dźwięk zrealizował kierownik artystyczny zespołu „Suzirjaczko” – Andrzej Ciupa. Wsparcia udzieliła także Caritas Archidiecezji Przemysko-Warszawskiej.

Warto dodać, że powyższy projekt nie jest pierwszym olsztyńskiego żurnalisty. Zbigniew Piszczako zrealizował już w Michelin Polska S.A. dwa inne: warsztaty muzyczne dla dzieci „Piosenką malowane” (2015) i dziecięco-młodzieżowe warsztaty śpiewu „Pełnym głosem”, którego efektem było nagranie płyty pt. „Zaspiwajmo razem drużi” Wokalnego Zespołu Dziecięcego „Suzirjaczko” (2016).

Film edukacyjny „Ikonostas olsztyński” wydany został na płycie DVD. Obejrzeć go również można na stronie internetowej: www.youtube.com/watch?v=GNosLRw8jTI.

ANDRZEJ SZTUMSKI





Prezes Fundacji uhonorowany

28 października 2017 roku w bazylice Ojców Paulinów na Skałce w Krakowie odbyła się 154. Inwestytura Świątowego Orderu Świętego Stanisława Biskupa Męczennika.

Podczas ceremonii Stanisław Kowalski – prezes Zarządu Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” i Fundacji Sedeka – został uhonorowany Krzyżem Wielkim z Koroną i Złotą Gwiazdą Orderu Świętego Stanisława Biskupa Męczennika.

Stanisław Kowalski w 2015 roku został Kawalerem Orderu Świętego Stanisława Biskupa Męczennika. Krzyżem Komandorskim Orderu odznaczył go IX Wielki Mistrz Jan Zbigniew hrabia Potocki w uznaniu zasług w sferze działalności dobroczynnej. EP



FOT. © WOJECHE LIBEK

Mikołajki

Święty Mikołaj zaczął odwiedzać dzieci już pod koniec listopada. Musiał przybyć do wielu miejsc i wręczyć prezenty maluchom z całej Polski. Osobiście można się z nim było spotkać w Krakowie, Toruniu, Warszawie, Białymstoku, Gdyni i Katowicach. Z okazji mikołajek podopieczni Fundacji oglądali spektakle teatralne, uczestniczyli w animowanych zabawach. Nie zabrakło słodkich smaczków ani upominków.

Zabawę z cyklu „Mikołaju, nie zapomnij o nas” dofinansował Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Dzięki wsparciu tej instytucji mikołajki dla podopiecznych przygotowujemy corocznie od ośmiu lat.

W tym roku dzieci zostały zaproszone do teatrów. W warszawskim Teatrze Syrena obejrzały spektakl „Alicja w Krainie Czarów”, w Białostockim Teatrze Lalek – „Opowieść wigilijna”, w Teatrze Muzycznym w Gdyni – spektakl „Brzechwa dla dzieci”. Teatr Pomorski Baj w Toruniu wystawił dla nich „Czerwonego Kapturka”, Teatr Ludowy w Krakowie – „Królową śniegu”, a Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach przygotował spektakl „Krawiec Niteczka”.

Podopieczni Fundacji mogli zabrać ze sobą rodzeństwo. Wszystkich najbardziej cieszyło spotkanie ze świętym Mikołajem, który znalazł czas, by osobiście wysłuchać życzeń i zwierzeń każdego malucha. Dzieci otrzymały prezenty – w paczkach znajdowały się gry planszowe, puzzle, książki, kalendarze *Z Myszką Norką*, kalendarze adwentowe i słodycze.

We Wrocławiu odbyły się mikołajki przygotowane przez firmę Schneider Electric w ramach wolontariatu pracowniczego. Firma ta jest znana z wzorcowo realizowanego programu społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR). Już po raz siódmy zorganizowała dla podopiecznych Fundacji



podopiecznych Fundacji



FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

„Choińkę Marzeń”. Pracownicy Schneider Electric zaprosili dzieci do Kina Nowe Horyzonty. Pojawił się tam oczywiście i św. Mikołaj. Każdy maluch otrzymał wymarzony prezent, o który wcześniej listownie poprosił Mikołaja. Listy trafiły pod choinkę, znajdującą się w siedzibie firmy, a stamtąd bezpośrednio do pracowników,

którzy pomogli w zakupach św. Mikołajowi. Wśród życzeń dzieci były m. in. czapka i rękawiczki w rozmiarze obrysowanej na kartce dłoni, „żeby nie marzła w zimie”, audiobooki dla niewidomego chłopca, nowy plecak do szkoły, sanki, maskotki, klocki. Spotkanie zakończył pokaz filmu animowanego „Pierwsza gwiazdka”.

Dzięki szlachetnej akcji pracowników Schneider Electric, dofinansowaniu PFRON-u, zaangażowaniu pracowników teatrów, kin, Fundacji oraz życzliwości wielu innych osób udało się wyczarować piękne mikołajki i wspaniałe prezenty dla dzieci.

EWA PUSTELNIK



Mamo, dam radę

Rozmowa z Katarzyną Wojtczak, mamą 22-letniego Patryka, podopiecznego Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. W listopadzie w Centrum Aktywizacji Społecznej Grzybowska 4 odbyła się wystawa jego prac malarskich.

Monika Sadowa: Czy spodziewaliście się, Pani i Pani mąż, że syn urodzi się chory?

Katarzyna Wojtczak: Nie. W ciąży byłam pod opieką ordynatora Szpitala Bielańskiego, co miesiąc robił mi USG. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że Patryk urodzi się chory. Podczas porodu synkowi pękła torbiel z płynem mózgowo-rdzeniowym, która nie została podczas badania USG rozpoznana. W takiej sytuacji poród powinien odbyć się przez cesarskie cięcie. Podczas naturalnego porodu po pęknięciu torbieli doszło do zakażenia. Informacje, które otrzymaliśmy od lekarzy po urodzeniu dziecka, były dramatyczne. W pierwszej dobie życia synek miał operację.

Dlaczego powstała torbiel, nie wiadomo, ale teraz nie ma to znaczenia. U Patryka zdiagnozowano wodogłowie, cały czas sączył się płyn mózgowo-rdzeniowy, po trzech tygodniach lekarze wszczepili mu zastawkę. Po jej wstawieniu pojawiło się porażenie, niedowład i bardzo silne napady epilepsji. Po latach okazało się, że zastawka nie była wcale potrzebna, okazała się wręcz szkodliwa i niebezpieczna.

Kiedy się Państwo o tym dowiedzieli?

Jak Patryk miał osiem lat, jego stan nagle się załamał. Już wtedy lekarze wiedzieli, że zastawka w głowie Patryka jest nieaktywna, nie pełni żadnej funkcji. Zdecydowali się na otwarcie głowy. Po trepanacji czaszki doszło do krwawienia czterokomorowego. Lekarze nalegali na drenaż, jednak ja, po przestudiowaniu wielu książek z neurologii, obawiałam się, że Patryk zapadnie w śpiączkę, z której już się nie wybudzi. Drenaż jest jednak metodą prostszą i tańszą niż druga metoda – podawanie leków na wchłanianie krwi i przeprowadzanie co dwa dni tomografii.

Musiała Pani stoczyć batalię o życie swojego dziecka.

Tak, musiałam stoczyć walkę, uparłam się jednak i walczyłam. Dzięki mojemu uporowi



FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

lekarze nie przeprowadzili drenażu, chociaż czasami mąż się obawiał, że nas z tego szpitala dosłownie wyrzucą. Lekarze podczas obchodu nie podchodzili nawet do łóżka Patryka, mówili, że tu leży pacjent, którego rodzice i tak wiedzą lepiej, jak go leczyć. Po wielu latach lekarze przyznali mi rację. Zgodzili się również, że zastawka nie była wcale potrzebna.

Spędzała Pani z synem więcej czasu w szpitalach niż w domu?

Patryk przeszedł szesnaście trepanacji czaszki. Za każdym razem, kiedy mógł tylko mówić, powtarzał: „Mamo, dam radę”.

Musiałam być stale przy nim. Byłam jedyną osobą, której Patryk ufał. W trakcie jego kilkumiesięcznych pobytów w szpitalach wpadałam do domu tylko na godzinę. Spałam przy nim na krześle, bo inaczej nie mogłby zasnąć. Wystarczyło, że drgnęłam lekko we śnie, a Patryk budził się spanikowany, że mogę wyjść i zostawić go samego w szpitalu.

Patrząc na Patryka, na jego obrazy, nie mogę uwierzyć, że mówimy o tej samej osobie. Dzięki czemu Patryk tak świetnie sobie radzi? Czy dzięki rehabilitacji, czy swojej sile woli?

Patryk zaczął być rehabilitowany, gdy miał zaledwie trzy tygodnie. Trafił w ręce świetnej rehabilitantki. Ona jako jedyna wierzyła, że Patryk stanie kiedyś na nogach. A ja jej w pełni zaufałam. Zalecała ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. A syn właściwie od noworodka współpracował. Więc kiedy tylko było to możliwe, Patryk się rehabilitował. Ale gdyby nie jego wola walki, nie osiągnąłby aż tak wiele.

Kiedy Patryk trafił do ośrodków Fundacji?

Miałam znajomą, która namawiała mnie, abym zapisała dziecko do Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. Trudno było mi się przełamać, aby prosić o pieniądze. Z czasem pokonałam wstyd, zaczęliśmy refundować rehabilitację Patryka ze środków z subkonta. Potem psycholog z Fundacji namówiła nas na rehabilitację w ośrodku AMICUS. Patryk nie chciał, ale jak się przełamał, to już nie mogliśmy go stamtąd wyciągnąć.

Co spowodowało, że tak mu się tam tak spodobalo? Miejsce, ludzie, metody rehabilitacji?

Chyba wszystko razem. Do tego stopnia, że sam zaczął się udzielać jako wolontariusz. Dzieci, które nie chciały ćwiczyć, przy Patryku się mobilizowały. Działał na nie motywująco. A dla niego to też było ważne, że jest komuś potrzebny, że ktoś ma do niego zaufanie. Od kilku już lat Patryk korzysta z rehabilitacji w fundacyjnych ośrodkach.

Jakie zajęcia są dla niego szczególnie ważne?

Syn całe życie chodził do logopedy. Ale dopiero Monika Kowalska, logopedka z CEMICUSA, potrafiła z niego wykrzesać tyle zapалу do ćwiczeń. Patryk bardzo dużo dzięki niej się nauczył. Mówi się, że dzieci z porażeniem mogą coś wypracować tylko do 16 roku życia, a potem muszą się rehabilitować, aby nie utracić wcześniej zdobytych umiejętności. Patrykowi przy udziale pani Moniki udało się osiągnąć bardzo wiele, mimo że zajęcia z nią miał dopiero po 18 roku życia. Istotne są również zajęcia ruchowe, na których Patryk ćwiczy wytrwale, pokonując często duży ból.

Jak to się stało, że Patryk zaczął malować?

W szkole nauczycielka wpadła na pomysł, aby Patryk, zamiast pisać, ilustrował pojęcia i zjawiska. Syn zaczął robić książeczki z ilustracjami. Był to chyba 2013 rok. Patryk rysował coraz więcej i coraz śmielej. Później nauczycielka wyszukiwała różne konkursy plastyczne. Patryk zaczął w swojej kategorii wiekowej wygrywać. Jego praca na przykład zdobyła główną nagrodę w konkursie „Bezpieczna przyszłość”, a później została zlicytowana za najwyższą kwotę w aukcji pokonkursowej. To bardzo Patryka zmotywowało do dalszej pracy. Po raz pierwszy sam zarobił na swoją rehabilitację!

Co było tematem tej pracy?

Patryk słuchał w mediach o wojnie w Syrii. Umieścił na obrazie miasto podzielone



FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

na pół. W jednej połowie była piękna starówka, w drugiej – na starówkę spoglądała dziewczynka z za krat.

Obrazy Patryka są bardzo różnorodne, są to pejzaże, martwa natura, portrety. Co jest jego ulubionym tematem?

Maski. Pracuje nad nimi bardzo długo, zanim osiągnie satysfakcję z efektu końcowego. Inspiruje się twarzami wojowników indiańskich, ale są one całkowicie przetworzone przez jego wyobraźnię i wrażliwość. Patryk potrafi bronić swoich pomysłów, nie poddaje się sugestiom otoczenia.

Z tego co wiem, malowanie nie jest jedyną pasją Patryka. Czym się jeszcze interesuje?

Wrestlingiem, czyli bardzo widowiskową odmianą zapasów. Uwielbia książki

Andrzeja Sapkowskiego. Poza tym pływa, jeździ na snowboardzie.

Skąd Wasza rodzina czerpie siłę?

Rozmawiałam z wieloma rodzicami borykającymi się z chorobą dziecka. Najgorsze jest pytanie: „Czemu właśnie mnie to spotkało?”. Dzieci wszystko odczuwają, a nie są niczemu winne. Życie trzeba brać takim, jakie jest. Nie można wiecznie analizować dlaczego. To prowadzi tylko do załamania, a załamywać się nie można. Skąd czerpiemy siłę? Nie wiem. Myślę, że ja i mąż nie załamywaliśmy się, ponieważ jak patrzyliśmy na uśmiechniętą twarz Patryka podczas nawet największego bólu, nie mogliśmy postąpić inaczej. Mój mąż cały czas mówi, że bierze z naszego syna przykład i uczy się od niego wytrwałości.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

WPLĄTY DAROWIZN NA RZECZ PATRYKA

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

42 2490 0005 0000 4600 7549 3994

Tytułem:

5640 Wojtczak Patryk Robert darowizna na pomoc i ochronę zdrowia



1 % PODATKU

W formularzu PIT prosimy wpisać numer: KRS 0000037904, a w rubryce „Informacje uzupełniające – cel szczegółowy 1 %”: 5640 Wojtczak Patryk Robert



„Czytanie Nowakowskiego”
na bydgoskim Szwedero-
wie, 6 XI 2017 FOT. © ANDRZEJ KRYSZEK / RADIOPIK.PL

Pamięci redaktora Nowakowskiego

6 listopada na bydgoskim Szwedero-
wie – dzielnicy, w której Tadeusz
Nowakowski (1917-1996), jako dzie-
cko wraz z rodzicami zamieszkał w 1920
roku, odbyło się „Czytanie Nowakow-
skiego”.

W „Czytaniu” fragmentów dzieł Tadeu-
sza Nowakowskiego licznie uczestniczyła
młodzież, artyści, przedstawiciele władz
samorządowych oraz mieszkańcy. W ra-
mach jubileuszowych obchodów słuchano
też jego nagrań z Radia Wolna Europa.

Natomiast równo w 100. rocznicę urodzin
Tadeusza Nowakowskiego, 8 listopada,
żurnaliści Stowarzyszenia Dziennikarzy
Polskich Pomorza i Kujaw, na czele z pre-
zes Oddziału Anetą Nowak, uczcili jego
pamięć na bydgoskim cmentarzu przy
ulicy Zaświat, gdzie złożono kwiaty i za-
palono znicze.

To tylko dwa z wydarzeń, wpisujących
się w obchody Roku Tadeusza Nowakow-
skiego, ogłoszone przez nasze Stowa-
rzyszenie w 2017 roku. Inicjatywa – co
nie może dziwić – wyszła od żurnalistów
z miasta, które red. Nowakowski rozślał
na świecie, zwłaszcza wśród słuchaczy wol-
nego głosu RWE, przybierając pseudonim
„Tadeusz Olsztyński”.



FOT. © ANITA NOWAK / SPP BYDGOSZCZ

Olsztyn i Bydgoszcz, te dwa miasta
– szczególnie bliskie pisarzowi i dzien-
nikarzowi – które obdarzyły redaktora
godnością Honorowego Obywatelstwa
(Olsztyn 10 września 1991, Bydgoszcz
– 27 września 1993 roku).

Z innych wydarzeń, które wpisały się
w upamiętnienie Tadeusza Nowakowskiego,
warto wspomnieć również olsztyńską konfe-
rencję jemu poświęconą, w której uczestni-
czyli naukowcy z Białegostoku, Bydgoszczy,
Gdańska, Olsztyna i Warszawy.

ISB

Obóz Wszystkich Świętych

Wdwa lata po zakończeniu wojny żywy człowiek, bez wyroku sądu, w kwiecie wieku, siedzi w baraku i nie może się z niego wydostać. [Grzegorzycyk] czuł się w zatęchłym Pappenburgu jak ryba w akwarium. Międzynarodowe organizacje charytatywne wrzucają rybom do wody po muszce, by nie zdechły. I to wszystko, co człowiek dzisiejszy w swej szlachetności wymyślić może. Z początku trykał głową w szkło, ale szybko spostrzegł, że ściany są z grubego szkła. Teraz leży, śnięty, w szlamie, na dnie. Niby wolny, bo oswobodzony. W istocie zaś więzień, osadzony w baraku „Wszystkich Świętych”.

Cóż za pretensjonalna nazwa! Przed długie miesiące nie mógł się pogodzić z myślą, że mieszka w baraku „Wszystkich Świętych”. Jak wiele innych pomysłów Heniasa, także i ten wydawał mu się zbyt ekscentryczny. To było tak: na odprawie starszyny obozowej, która pod łaską majora odbyła się w kilka tygodni po oswobodzeniu, barakowi wypowiedzieli się przeciw numerowaniu baraków w Pappenburgu. Cyfry, wypędzowane wapnem na zielonych deskach, przypominały ludziom lata wojny. Podczas dyskusji na temat nowej nomenklatury drewnianych domków wyłoniły się dwa poglądy. Jeden, świecki i laicki, reprezentowany przez magistra Raczkę, a drugi, duszpasterski, autorstwa księdza Heniasa. Raczka proponował nadać barakom nazwy miast polskich. Ze szczególnym uwzględnieniem miast odzyskanych i utraconych (z Mińskiem i Bobrujskiem włącznie). Natomiast Henia zacytował słowa pieśni religijnej: „Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa – tak mawiali starzy”. Podkreślił obecność Stwórcy w każdej dziedzinie życia ludzkiego, a więc i w życiu obozowym. Zdaniem jego, baraki powinny sobie obracać za patronów Świętych Pańskich, a cały obóz należy ofiarować Sercu Jezusowemu. W podzięce za odzyskaną wolność.

Raczka skrzywił się, jak po wypiciu łyżki rycyny.

– Są wśród nas srodzy mądrale! – zirytował się Henias, który wrodzoną nieśmiałość zwykły był pokrywać udaną rubaszością. – Oni to chcą ograniczyć działanie Kościoła Walczącego do czterech ścian Świątyni Pańskiej. Ornat, paciorek, „*Dominus vobiscum*” i kwita. Ale to nie ze mną, moi panowie, bo ja nie jestem cukierkowaty pastuszek – rozpedził się kapelan. – Ja jestem włamywacz boży. Włamuję się do każdego baraku, do każdego serca ludzkiego.

– Hm – mruknął Raczka.

A major Kosko zdziwił się swoim dźwięcznym, męskim barytonem:

– Jak to? Mamy mieć barak „św. Antoniego”? Barak „Pod Matka Bosą”? Czy to nie bluźnierstwo? Alboż to księdzu nie wiadomo, że nasi lotrzykowie kradną jak kruki, urzynają się samogonem, wypruwają sobie flaki nożem i, za przeproszeniem, pieprzą się na pryczach od świtu do nocy?

– Właśnie dlatego – upierał się Henias – należy ich myśli podnieść ku niebu!

– Obawiam się, że ksiądz jest optymistą – roześmiał się Raczka.

– Gdybym nie był optymistą, nie byłbym katabasem – posłyszeli w odpowiedzi.

Koniec końców, wniosek Heniasa, poparty przez sodalicję, przeszedł większością głosów. Od tego czasu chór w Pappenburgu ćwiczy w baraku „św. Cecylii”, straż ogniowa zbiera się w szopie „Pod św. Florianem”, wilnianie i nowogródzianie gnieźdzą się w baraku pod wezwaniem „św. Kazimierza”, patrona Litwy, a Grzegorzycyk z innymi belframami mieszka w baraku „Wszystkich Świętych” [...].

Pierwszym żywym stworzeniem, które rzuca się przybyszowi w oczy po przekroczeniu bramy obozu, jest mały, czarny chłopczyna, bawiący się wśród stosu cegieł, tuż za wartownią. Pięcioletni szkrab nie wyjmuje rąk z pocerowanych porciąt. Żywa maskotka Pappenburga ma duże, błyszczące oczy i zadarty nos. Na białych policzkach malca widnieje blizna – ślad wojny. Ręce ma pokryte czerwonymi plamami – oparzenie drugiego stopnia. Wołają na niego rozmaicie: Kubuś, Sierotka, Znajdek lub Bambino. Jak się nazywa i czyj jest – nikt nie wie. Kubuś stracił rodziców podczas nalotu na Drezno. Baby w chustach pytają się nieraz malca:

– Kubuś, gdzie twój tata?

– Tata się spalił.

– A mama?

– Mama też się splaliła.

Z płonącej piwnicy wyciągnęli go włoscy jeńcy i zabrali ze sobą na zachód. Gdy Znajdek okazał się kłopotliwym nabytkiem, podarowali go Ukrainkom. Od Ukrainek wyprosiła go bezdietna babina spod Kalisza. Babinie zmarło się na „*durchfall*” w tydzień po oswobodzeniu [...].

Grzegorzycyk chwilami nie mógł uwierzyć, że znajduje się w zachodniej Europie, pod dwudziestym piątym południkiem, na samej granicy niemiecko-holenderskiej.



Pamiętał jeszcze ze szkoły, że im dalej od Wisły na zachód, tym gęstość zaludnienia większa i uprzemysłowienie kraju widoczniejsze. Tymczasem ta niezdrowa, bagnista równina, posiatkowana rowami wody, tu i ówdzie nasrożona kępkami zrudziałego sitowia i zbutwiałego tataraku, bardziej przypomina pola ryżowe w Indochinach niż

zachodni skrawek Niemiec. Z tą naturalnie różnicą, że unosi się nad nią ołowiane, beznadziejnie smutne niebo, ciężkie od przekleństw tysięcy więźniów, od trzech pokoleń zsyłanych w te strony do osuszania mokrań Pappenburger Moor.

Miasteczko leży za zakrętem szosy. W odległości trzech kilometrów od obozu. Przed wojną, a także i w czasie wojny, Pappenburg był zamożnym osiedlem: stocznie nad kanałem budowały barki śródlądowe, kutry dalekomorskie i parostatki żeglugi przybrzeżnej. Kariera Pappenburga (przed stu laty nie było go na mapie!) zaczęła się od przekopania ośmiokilometrowego kanału, który połączył sieć kanalików i rowów melioracyjnych z rzeką Ems. Od tego czasu, po każdym przyplywie Morza Północnego, woda w kanałach podnosi się o kilka centymetrów, a mieszkańcy Pappenburga żyją w przyjemnym złudzeniu, że mieścina ich leży na wybrzeżu. Zwłaszcza w dni bez deszczu, gdy mewy zabłąkane spod Eden unoszą się nad śluzami lub żelaznym mostem. Niestety, brudnozielona woda w kanałach nie pachnie morską solą. Cuchnie torfem i zgniłym zielskiem.

Pappenburg, otoczony przez moczary, torfowiska i pustkowia, jest właściwie dużą wioską rozciągniętą wzdłuż głównego kanału, zabudowana brzydkimi, przeważnie parterowymi domkami. Nie ma tutaj zabytkowych kościołów ani starych kamieniczek w rynku. Historia przeszła bokiem. Miasteczko nie ma przeszłości. Dwa nieestetyczne obeliski, oszpecone czarnymi orłami: jeden poświęcony wiktarii 1871 roku, a drugi wzniesiony na cześć kirasjerów poległych w I wojnie światowej, raczej podkreślają bezhistoryczność osady. Brzydota swoją Pappenburg przypomina kolonie, klecone pośpiesznie na Alasce w latach gorączki złota [...].

Ciąg dalszy na s. 42 →

→ Ciąg dalszy ze s. 41

Idąc dalej, wzdłuż kanału, podporucznik uważnie przypatrywał się zmianom, jakie zaszły w wyglądzie miasteczka w ciągu ostatnich dwóch lat. W tej części Papenburga dawno już nie był. Rzadko wychodząc za druty, codzienny spacer kończył zazwyczaj na zakręcie szosy, na skraju torfowiska. Wiele, wiele się tutaj zmieniło. Wprawdzie nad dachami unosi się ta sama, co dawniej żółta chmura: torf dymi z kominów, ale dachy jaśnieją czerwienią nowych dachówek, białe tynki prześwieca między rusztowaniami. Już usunięto ślady wojny. Uliczki nad kanałem lśnią od czystości [...].

Przypomniał sobie koniec wojny w Papenburgu. Ową wiosnę ludów, która stała się dla niego i dla tysięcy rozgoryczonych oswobodźców początkiem nowej niewoli.

Dwa lata temu, w tych samych uliczkach, dzwon kościelny bił na alarm. Syreny lotnicze zanosiły się od placu. Z trzaskiem zapuszczano sklepowe żaluzje. Okienne i drzwi w parterowych domkach zatraskiwano ze złowrogim łoskotem. Przerażone osiedle odcinało się od świata i nieuchronnej klęski. Odwracało się od słońca, powietrza i rozłuskotanego nieba. Zamykało nad sobą trumienne wieko. Jak łódź podwodna idąca na dno.

Koniec wojny zastał na torfowiskach ponad dwa tysiące robotników różnej narodowości, transport odbitych więźniów i kilkaset oswobodzonych z sąsiedniego obozu kobiet. O nadejściu odsieczy nikt już nie wątpił. Ale nawet ta przeczuwana niespodzianka dla wielu zdawała się być jeszcze jednym kłamstwem więcej. Porażenie nagłą odmianą losu było tak silne, że trzeba było głośniejszych zachęty ze strony amerykańskiego oficera, zanim grupa Żydówek wyszła z ukrycia. Krótco przed południem pokazało się słońce. Na wystrzał armatni, oddany w oddali, rozpoczął się zawrotny wyścig obrazów, epizodów i sensacji. Jakby olbrzymi ekran spadł z nieba, by umożliwić tysiącom niewolników ujrzeć ich własnego, od lat ukrywanego w wyobraźni, filmu oswobodzenia. Dwie taśmy najpiękniejszego dźwiękowca w technokolorze: szeroki trakt na niebie i szosa na ziemi wprost rwały się w oczach i w uszach od trzasku tysięcy motorów. Jak okiem sięgnąć, wstawały słupy dymu i kurzu. Szosą pędzili gońcy na motocyklach, zgrabnie podsakując w siodełkach na progu mostu. Jeepy świstały jeden za drugim, jak na konkursie szybkości samochodów. Nawet ciężkie, omączone pyłem czołgi pomykały ze zgrabnością wielkomięskich taksówek. Górą płynęła druga rzeka warkotu: eskadry symetrycznie rozplanowane na paru poziomach horyzontu.



Pierwszy Amerykanin, atletyczny Murzyn w hełmie, osadził jeepa przed magistratem w szpalerze kwiatów i okłaski. Węgierki całowały mu ręce. Włosi rzucali pocałunki w powietrze. Francuzi śpiewali. A polska i ukraińska biedota płakała, chyląc się ku wiśniowym butom. Żołnierz bez słowa rozgarnął tłum ręką. Podszedł do najbliższego słupa telegraficznego i przybił na nim znak drogowy: „Slow”. Powachlował się hełmem, ukazując na chwilę karakułowe włosy, po czym znowu rozgarnął tłum rękami, jak pływak wodę, wskoczył do samochodu, zatrąbił i odjechał. To wszystko.

Oswobodziciele, barczyści i młodzi ludzie, wiecznie przykręcający jakąś śrubę w motorze, zmieniający zaoliwione świece i tankujący benzynę, twarze mieli znudzone. Przyglądali się wyzwolencom bez sympatii, ale i bez niechęci. Widać było, że nie zależy im na niczyjej wdzięczności. Na okrzyki odpowiadali niedbałym podniesieniem skórzanych rękawic na wysokość hełmu. Rzucając z czołgów pudełka chesterfieldów w tłum, ślizgali się po nim niemym wzrokiem, bez śladu zaciekawienia. Trudno było z tych bezbarwnych min i gestów wyczytać, czy rozumieli tragedię tej wojny. Czy wręcz nie kleli w duchu „wyprawy krzyżowej” do Europy jako straty czasu, pieniędzy i benzyny? Albo przeciwnie – czy nie pojmowali jej właśnie jako „jobu” dolarowego, który należy „załatwić” szybko i precyzyjnie, zatrąbić i odjechać? Może działały w nich niezgłębione prawa psychologiczne podsuwające odwobodzicielowi podświadomą nie-

chęć do oswobodzonego? Dalecy byli od arogancji zwycięzców, ale w zachowaniu ich czuło się złe tajone lekceważenie, coś z odrazy, jaką odczuwają ludzie zdrowi i zamożni na widok nędzy ludzkiej, ludzie silni i uzbrojeni na widok słabych i bezbronych. Mogło to być zwykłe zmęczenie wojną. Mogło to być zwykły nie zawiniony brak wyobraźni [...].

Jedynie kilku oficerów z sekcji filmowej wykazywało żywsze zainteresowanie więźniami. Grupę żywych szkieletów, obciążonych poźółką skórą, zawieziono z powrotem do obozu, ustawiono przed drutami, filmując ja z dachu samochodu. Operatorzy sfotografowali dzieciom numery wytatuowane na ramionach. Dzieci płakały, nie chcąc wejść za

druty, z których niedawno wyszły. Musiano je zgromadzić przed bramą obozową. Jeden z oficerów, grubas w rogowych okularach o wybitnie semickich rysach, podszedł z Kodakiem do splakanych Żydówek. Przez wypukłe szkła patrzył w ich szerniałe i zapadnięte twarze krótkim, rybitim wzrokiem. Nie pochylił przed nimi głowy, nie uściśnął im brudnych rąk, nie zapłakał nad nimi: „Siostry moje, siostry”, tylko stał na szeroko rozstawionych nogach i przyglądał się im, daleki, cudzoziemski turysta. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Dzielilo ich coś więcej niż ocean i obcy język.

Po sfotografowaniu jeńców sowieckich, ściskających dłoń sierżantowi, efekciarz operator chciał na zakończenie uchwycić grupę polską w... kozaku, ale nie znalazłszy chętnych, zaklął, zatrąbił i odjechał.

Tymczasem w bezpiecznym mieście gorzało. Tłum pariasów wdarł się na uliczki z zajadłością termitów. Z okien ratusza spłynęła gwiazdzista flaga. Wybuchły pierwsze godziny swobody, rozpalone śpiewem, modlitwą, pijaństwem, kradzieżą, patriotycznym belkotem, a nade wszystkim jawnym i pokątnym odwetem. Z kijami w rękę zachybotwały w zaułkach cienie w więziennych łachmanach, z ostrzyżonymi do skóry głowami. Wielu z nich ślaniało się z wycieńczenia, gorączkowo wymachując piszczelami rąk. Kilku zaś, magnesem nienawiści ściągniętych z przyrody dogorywania, kicało za pochodem, obalając się co chwila, podrywając nieprzytomnie,

pełzając na bruku. Z rozbitej witryny boski Rumuni wyrzucali na ulicę wiaderka marmolady. Rozjuszony muzyk w baraniej czapce wybierał garściami śledzie z beczki. Kobiety w furii rozbijały gołymi pięściami szyby parterowych okien. Gdzie wdarła się struga ludzka, natychmiast wylatywały przez okna aparaty radiowe, lustra, zegary, portrety znienawidzonych żołnierzy niemieckich. Wrywano pierze z poduszek. Z głąchą nienawiścią wywłócił ktoś za nogi rannego esesmana, ukrytego w garażu pod samochodem. Po kilku minutach skonał, rozdrapany, rozdeptany, rozdarty na sztuki. Natychmiast przywlokły się niedobitki. Ochłapy ludzkie z izby chorych, które z trudem posuwały się wzdłuż ścian. Rozdęte i nadgniłe od puchliny wodnej kadłuby i kikuty „muzulmanów” i maruderów. Z grymasem bólu stawiali nogi. Krzyczeli już z daleka. Wreszcie dopadli do trupiej miazgi, bijąc w nią resztkami uchodzących sił. Pluli, charczeli, wczolgiwali się w kałużę krwi i mózgu. Darli i gryzli resztki znienawidzonego munduru...

Podporucznik ujrzał na moment samego siebie, pochylonego nad kałużą esesmańskiej krwi. Nienawiść dławila go za gardło. Chciał krzyczeć z innymi. Słowa uwięzły mu w gardle. Pamięta je po dziś dzień: „Rozdrapcie go pazurami! Rozdepczcie mu martwy pysk! Dzięki ci, Boże, za dzień zapłaty! Dzięki ci, Boże, za ostry nóż! I za zęby do przegryzania gardła! Dzięki ci, Panie, za łaskę nienawiści!”.

Dotykał palcami czarnej juchy, dławił się zemstą [...].

Przejeżdżający jeepem patrol wypalił w kłębowski serię, zatrąbił i zniknął na zakręcie. Nie opodał wijących się w bólu ciał, na progu splądrowanego domu towarowego, leżało dwóch pijanych jeńców francuskich [...]. A tam za kanałem – przypomniał sobie

Grzegorzycy – gromada Serbów odkryła na boczniccy cysternę alkoholu. Setki ludzi pobiegło w stronę dworca, jakby ich zmagiał ogień z powietrza. [...] Po chwili cały tłum zbił się w ciasnej bramie dworca. Rozległ się krzyk tratowanych i duszonych. Kobiety potykały się o szyny i podkłady kolejowe. Silniejsi Francuzi odepchnęli Serbów od cysterny. Ledwie się Francuzi dorwali do kranu, już ich Serbowie odciągali za ramiona i nogi. Kilku obdartusów usiadło na wagonie okrakiem, próbując podważyć górną klapę. Ktoś nadbiegł z siekierą. Wreszcie z poszarpanego boku, jak po uderzeniu Mojżeszowej laski, trysnął strumień alkoholu. Z krzykiem podstawiano usta, menażki, czapki, a nawet buty z cholewami. Wszczęła się nowa bijatyka o jedyne wiadro. Najsilniejszy z tłumu, kopiąc, gryząc i mkóćąc na oślep pięściami, zagarnął kilka litrów. Nadbiegało coraz więcej ludzi. Zadyśzani Włosi, Rosjanie, Polacy i Ukraińcy rzucali się na brzuch przed olbrzymią kałużą rozlanego płynu, czerpiąc z niej rękami, zanurzając twarze i włosy, chłepcząc jak z koryta, wprost całując brudną sadzawkę. I tylko jeden człowiek, kilkunastoletni wyrostek czeski, biegał zrozpaczony wokół zbiegowiska, krzycząc ile sił w piersiach: „Spirytus metylowy!”, ale rozpalony tłum nie zwracała nań najmniejszej uwagi.

O tej samej porze, na drugim końcu miasteczka, jeden z „dobrych Niemców”, chcąc się wywinąć z rąk tłumu, zdradził kryjówkę burmistrza i jego rodziny. Wytropiono ich na cmentarzu ewangelickim, skulonych i płaczących ze strachu w rogu rodzinnego grobowca. Zemstą kierował starszy siwy mężczyzna w lotniczej kurtce, w zrabowanym meloniku na głowie, wydający rozkazy z najspokojniejszą twarzą, z rękami w kieszeniach. Pojmanego hitlerowca wywleczono spod ziemi

i przywiązano do kamiennego nagrobka. Na widok żony i nieletniej córki, odzieranych z sukien przez rozjuszonych mołojców, burmistrz począł się przeżyć na nagrobku i wyć jak zwierzę. Żadna widowiska gawiedź stanęła kołem, popychając się na grobach i wspinając na pomniki. Kiedy półprzytomne, niemal zupełnie nagie kobiety wyciągnięto za włosy w trawę, krzyk burmistrza stał się podobny do piania koguta. Starszy mężczyzna, wyraźnie panujący nad całością okrutnego widowiska, krzyknął burmistrzowi w łamanej niemczyźnie, że ten sam los spotkał jego żonę pod Charkowem. Po czym kilku kopnięciami ustawił niecierpliwych mołojców w ogonek przed płaczącą córką. Na to matka, duża otyła kobieta, przytrzymywana w cmentarnej alei za nogi i ręce, zaczęła całować jeńcom buty, wic się i miotać jak ryba w sieci, bijąc ciężkimi piersiami o ziemię. Nastąpiła chwila ciszy. Z tyłu stojący poczeli wspinać się na palce. Kiedy pierwszy z mężczyzn, krępy Kałmuk, odrzucił barania burkę i drobne, zwinięte w kłębek, oplecione warkoczem ciało podsunął pod siebie, rozległ się ostatni ryk burmistrza. Miotając się w spętaniu, wyrwał obelisk z fundamentu i runął nieżywy, twarzą na cmentarną płytę. Nie odwiązując go od cementu, wrzucono go razem z obeliskiem do grobowca. Mężczyzna w zrabowanym meloniku, nie troszcząc się o dalsze losy wymyślonej przez siebie zabawy, z rękami w kieszeniach opuścił cmentarz. Jeszcze za murami słychać było krzyki męczonych kobiet i przekleństwa kłócących się o pierwszeństwo jeńców. Wyszedszy na drogę, nieznajomy wyjął ręce z kieszeni, przygarbił się i powłócił bezmyślnie przed siebie. Doszedł do kanału. Usiadł na brzegu i ukrył twarz w dłoniach.

Fragmenty rozdz. I i IX
TADEUSZ NOWAKOWSKI

Rękopis *Obozu Wszystkich Świętych* Tadeusza Nowakowskiego

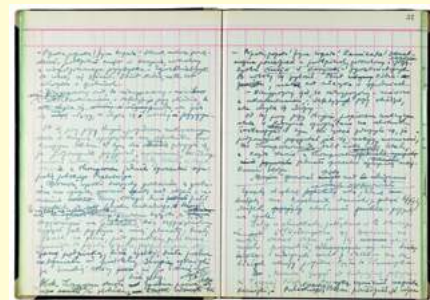
Brulion liczący 144 numerowane strony formatu A4, oprawny w tekturową okładkę o wymiarach 22 x 30,4 cm, zawiera niekompletny rękopis autorski jednej z najważniejszych polskich powieści o stosunkach polsko-niemieckich, a najważniejszej o pobycie polskich dipisów (*displaced persons*) w Emslandzie.

Autor osadził powieściową akcję nie w Haren, gdzie przebywał, lecz w Papenburgu, starając się zobrazować owo przymusowe zetknięcie się żywiołu „wyzwoleńców” z rdzennymi mieszkańcami Emslandu w całym jego skomplikowaniu.

Nie jest to kompletny rękopis powieści. Zapiski są pierwotnymi wersjami scen powieściowych, które w ostatecznej redakcji utworu weszły do rozdziałów pierwszego,

trzeciego i szóstego. Najprawdopodobniej są to pierwsze szkice powstałe jeszcze w czasie pobytu autora w Haren.

Jako utwór o – mimo wszystko – wspólnym polskim i niemieckim losie pod ciśnieniem historii *Obóz Wszystkich Świętych* jest też wybitną literacką próbą przewyżczenia nacjonalistycznych podziałów, zawiści i kompleksów. Jest też pierwszą (i na długie lata jedyną) powieścią polską na temat II wojny światowej ukazującą nie tylko wojenne cierpienie Polaków i zbrodnie nazistów (bydgoski wątek retrospektywny), lecz także zbrodnie żywiołowego odwetu „wyzwoleńców” na niemieckich mieszkańcach Emslandu (sceny z Papenburga). Literatura na te tematy, powstająca w epoce PRL nie chciała, nie umiała i wobec ograniczeń



cenzuralnych nie mogła na taki gest się zdobyć, toteż powieść emigracyjnego pisarza polskiego, od roku 1953 mieszkającego i tworzącego w Monachium, ma w dziejach polskiej literatury, jak i polsko-niemieckiego pojednania miejsce szczególne.

WACŁAW LEWANDOWSKI
„Porta Polonica”

Jan Dantyszek w Olsztynie

Mija 500 lat od pierwszej reformacji – wystąpienia Marcina Lutra w 1517 roku, który chyba w swojej naiwności nie rozumiał co robi. Nie chciał stworzyć nowego Kościoła, ale jego wystąpienie, tak w Niemczech, jak i w Europie, otworzyło nową epokę. Za dużo było interesów i interesików, aby do tego idealisty nie podczepili się przeróżni cwaniaczkowie.

Czy w Polsce wówczas była tolerancja, czy po prostu obojętność religijna? Owszem, obojętność była, ale szczególnie na ziemiach państwa krzyżackiego w Prusach, graniczących z Warmią.

Warmia istniała jako *Dominium* i władza biskupa była ogromna, m. in. ustalał podatki. Sama Warmia podzielona została na obszary podlegające bezpośrednio biskupowi i obszary podlegające kapitulie, czyli kanonikom. Olsztyn był tym obszarem, który podlegał kapitulie, dlatego zamek w Olsztynie był nie krzyżacki, nawet nie biskupi, ale kapitulny.

Co w tym czasie działo się w Europie? Wojny włoskie, pod Pawią w 1525 roku król Francji Franciszek I dostał się do niewoli cesarza Karola V. Parę lat później – w roku 1527 – doszło do *sacco di Roma*. Ówczesne podręczniki pisały o końcu katolicyzmu... Przełomem okaże się konklawe z 1534 roku, kiedy nowym papieżem zostanie wybrany wychowanek ojca chrzestnego reformacji – Erazma z Rotterdamu – Paweł III. Erazm przetłumaczył Biblię jeszcze przed reformacją w 1516 roku, a potem po sejmie Rzeszy w Wormacji zrobił to Luter już z łaciny na niemiecki i to w rekordowym czasie 11 tygodni na zamku w Wartburgu.

W Niemczech i Szwajcarii szalały już wojny religijne, za chwilę miały zapłonąć we Francji czy Niderlandach. Węgry były krojone między Habsburgów i Turcję, w Moskwie zaczynał krwawe rządy Iwan IV, rzeczywiście groźny – tak dla swoich, jak i obcych. W Polsce było spokojniej, owszem królowa Bona załatwiła synowi koronę bez elekcji, wściekła szlachta oznajmiła, że to po raz ostatni. Wygraliśmy bitwę pod Obertynem, a król Zygmunt Stary złał śmieszny rokosz poddanych pod Lwowem nazwany „wojną kokoszą” – zamiast walki z królem szlachta zjadła wszystkie kury...

Warmia odradzała się po wojnie pruskiej, po której kanonik Mikołaj Kopernik osadził tu licznych nowych osiedleńców. Właśnie kończył się okres wolnizny i można było rozpocząć finansowe żniwa. Chłopi za ziemię, krowę czy konia mieli teraz zapłacić. Nie na darmo biskupstwo warmińskie uchodziło za



Edward Ratuszyński, „Biskup Dantyszek na zamku w Olsztynie”, 2017 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

trzenie z najbogatszych w Rzeczpospolitej. Nowy biskup Jan Dantyszek był polskim dyplomata na dworach Habsburgów, poetą renesansu, ulubieńcem królowej Bony. Miał też córkę w dalekiej Hiszpanii... Być może to zmusiło go do napomnień kanonika Kopernika, aby ten oddalił ze swojej kanonii, co prawda krewną, ale jednak kobietę – Annę Schilling. Urodzona w Toruniu – jak astronom, zamężna z kupcem gdańskim – matka kilkunastu dzieci, po interwencji biskupa Dantyszka musiała zamieszkać poza wzgórzem we Fromborku, a potem przenieść się z powrotem do Gdańska. Szczyt konfliktu biskupa z kanonikiem przypadł właśnie na przełom 1538/1539, co świetnie przedstawił Edward Ratuszyński na obrazie „Biskup Dantyszek na zamku w Olsztynie” (17 grudnia 1538).

W krótkim grudniowym dniu, strona północna zamku jest silnie nasłoneczniona. To w tej części budynku wcześniej Kopernik mieszkał i tu na ścianie obliczył równonoc. Gospodarzem był kanonik Kopernik, więc to on wita biskupa na dziedzińcu. Ratuszyński ma pecha, bo kolejne wydarzenie z dziejów Olsztyna odbywało się znów zimą. Uważny czytelnik zauważy jej ślady na dachu dziś nieistniejącego fragmentu gotyckiej budowli. Właściwie wybrano miejsce hołdu stanów przed nowym biskupem – zamek był zamknięty i niedostępny dla postronnych. Południowa Warmia była otoczona przez tereny Prus Książęcych zamieszkałe przez protestantów, poddanych Albrechta Hohenzollerna.

Gdyby wiedziano wtedy to, czego dziś jesteśmy pewni, to nie Dantyszek, a może Koper-

nik byłby wtedy biskupem warmińskim. Nie tylko wybitny astronom, lekarz, ekonomista, ale szczerze wierny syn Kościoła katolickiego, który swoją teorię heliocentryczną mógł ogłosić dużo wcześniej. Nie zrobił tego, bo nie chciał stanąć wówczas w jednym szeregu z licznymi przeciwnikami katolicyzmu. Uczynił to po powstaniu zakonu jezuitów, za pontyfikatu jednego z najwybitniejszych papieży w historii, na krótko przed swoją śmiercią i soborem w Trydencie. Trochę przypomina mi to postawę największego władcy tamtej epoki Karola V – króla Niemiec, Hiszpanii, cesarza rzymskiego, pana Niderlandów. Ten po wojnach z Turcją, po zdobyciu kolonii w Amerykach i na Dalekim Wschodzie, podzielił swoje państwo pomiędzy brata i syna, a sam zamknął się na ostatnie dwa lata życia w alpejskim klasztorze i z okna swojej celi łowił pstrągi. Może to jest odpowiedź na pytanie filozofów: co to jest szczęście dla człowieka?

Ostatnio wieloletni prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego prof. Krzysztof Mikulski przedstawił nowe spojrzenie na domniemany romans Mikołaja Kopernika z wdową Anną. Kopernik był już zbyt stary na takie figle i myślał raczej o innej opiece bliskiej mu niewątpliwie kobiety. Po poleceniu biskupa spotkał się z nią przypadkowo (?) tylko raz w drodze na targ w Królewcu. Rzeczywiście brat Kopernika Andrzej, też kanonik warmiński, zmarł na trąd lub syfilizm i stąd myślę te spekulacje wokół największego przedstawiciela renesansu nie tylko na Warmii, ale i w Polsce.

HENRYK FALKOWSKI

Rok Josepha Conrada

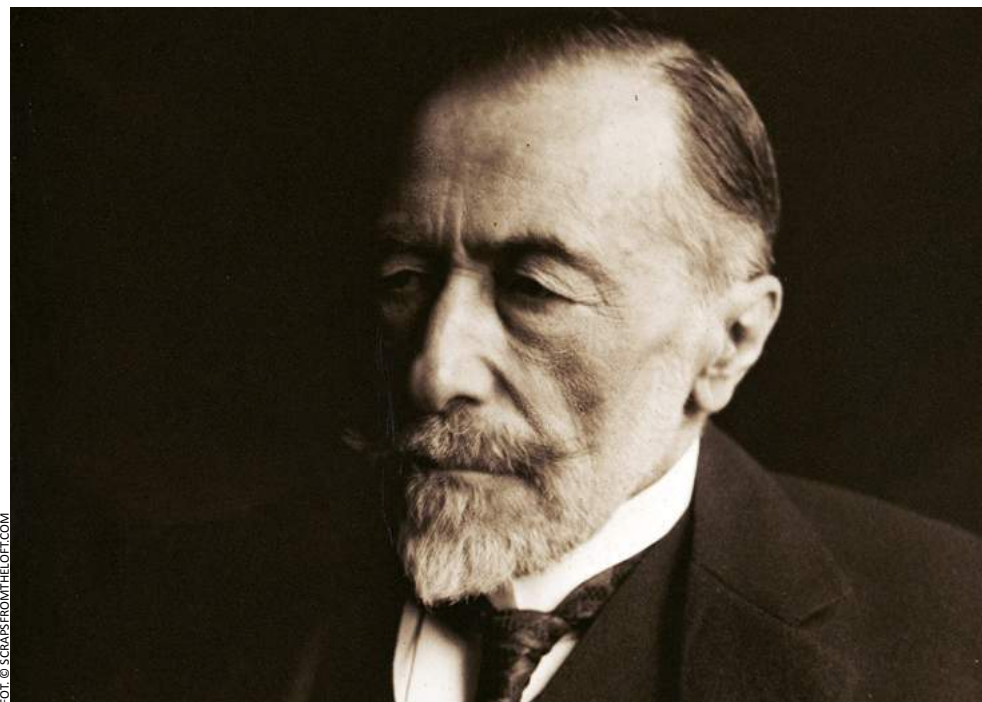
Józef Teodor Konrad Korzeniowski herbu Nałęcz urodził się 160 lat temu – 3 grudnia 1857 roku w Berdyczowie, wtedy w rosyjskim zaborze. Jego ojciec Apollon Korzeniowski był polskim patriotą z romantyczną duszą, bez zdolności do wszelkich zadań gospodarczych. Posiadał natomiast niewątpliwie talenty literackie. Był autorem przekładów na język polski utworów Szekspira, Dickensa, Wiktora Hugo, samodzielnie napisał dramaty *Dla miłego grosza*, *Komedię*, pisał też wiersze. Kiedy urodził mu się syn, napisał wiersz, w którym przypomina dziecku, że jest bez ziemi, miłości, kraju i narodu, a „Polska – twoja matka leży w grobie”. Aby jego wizerunek romantyka był kompletny, zmarł na suchoty (gruźlica płuc) w biedzie, ale za to towarzyszyła mu sława patrioty-męczennika.

Józef T. Konrad Korzeniowski, późniejszy pisarz Joseph Conrad, miał podówczas siedemnaście lat i za sobą śmierć matki, która osierociła go, kiedy miał lat dziewięć. Pozbawiony opieki rodzicielskiej nie był pozostawiony sam sobie, bo opiekował się nim brat matki Tadeusz Bobrowski. Wuj nie był zwolennikiem rosyjskiej władzy i pozostawania pod zaborami, ale był pragmatykiem i tak układał sobie życie, by mimo rosyjskiej opresji bieda nie zaglądała mu w oczy. Uważał, że najważniejsza jest nauka i tę był skłonny przysłuszeć pisarzowi finansować bez jakichkolwiek ograniczeń. Jednak siostrzeniec wybrał inną drogę: uciekł na morze.

Przyczyną ucieczki nie była chęć wydobycia się spod wujowskiej kuratelii, chodziło o to, by uniknąć obowiązkowej służby wojskowej w carskim wojsku. Przyjacieli rodziny pożegnał go słowami: „Dokądkolwiek byś żeglował, zawsze będziesz płynął ku Polsce”. Obiecał nigdy ich nie zapomnieć i chociaż zapewne rzeczywiście tak było – nie zapomniał języka, nie wyzbył się przekonania, że pochodzi z lepszej klasy (mówił o sobie, że jest „polskim szlachcicem obtoczonym w brytyjskiej smole”), na morzu stał się najpierw francuskim marynarzem, potem marynarzem brytyjskim, a następnie angielskim pisarzem. Stał się Josephem Conradem.

Początki twórczości

„Wybitna twórczość Korzeniowskiego pozostaje zjawiskiem odosobnionym w literaturze światowej, łącząc w sobie nurt romantyzmu z pozytywizmem, symbolizmu z impresjonizmem. Michał Choromański w tytule jednej z powieści nazwał Josepha



FOT. © SCRAFSFROMTHELOFT.COM

Conrada *Słowackim wysp tropikalnych*. Większość przekładów na język polski, autoryzowanych przez Korzeniowskiego, jest dziełem kuzynki pisarza Anieli Zagórskiej”, czytamy w dość wyczerpującej informacji o Conradzie zamieszczonej w Internecie.

Debiutem pisarza były powstałe w 1896 roku *Szaleństwa Almayera*. Bohaterem powieści, której akcja rozgrywa się na Borneo, jest holenderski kupiec, owo szaleństwo zaś to nie chęć, wbrew protestom opinii, przychylenia za wszelką cenę córce, pół-Malajce, nieba – ale budowa europejskiego domu pośród malajskiej dżungli. Dom nigdy nie zostaje ukończony, a swym wyglądem tak kontrastuje z otoczeniem, że naraża Almayera na śmieszność. Conrad łączy tu, kontynuowaną we wszystkich kolejnych utworach, problematykę etyczno-moralną z wątkami przygodowo-romansowymi. Powieść spotkała się z aplauzem czytelników i niezbyt dużym uznaniem krytyków. Dzisiaj możemy powiedzieć, że była dobrą zapowiedzią jego późniejszej twórczości.

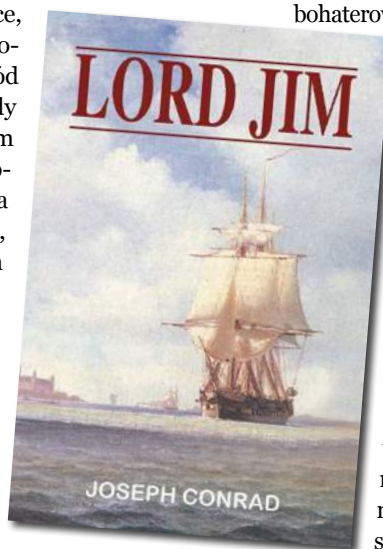
Najważniejsze utwory

Conrad napisał łącznie piętnaście powieści i osiem tomów opowiadań. Cała jego twórczość miała prekursorski charakter, a o jego powieściach mówi się, że są zaczątkiem nowoczesnej powieści

europejskiej. Wśród utworów najczęściej przywoływanych, analizowanych przez naukowe gremia, opisywanych przez kolejne pokolenia krytyków na czoło wybijają się cztery: *Lord Jim*, *Jądro ciemności*, *Tajny agent* i *Murzyn z załogi Narcyza*.

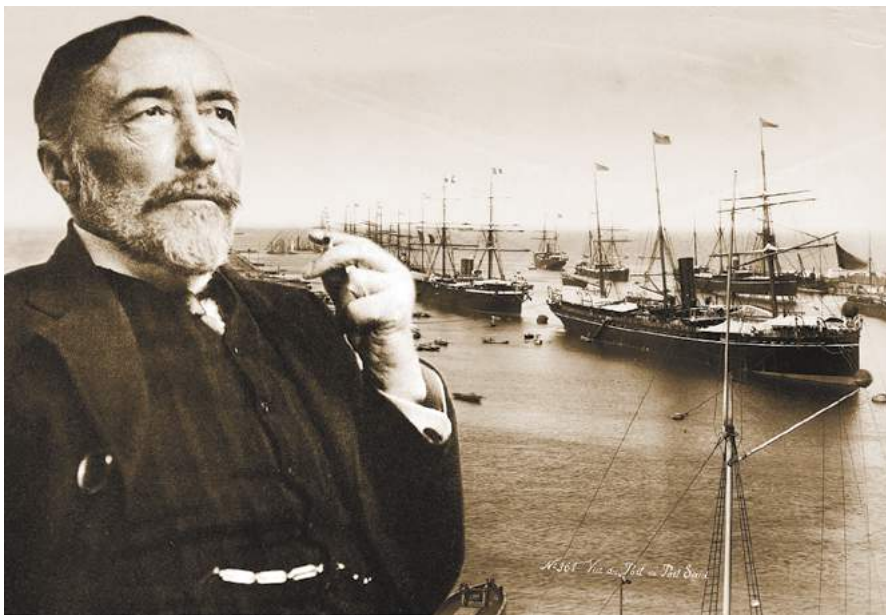
W przeszłości jedna z najważniejszych powieści Conrada *Lord Jim* znajdowała się w kanonie lektur szkolnych, dzisiaj ponoć Conrad w lekturach nie jest przewidziany. Dylematy moralne, które przeżywali jego bohaterowie, skomplikowane

relacje międzyludzkie pokazywane najczęściej na przykładzie zachowań prostych ludzi, jakimi byli ówczesni marynarze, poczucie moralności, które było ich cechą wrodzoną, nie-uwarunkowaną ani wychowaniem, ani urodzeniem, a które Lordowi Jimowi nie pozwoliło uciszyć sumienia po pozosta-



wieniu przez niego pasażerów statku, którym dowodził na pastwę żywiołu, kiedy sam się ratował przed utonięciem ucieczką na jednaj z kilku szalup, ginie we współczesnych pojęciach w rodzaju „poprawność polityczna”.

Ciąg dalszy na s. 46 →



FOT. © THE SUN/CORBIS OUTLINE

→ Ciąg dalszy ze s. 45

Pojęcie owo ma zastąpić moralność właśnie. O poprawności politycznej można dyskutować, o moralności nie bardzo, zatem jeśli te terminy mają takie samo znaczenie, zastępowanie moralności poprawnością stanowi furtkę do jej omijania, czyli do usprawiedliwiania zachowań niemoralnych.

Marynarze z załogi Narcyza (*Murzyn z załogi Narcyza*) to zbieranina ludzi prostych, najczęściej o zszarganych życiorysach i niejasnej przeszłości. Wydawałoby się, że są pozbawieni jakiegokolwiek pozytywnych uczuć, a jednak to oni podczas największego zagrożenia miotani między niechęcią do „odmieńca”, „Negra”, a imperatywem moralnym, nakazującym mimo silnego szkwału ratować mu życie, ratują je nie bacząc na ryzyko utraty własnego.

Nowela *Jądro ciemności* jest oskarżeniem kolonializmu, idei, którą propagowała ówczesna Europa, usprawiedliwiają podboje Afryki misją cywilizacyjną. Główny bohater Marlow płynąc statkiem wzdłuż Tamizy opowiada załozce o Afryce i poczynaniach białych wobec rdzennej ludności. Opowiada też o działaniach niejakiego Kurtza, handlarza kością słoniową, słynnego z bezwzględności i okrucieństwa w stosunku do Murzynów, który jednak tuż przed śmiercią dostrzega potworność swoich zbrodni.

Conrad dzisiaj

Joseph Conrad od czasów drugiej wojny światowej postrzegany jest przez polskich

pisarzy i czytelników jako pisarz-moralista, strażnik wypróbowanych przez wieki zasad postępowania, mistrz trudnej sztuki odważnego życia w chwilach próby, choć on sam – jak przyznaje we wspomnieniach – za moralistę się nie uważał. Na całym świecie dostrzegalny jest renesans zainteresowania jego twórczością i chociaż nigdy nie był pisarzem zapomnianym, to obchodzone dziesięć lat temu 150-lecie urodzin wywołało znaczny wzrost liczby publikacji na jego temat, jak również wznowień jego twórczości. W Polsce całość jego dzieł (27 tomów) w latach 1972-1974 wydał Państwowy Instytut Wydawniczy. To, czego nie przepuściła ówczesna cenzura opublikowało w 1975 roku w jednym tomie londyńskie wydawnictwo Polonia. W Polsce to uzupełnienie ukazało się w 1995 roku.

Rok 2017 również został przez Sejm ogłoszony jako Rok Conrada. W uchwale

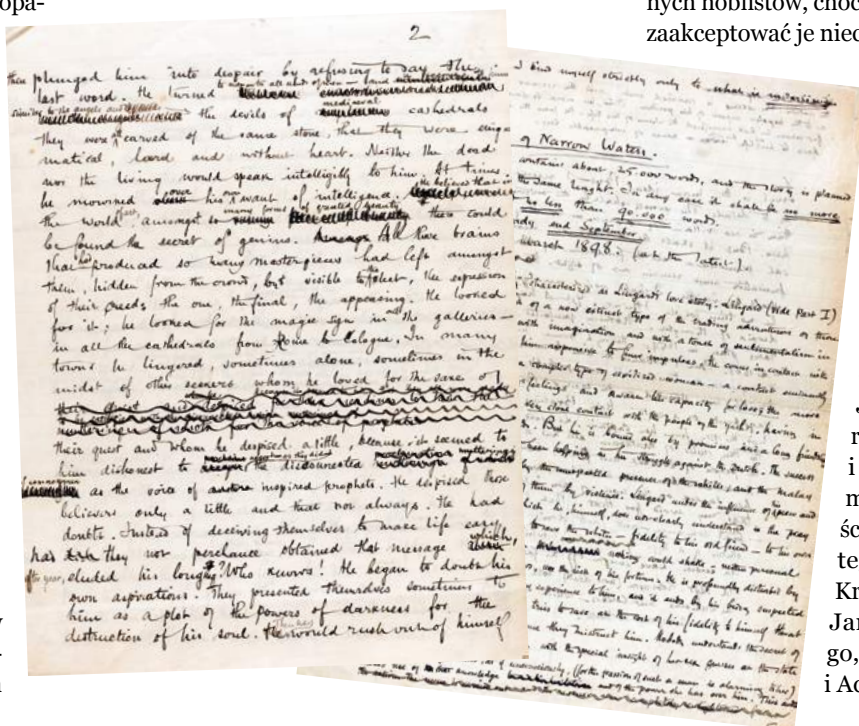
sejmowej napisano, że w swoich powieściach Conrad, syn polskich zesłańców syberyjskich pokazał wizję Europy bez granic, wyrażał europejskiego ducha polskości oraz uczynił polskość dobrem powszechnym. „Rok 2017 będzie rokiem, w którym Conrad na dobre wróci do Polski” – zapowiadał dyrektor Instytutu Książki Dariusz Jaworski na inauguracji obchodów. W mijającym już Roku Conradowskim najważniejsze imprezy okolicznościowe to odbywający się w Krakowie już po raz dziewiąty Festiwal Conradowski, uważany przez wielu za najważniejszy i najważniejszy festiwal literacki. Na Festiwal przyjechali prawie wszyscy znani i liczący się współcześni polscy i liczni zagraniczni pisarze. Odbywały się liczne spotkania, panele, dyskusje. Wydano okolicznościowe plakaty, foldery, gadzety.

Autor zamieszczonej w Internecie notki o tegorocznej nagrodzie im. Josepha Conrada wręczanej na festiwalu za najlepszy debiut minionego roku pisał: „Patronem Nagrody jest Joseph Conrad, jeden z najwybitniejszych pisarzy nowoczesnych, który rozpoczął swą międzynarodową karierę literacką po wyjeździe z Krakowa”, Nagrodę otrzymała Anna Cieplak, niespełna trzydziestoletnia debiutantka za powieść opisującą problemy współczesnej polskiej prowincji pt. *Ma być czysto*. Notka jest tak daleko posuniętym skrótem myślowym, że można byłoby odnieść wrażenie, iż to dzięki wyjazdowi z Krakowa „kariera” Conrada była możliwa. Tymczasem rzeczownik „kariera” budzi nieco inne skojarzenia niż trwała obecność w światowej literaturze Josepha Conrada. Nie słyszy się na ogół o „karierze” Dostojewskiego, Tolstoja, Manna czy choćby współczesnych noblistów, chociaż w tym przypadku zaakceptować je nieco łatwiej; słowo „ka-

riera” w odniesieniu

do Boba Dylana jakoś nie razi...

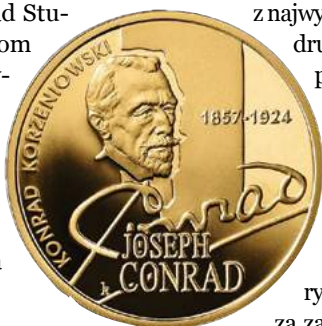
Również organizowany przez Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej ogólnopolski Festiwal „Obrazy z Conrada” to podróż przez literaturę Józefa Teodora Konrada Korzeniowskiego i muzykę opartą na motywach jego powieści, skomponowaną dla tego Festiwalu przez Krzesimira Dębskiego, Jarosława Siwińskiego, Adriana Williamsa i Adama Porębskiego.





Joseph Conrad z kuzynką Anielą Zagórską, autorką przekładów jego dzieł na język polski, 1923. FOT. © CONRADIUM.POLONISTYKA.UJ.EDU.PL

Dziedzictwo, jakie pozostawił po sobie Joseph Conrad zostało też podkreślone podczas marcowych Londyńskich Targów Książki, w trakcie których Polska była gościem honorowym. Conrad Study Day towarzyszył Targom w British Library. Na brytyjskim rynku ukaże się też wkrótce zbiór opowiadań czołowych polskich i angielskich pisarzy inspirowanych twórczością Conrada. Opowiadania wyda Comma Press.

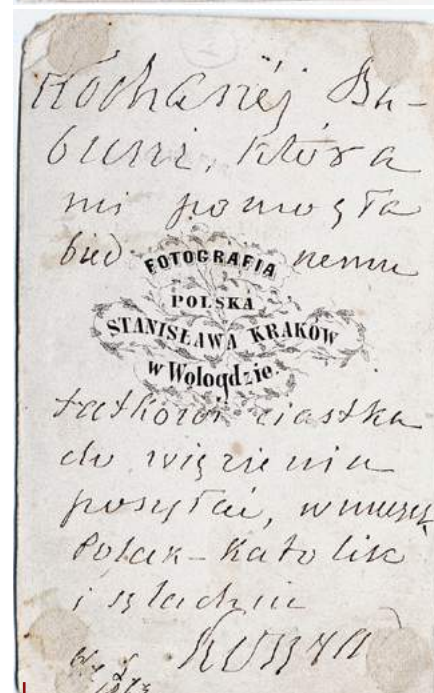


Co pozostaje w nas z Conrada?

Joseph Conrad wybitnym pisarzem niewątpliwie był, żeby pozostać przy lekkiej parafrazie słów prof. Bładaczki z *Ferdydurke* Gombrowicza w odniesieniu do Słowackiego, co jednak wynika z tego dla nas, żyjących we współczesnej Polsce? Można obawiać

się, że niewiele. Rokrocznie wydawanych jest kilka tysięcy tytułów, sięga zaś po nie zaledwie jedna trzecia polskiego społeczeństwa. Klasyka czy też literatura współczesna z najwyższej półki ginie w tym zalewie drukowanego słowa i ma szanse przebić się do bardzo małej liczby czytelników.

Zapewne takie przedsięwzięcia jak działający od 2009 roku Festiwal Conrada, przyznawanie różnych literackich nagród czy obecność na rynku kilku czasopism mających za zadanie popularyzowanie czytelnictwa nieco te szanse zwiększają, ale statystyki są bezlitosne: tylko choćby jedną książkę bierze do ręki w ciągu roku zaledwie 30 proc. mieszkańców Polski, a przy tym pod terminem „książka” rozumiana jest również literacko podobna produkcja wydawnicza, w masowych nakładach, nazywana często „literaturą kobiecą” lub też powieści sensa-



Konrad Korzeniowski, 1863. Na odwrocie zdjęcia tekst pisany ręką sześciolatniego malca: „Kochanej Babuni, która mi pomogła biednemu tatkowi ciastka do więzienia posyłać, wnuśki Polak-Katolik i szlachcic Konrad”

FOT. © CONRADIUM.POLONISTYKA.UJ.EDU.PL

cyjne, których ilość nie ma szans przejścia w jakość. Twórczość Conrada, podobnie jak innych światowych twórców tzw. literatury wysokiej ma przy tym wszystkim szanse dość małe. Trzeba również załować, że żadne wydawnictwo nie pokusiło się o wydanie dzieł Conrada. Choćby wyboru. Obchody roku conradowskiego byłyby dla takiego wydania znakomitą reklamą, a od ostatniej ośmiotomowej edycji upłynęło już ponad 20 lat.

ANNA GRELEWSKA

Stworzyć modę na Moniuszkę

Rozmowa z Elżbietą Stanisławą Janowską Moniuszko, prapraprawnuczką wielkiego narodowego kompozytora, ojca polskiej opery narodowej, twórcy *Śpiewnika domowego* i utworów religijnych – Stanisława Moniuszki, z okazji przygotowań do obchodów 200. rocznicy jego urodzin.

Wojciech Czajkowski: Pani Elżbieto, jak to jest, kiedy nosi się takie nazwisko? Czy to zobowiązuje?

Elżbieta Stanisława Janowska Moniuszko: Z pewnością jest to powód do dumy, ale absolutnie nie do bycia zarozumiałym. Bycie potomkiem sławnej osoby nigdy nie jest zasługą tego potomka, tylko ogromnym zobowiązaniem do życia w taki sposób, aby zasługiwać na godne miano potomka słynnego przodka.

Z historii wiemy, że Stanisław Moniuszko pozostawił liczną rodzinę. Ilu jego potomków żyje do dziś?

Obecnie żyje około sześćdziesięcioro autentycznych potomków kompozytora. Jestem w trakcie gromadzenia aktualnych, precyzyjnych danych, pochodzących ze sprawdzonej dokumentacji rodzinnej. Większość z nich mogę wymienić chronologicznie, według dat urodzin.

Z linii męskiej – po synu kompozytora, też Stanisławie – zostało nas tylko sześćcioro; we Włoszech moja rodzona siostra – Dorota Maria (1953), w Warszawie – ja – Elżbieta Stanisława (1954), mój brat cioteczny – Piotr Wojciech (1966), mój bratanek cioteczny – Artur Piotr (1969; syn śp. Marcina Stanisława Moniuszki), Ewa Anna (1990) – córka Piotra Wojciecha Moniuszki oraz moja córka – Adrianna Danuta (1990). Wszyscy nosimy nazwisko Moniuszko.

Dużo liczniejsze grono potomków jest po pierwotnej córce kompozytora – Elżbiecie Moniuszkównie. Ponieważ są potomkami z linii żeńskiej, nie noszą nazwiska Moniuszko. 11 potomków Elżbiety Moniuszkówny mieszka w Polsce. W Sopocie – Barbara Okoniewska z domu Gałążkówna (1931); w Warszawie – Dehnelowie: Maciej (1934), Marcin (1976), Stanisław (2004) i Antoni (2009) oraz w Myszkowie, na Śląsku – Modzelewscy: Maciej (1963), Jerzy (1967), Daniel, Wojciech (1990) i Szymon (1995).

Ale potomkowie Stanisława Moniuszki mieszkają obecnie jeszcze w innych miejscach świata...

Tak, w Kanadzie mieszka praprawnuczka kompozytora, też po Elżbiecie Moniuszkównie – Ewa Piros z domu Dehnel (1932), jej czworo dzieci: Joanna (1955), Dorota (1958), Jan (1960) i Tomasz (1961) oraz jej dziesięcioro wnuków. Również w Kanadzie mieszka Michał Okoniewski (syn Barbary Okoniewskiej) z żoną i dwoma córkami. Najmłodszy potomek Elżbiety Moniuszkówny, to urodzony w 2014 roku w Kanadzie, Aleksander Lenz (prawuk B. Okoniewskiej).

Liczni autentyczni potomkowie Stanisława Moniuszki, też po Elżbiecie Moniuszkównie, mieszkają na Węgrzech. To rodzeństwo cioteczne śląskich Modzelewskich, potomków Elżbiety Moniuszkówny – Marta Halmay z domu Badacsónyiné (1964) i Ewa Hegyi z domu Badacsónyiné (1966) oraz ich pięcioro dzieci: Andras Halmay (1990), Gabor Halmay (1992), Weronika Halmay (1994), Levente Hegyi (1996) i Zusanne Halmay (1997).

Żyje też kilkanaścioro potomków Stanisława Moniuszki, po jego córce Jadwidze Moniuszkównie, których dokładne dane zbieram z pomocą jednego z nich – zamieszkałego w Warszawie – Zdzisława Wójcika (1981).

Zbliżają się obchody 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki, wiem, że Pani czynnie włączyła się w te obchody...

W lipcu bieżącego roku Fundacja Niezależny Fundusz Kultury Polcanart powołała do życia Społeczny Komitet Obchodów 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki, którego zostałam przewodniczącą. Celem tego Komitetu jest skupienie działań wszystkich osób, organizacji i instytucji, które chcą działać lub z urzędu są wyznaczone do przygotowania tych obchodów.

Pragnę podkreślić, że Społeczny Komitet Obchodów w żadnym aspekcie nie rywalizuje z kimkolwiek. Wręcz przeciwnie.



FOT. © ARCHIWUM PRYWATNE



Mając w naszym gronie wybitne osobistości z bardzo wielu środowisk politycznych i zawodowych, nie tylko artystycznych, pragniemy na zasadzie tzw. „burzy mózgów”, bezinteresownej, życzliwej współpracy, realizować inicjatywy, które nie tylko przygotowują uroczystości 2019 roku, ale sprawią, że w Polsce stworzymy modę na Moniuszkę. Będzie odbywać się „narodowe granie i śpiewanie Moniuszki”, a jego twórczość i biografia będzie dobrze znana przez obecne i następne pokolenia Polaków.

Pragniemy też zapoznawać cudzoziemców z twórczością Stanisława Moniuszki. Z ogromnym zaangażowaniem czyniła to śp. Maria Fołtyn i chcemy kontynuować jej cenną inicjatywę. Jestem przekonana, że obecność w naszym Komitecie wybitnego włoskiego dyrygenta, maestro Massimiliano Caldi'ego, jego wielkie zaangażowanie w propagowanie muzyki polskiej, w tym twórczości Moniuszki, będzie wielkim atutem w naszych działaniach na arenie międzynarodowej.

W USA powstała filia Komitetu; podobna jest tworzona w Kanadzie. Czy są plany, aby jeszcze w innych krajach powstały tego rodzaju inicjatywy?

Będziemy kontaktować się z Towarzystwem Moniuszkowskim, które istnieje w Tokio. Z inicjatywy sopranistki – Natalii Kovalenko (z pochodzenia Ukrainki, posiadającej także polskie obywatelstwo), członka naszego Komitetu, na Ukrainie powstał Ukraiński Komitet Obchodów 200 rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki.

Przed tegoroczną Wigilią Bożego Narodzenia pani Natalia Kovalenko, w towarzystwie między innymi wybitnego pianisty i kompozytora, dr. Jarosława Domagały, zainauguruje działalność ukraińskiego Komitetu. Pan Domagała zaprezentuje w Kijowie, odnalezione przez niego, prawie nieznanne utwory fortepianowe St. Moniuszki. Natomiast 28-29 października w Chicago, z wielkim sukcesem wystawiono „Straszny dwór” w reżyserii prof. Ryszarda Cieśli, dziekana Wydziału Wokalno-Aktorskiego warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina. Jak widać muzyka Moniuszki nie jest zupełnie nieznaną i nielubianą za granicą.

Pan Waldemar Dąbrowski, dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, zaszczylił mnie zaproszeniem do składu zespołu, który utworzył w celu przygotowania obchodów rocznicy moniuszkowskiej. W osobistej rozmowie ze mną między innymi akcentował, że Moniuszko w Polsce został zaniedbany. Właśnie dlatego pragniemy połączyć wysiłki wszystkich osób i instytucji, którym szczerze zależy na naprawieniu tego błędu. Ja uważam, że nikt nie ma obowiązku kochać wyłącznie muzykę mojego praprapradziadka, ale żadnemu Polakowi nie wolno nie szanować rodzimych twórców.

Należy poznać i dokładnie zrozumieć wszystkie subtelności i tło historyczne oryginałów dzieł, następnie poznawać nowe wizje artystyczne na ich temat i dopiero wówczas można wygłaszać opinie. Żelazną zasadą muszą być aranżacje i wykonania, które w żadnym stopniu nie są kpina z dzieł kompozytora, ani z jego przesłania o cennych polskich wartościach patriotycznych i moralnych. Takie przesłanie noszą w sobie wszystkie świeckie i religijne dzieła Stanisława Moniuszki.

Kto może zostać członkiem Komitetu?

Członkiem Społecznego Komitetu Obchodów może zostać każdy, kto jest gotów całkowicie społecznie przyczynić się swoją wiedzą i pasją do autentycznego upowszechniania wiedzy o twórczości i życiu Stanisława Moniuszki. Działalność Zarządu i członków Komitetu absolutnie nie wiąże się z jakimkolwiek osobistym profitem materialnym. Hołdujemy zasadzie ponadpartyjnego wspólnego celu narodowego, którego osiągnięcie nie zakończy się uroczystościami w dniu 5 maja 2019 roku. Poczytuję sobie za wielki zaszczyt, że moje zaproszenie do Komitetu przyjęły wybitne osobistości świata nauki, kultury i polityki, z różnych opcji politycznych.

Jakie plany ma Komitet?

Obchody 200. rocznicy urodzin ojca polskiej opery narodowej są dla nas dobrym pretekstem do stworzenia mody na

Moniuszkę, narodowego grania i śpiewania jego utworów przez polskie dzieci, młodzież i dorosłych. Nie mamy powodu wstydić się naszego twórcy, cenionego m. in. przez osobiście znanego mu, włoskiego mistrza – Gioacchino Rossiniego. Gdy Stanisław Moniuszko, będąc w Paryżu, ofiarował G. Rossiniemu partyturę swojej „III Litani Ostrobramskiej”, włoski kompozytor w osobistym liście do Moniuszki wyraził swój podziw dla kunsztu kompozytorskiego ofiarodawcy.

Chcemy sprawić, aby twórczość Stanisława Moniuszki na stałe znajdowała się w programach edukacyjnych polskich szkół podstawowych i średnich, nie tylko muzycznych. Pragniemy propagować twórczość Moniuszki w oryginale i w różnych aranżacjach i wykonaniach, także najbardziej nowoczesnych czy wręcz humorystycznych, ale wszystko w sposób wyrafinowany, na wysokim poziomie artystycznym.

Ważnym działaniem jest podpisanie umowy z wybitną artystką, panią dr hab. Marią Pomianowską, na wspólne opracowanie i realizację projektu pt. „Moniuszko na 5 kontynentach”, który zostanie sfinalizowany nagraniem albumu CD/DVD. Może Pan pamiętać, że pani Pomianowska jest autorką albumu „Chopin na 5 Kontynentach”, który w czerwcu 2010 roku zajął 5 miejsce wśród albumów nominowanych przez 48 rozgłośni zrzeszonych w Europejskiej Unii Radiowej i działających w World Music Workshop of EBU.

Kiedy i gdzie planowana jest inauguracja?

Ze względu na nasze pragnienie uhonorowania niezwykle szacownego grona członków Komitetu oraz dostojnych gości, których zaprosimy na uroczysty koncert, inaugurujący działalność Społecznego Komitetu Obchodów, zwróciliśmy się z prośbą do dyrektora Waldemara Dąbrowskiego, który niezwykle życzliwie obiecał nam udostępnienie sali we wnętrzu Teatru Wielkiego. Jak tylko uzgodnimy wszystkie szczegóły

organizacyjno-logistyczne – informację podamy na naszej stronie internetowej, Facebooku i na łamach miesięcznika społeczno-kulturalnego „Bez Wierszówki”, który objął całość wydarzeń patronatem medialnym.

Wiem jak dziś trudno zdobyć środki na tak duże przedsięwzięcie, czy macie Państwo sponsorów?

Nie będę ukrywać, że ten aspekt jest dla nas największą trudnością, tym bardziej bolesną, że nasza idea działania dotyczy polskiego twórcy narodowego. Mamy bardzo konkretne plany i program, jesteśmy w kontakcie ze wspaniałymi artystami, gotowymi do współdziałania z nami w realizacji celów. Niestety dla naszej organizacji *non profit* zdobycie finansów graniczy niemal z cudem, a nasze usilne starania pochłaniają ogrom czasu i energii, którą należałoby wykorzystać na konkretne twórcze działanie.

Zbliża się Boże Narodzenie i Nowy Rok, czego możemy Pani życzyć w związku z tak licznymi obowiązkami?

Korzystam z okazji, aby Panu, redakcji i Czytelnikom serdecznie życzyć szczęścia osobistego, dobrego zdrowia, a z tym przychodzą sukcesy zawodowe.

Nam, zaangażowanym w sprawę, bardzo potrzebne są życzenia konkretnej współpracy z naszym Komitetem ze strony wszystkich instytucji i pasjonatów, abyśmy w poczuciu dobrze wykonanych zadań mogli z radością świętować

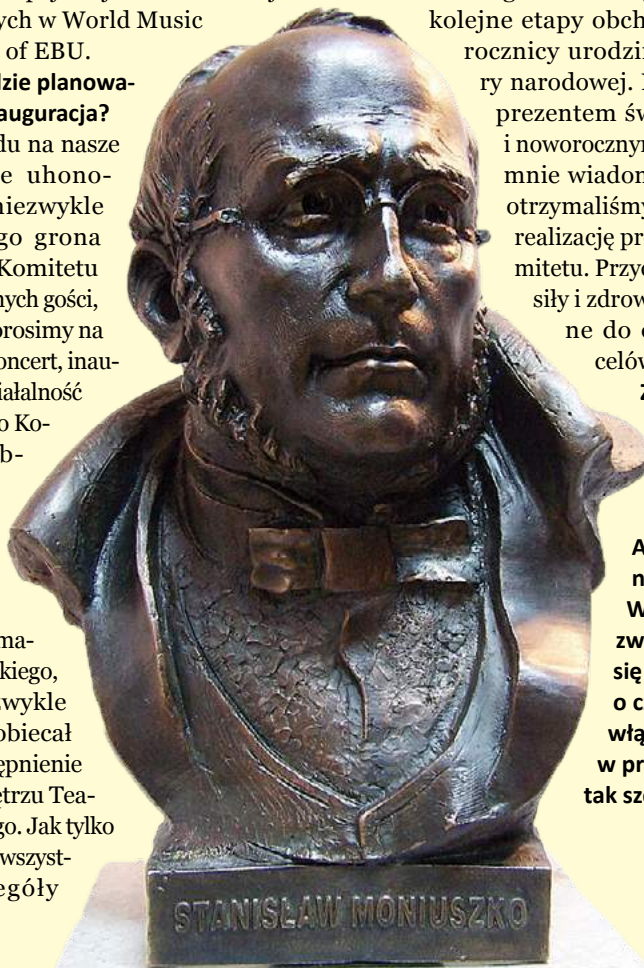
kolejne etapy obchodów 200. rocznicy urodzin ojca opery narodowej. Najlepszym prezentem świątecznym i noworocznym byłaby dla mnie wiadomość, że już otrzymaliśmy finanse na realizację projektów Komitetu. Przydadzą się też siły i zdrowie, niezbędne do osiągnięcia celów Komitetu.

Zatem

z całego serca tego życzę!

A do Czytelników „Bez Wierszówki” zwracam się z apelem o czynne włączenie się w promocję tej, tak szczytnej idei.

Rozmawiał
WOJCIECH
CZAJKOWSKI



Nieźłomny Warmiak

Przed kilku miesiącami w Olsztynie ukazała się niewielka książka licząca niespełna sto stron, pióra Edwarda Cyfusa, zatytułowana *Nieźłomny Warmiak. Infulat Adalbert (Wojciech) Zink (1902-1969)*. Nie jest to pierwsza publikacja dotycząca tego odważnego i zasłużonego kapłana, niemniej jego postać nie jest szerzej znana, nawet mieszkańcom metropolii warmińskiej.

Adalbert Zink był niejako zwornikiem między dawną, tą przedwojenną i jeszcze wcześniejszą Warmią i Warmiakami, z ich językiem, kulturą, tradycją oraz przywiązaniem do wiary katolickiej a Warmią powojenną, w dużej części zniszczoną i wyludnioną, zasiedlaną przez ludność polską, przybywającą tu zarówno z Polski centralnej, jak i z kresów, z odmienną nieco kulturą i tradycjami. Dawni i nowi mieszkańcy Warmii i całej diecezji przez kolejne lata uczyli się żyć obok siebie, poznawać się, integrować. Tym procesom jednak nie sprzyjał komunistyczny system narzucany mieszkańcom w sposób bezwzględny i bezkompromisowy. W tej sytuacji ważnym elementem scalającym społeczeństwo stała się wiara katolicka i Kościół. Jednak w pierwszych latach powojennych na terenie diecezji warmińskiej brakowało kapłanów, szczególnie znających gwarę warmińską, tradycje i zwyczaje Warmiaków. Takim kapłanem był Adalbert (Wojciech) Zink.

Kiedy w 1951 roku na tzw. Ziemiach Odzyskanych, w tym również na Warmii, władze usunęły wszystkich administratorów apostołskich, decyzją Prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego ks. Wojciech Zink stał się rządcą diecezji warmińskiej, pełniąc funkcję wikariusza generalnego i administratora. W tym trudnym okresie był on wsparciem dla Warmiaków i w ogóle dla katolików, odważnie bronił niezależności Kościoła przed represjami władzy ludowej. Kiedy aresztowano Prymasa Wyszyńskiego odmówił złożenia podpisu akceptującego tę decyzję władz komunistycznych. Oczywiście, na reakcję władz komunistycznych nie trzeba było długo czekać.

Oto jak Edward Cyfus opisuje w swojej książce moment aresztowania ks. Zinka: „Dosłownie w kilka minut po skończonej modlitwie budynek otoczył oddział funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa z karabinami na plecach. Był wśród nich dyrektor Wydziału do Spraw Wyznań Leopold Topczewski. Funkcjonariusze dobijali się do drzwi wejściowych. Książdz Zink nie otwierał, oznajmiając żeby przyszli jutro. Ubowcy nie czekali do rana. Wybili szybę w oknie na

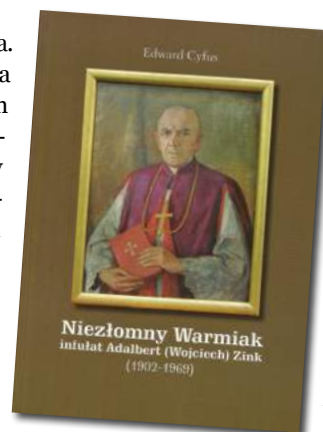
parterze i wdarli się do środka. Przeszło trzy godziny trwała szczegółowa rewizja w całym budynku, po czym oświadczone księdzu, że jest aresztowany i zostaje natychmiast zabrany z domu. Nie było czasu na żadne pożegnanie. Katarzyna w pośpiechu spakowała mu w torbę kilka sztuk bielizny osobistej. Przytulił ją do siebie i wyszeptał: *Weź tło co twoje, jydź do Podlejk i tam sia lostoń. Jo nie ziam kedy banda nazad i czy sia jeszcze loboczywam*. Po czym zapalił papierosa i powiedział: *Jestem gotowy*”.

Książdz Zink był przygotowany na wszystko. Jak się okazało, pod ubecką eskortą został przewieziony do Warszawy na ulicę Rakowiecką. Został oskarżony o sabotowanie poleceń władz, szerzenie antypaństwowych nastrojów wśród księży i społeczeństwa, rozpowszechnianie wrogiego memoriału kard. Stefana Wyszyńskiego, odmowę podpisania „Deklaracji” Episkopatu i szerzenie wśród duchownych nieprawdziwych informacji w sprawie procesu bp. Czesława Kaczmarka i aresztowania Prymasa Polski.

W wilgotnej celi w piwnicy więzienia na Rakowieckiej przebywał przez szesnaście miesięcy, gdzie mocno podupał na zdrowiu. Mury mokotowskiego więzienia opuścił 2 lutego 1955 roku, jednak władze kategorycznie zabroniły mu powrotu na Warmię. Przybył tu dopiero na początku grudnia 1956 roku. Tę postawę ks. Wojciecha Zinka docenił Prymas Polski Stefan Wyszyński już po swym uwolnieniu. On to stwierdził, że w trudnych dla niego chwilach bronił go tylko „Niemiec i pies”.

Kiedy ks. Wojciech Zink powrócił do Olsztyna, w tym samym czasie pierwszym po wojnie biskupem w diecezji został Tomasz Wilczyński, który jednak nie mógł używać tytułu Biskupa Warmińskiego. On to ustanowił ks. infulata Wojciecha Zinka swoim pełnomocnikiem i mianował wikariuszem generalnym. Godność tę ks. Zink piastował aż do śmierci w 1969 roku. Jako wikariusz zajmował się problemami ludności autochtonicznej, ale także kontaktami z ówczesnymi władzami wojewódzkimi.

Edward Cyfus w swej książeczce z założenia starał się nie kreślić sylwetki ks. Zinka jako pomnikowej. Spróbował dotrzeć do nielicznych już osób, które znały go osobiście, aby w oparciu o ich wspomnienia pokazać „jakim ten kapłan był człowiekiem prywatnie, co ukształtowało jego świadomość, jakie miał



dzieciństwo i młodość, a nie tylko encyklopedyczne fakty”. Autor książki, sam Warmiak, starał się również ukazać ks. Zinka jako Warmiaka z krwi i kości, jego mentalność, przywiązanie do warmińskich zwyczajów, języka, jego wielki kult dla Matki Bożej Gietrzwałdzkiej.

Jedną z osób, które znały ks. Zinka jest także bp Julian Wojtkowski, który przed laty,

kiedy był jeszcze prefektem seminarium duchownego, pomagał ks. Zinkowi jako wikariuszowi kapitulnemu. Według niego był on dla wszystkich duchownych wielkim autorytetem. W krótkim ale pochlebnym wstępie do książki Cyfusa napisał: „Na tym barwnym tle, w dźwiękach warmińskiej gwary, wyłania się postać urodzonego w Bydgoszczy księdza Adalberta-Wojciecha Zinka. Warmiaka po matce, Augustie Tyżak z Woryt, Niemca po ojcu, Antonim Zinku z Berlina. Postać z jednej kamiennej bryły wykuta, warmińskiego kapłana, rządcy Diecezji Warmińskiej 1951-1953, a więc w okresie stalinowskim, wiernego Bogu i Kościołowi, aż po więzienie, gotowego na przelanie krwi”.

W 2013 roku grupa olsztyniaków wystąpiła z inicjatywą trwałego upamiętnienia postaci tego odważnego i prawego kapłana. Mimo iż zamysłem Edwarda Cyfusa, autora książki *Nieźłomny Warmiak*, nie było nakreślenie sylwetki ks. Adalberta Zinka jako pomnikowej, to jednak on sam wszedł również w skład Społecznego Komitetu Budowy Pomnika ks. Adalberta (Wojciecha) Zinka. Pomnik ten już wkrótce (konkretnie we wrześniu 2018 r.) ma stanąć w pobliżu schodów prowadzących do konkatedry św. Jakuba w Olsztynie. Do realizacji wybrano projekt artysty rzeźbiarza Izydora Borysa. Obecnie trwa zbiórka pieniędzy na budowę pomnika, również w kościołach. Członkowie Komitetu liczą tu zarówno na życzliwość księży proboszczów, jak i na hojność wiernych.

Kard. Stefan Wyszyński po śmierci ks. Wojciecha Zinka przesłał telegram, a w nim słowa: „Cierpienia i udręki, które przeżył w walce o sprawiedliwość i wolność Kościoła niech pozostaną w pamięci Ludu i całej Polski”. Intencją członków Komitetu jest, aby pomnik ks. inf. Adalberta (Wojciecha) Zinka był przynajmniej w części realizacją woli wielkiego Prymasa.

ZENON ZŁAKOWSKI



HISTORYCY IPN PRZEDSTAWIAJĄ...

Olsztyńska Delegatura Instytutu Pamięci Narodowej

Szanowni Państwo, wraz z kolejnym numerem miesięcznika społeczno-kulturalnego SDP „Bez Wierszówki” do Państwa rąk trafia dodatek przygotowany przez historyków z olsztyńskiej Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej. W trzech tekstach przedstawiamy elementy działalności komunistycznego aparatu represji wobec niepodległościowych i demokratycznych dążeń Polaków. W tym symbolicznym grudniowym czasie, kiedy wspominamy ofiary masakr robotników na Wybrzeżu w 1970 roku oraz ofiary wprowadzonego w roku 1981 stanu wojennego, pamiętajmy również, że komunistyczny aparat represji i jego zbrodnie to nie tylko „pamiętne” i „wielkie” miesiące, ale że to całe dziesięciolecia, dzień za dniem bezwzględного zwalczania tych, którzy mieli inną od moskiewskiej wizję powojennej Polski.

Jest to pierwszy prasowy dodatek powstały z inicjatywy olsztyńskiej Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej i z pewnością nie ostatni. Realizując swoje statutowe zadania staramy się dotrzeć do Państwa z naszymi ustaleniami badawczymi. My oraz efekty naszej pracy nie jesteśmy i nie chcemy być anonimowi. Propagowanie historii, prawdy o minionych czasach realizujemy w oparciu o krajowe i zagraniczne kweryndy biblioteczne oraz archiwalne, a przede wszystkim o krytyczną analizę źródeł. Tym samym dążymy do tego, aby wytwarzany przez nas produkt naukowy i popularnonaukowy był zarówno pod względem merytorycznym, jak i metodologicznym, produktem najlepszym.

Rok 2017 w historii Delegatury był czasem bardzo szczególnym. Dwóch jej pracowników, tj. Piotr Kardela oraz Karol Sacewicz uzyskało stopnie naukowe doktora habilitowanego. Ponadto dr hab. Piotr Kardela w kwietniu objął stanowisko dyrektora Oddziału IPN w Białymstoku, a Karol Sacewicz od czerwca tegoż roku, jako naczelnik, zaczął kierować olsztyńską Delegaturą. „Olsztyński” Dyrektor w białostockim Oddziale wspierał i wspiera inicjatywy naukowe i popularyzatorskie podejmowane przez Delegaturę, a także dba o jej rozwój kadrowy poprzez stworzenie nowych miejsc pracy. To z kolei pozwala na większą efektywność w działalności olsztyńskiego IPN.

Finałowe efekty naszej pracy mogą Państwo poznawać za pośrednictwem naszych publikacji naukowych (monografii, wydawnictw źródłowych, artykułów w punktowanych czasopismach), prac po-

popularnonaukowych, a także poprzez liczne bezpośrednie spotkania z nami na różnych sympozjach i wykładach otwartych.

W 2017 roku tylko na płaszczyźnie edukacyjnej zorganizowaliśmy lub współorganizowaliśmy ponad trzysta różnych wydarzeń, takich jak: lekcje tematyczne w przedszkolach, szkołach podstawowych, gimnazjalnych i średnich, wykłady otwarte, comiesięczne „Przystanki historia”, sympozja naukowe („Komunizm, komuniści... dekomunizacja”; „O Niepodległą i dla Niepodległej. Harcerze w służbie Ojczyźnie”), panele dyskusyjne (nt. Sierpnia '80 i jego następstw), codzienne historyczne audycje radiowe („Leksykon IPN”), udział w programach i reportażach telewizyjnych (m. in. „Wydarzyło się wczoraj”), przygotowanie i promocja wystaw tematycznych (np. „Korpus Ochrony Pogranicza 1924-1939”), pikniki historyczne, organizowanie turniejów gier historycznych, turnieju debaty oxfordzkiej, historycznych konkursów – także plastycznych. Inicjatywy te zgromadziły – skromnie szacując – kilka tysięcy osób. Ich zakres i rozmach mogą Państwo śledzić za pośrednictwem profilu olsztyńskiej Delegatury IPN na Facebooku oraz na stronie internetowej białostockiego Oddziału Instytutu, któremu podlega Delegatura (bialystok.ipn.gov.pl).

W sferze naukowej największym wydarzeniem w dotychczasowych dziejach Delegatury była zorganizowana przez nią w listopadzie tego roku ogólnopolska konferencja naukowa pt. „Oblicza polskiego antykomunizmu w XX wieku”, w której udział wzięło ponad 45 naukowców z 12 ośrodków akademickich i badawczych oraz z niemal wszystkich oddziałów Instytutu Pamięci Narodowej (zob. s. 60). Pomysłodawcami tej konferencji zarówno w kwestii jej tematu przewodniego, jak i doboru oraz zaproszenia do udziału w niej poszczególnych naukowców, byli – jeszcze jako szeregowi pracownicy IPN – Piotr Kardela oraz Karol Sacewicz. Ponadto uczestniczymy w różnych projektach naukowych, prezentujemy wyniki naszych badań na sympozjach i konferencjach, zarówno w kraju, jak i zagranicą. Na potrzeby władz samorządowych, wojewódzkich, a także i jednostek wojskowych przygotowujemy opinie i ekspertyzy naukowe.

Wspieramy liczne stowarzyszenia patriotyczne i kombatanckie, wielu z ich działaczy to przyjaciele olsztyńskiej Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej, którzy za swoją niepodległościową postawę oraz upamiętnianie historii i jej bohaterów

odznaczani są przez najwyższe władze państwowe oraz kierownictwo Instytutu. W tym roku kilkunastu działaczy opozycji demokratycznej z Warmii i Mazur, podczas zorganizowanej przez Delegaturę uroczystej gali, odbierało z rąk zastępcy prezesa IPN „Krzyże Wolności i Solidarności”, jak również trzech mieszkańców Olsztyna zostało odznaczonych honorową nagrodą Prezesa IPN „Świadek Historii”.

Współpracujemy z wieloma instytucjami państwowymi oraz stowarzyszeniami społecznymi – wszystko dla dobra prawdy i pamięci historycznej. My nie kreujemy faktów, jesteśmy zawodowymi historykami – często z akademickim doświadczeniem. My, w oparciu o prowadzone badania naukowe, odtwarzamy fakty, analizujemy i przedstawiamy je Państwu. Nie unikamy tematów trudnych, z czego często wynikają różne na nas ataki, ale Instytut Pamięci Narodowej powstał m. in. po to, aby o trudnej historii mówić i pisać; po to, aby prowadzić badania nad dziejami najnowszymi państwa polskiego i Polaków. I my to czynimy.

IPN to także pion archiwalny i ciężka praca związana z opracowaniem zasobów archiwalnych, ich digitalizacją oraz udostępnianiem. Nie można zapomnieć o pracy prokuratora i pracownika administracyjnym Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

W olsztyńskiej Delegaturze te i inne zadania wynikające z ogromu bieżących spraw wykonuje dwunastoosobowy zespół, który tworzą: dwaj historycy-edukatorzy, trzech pracownicy pionu badań naukowych, trzech archiwistów, jeden prokurator, dwie osoby obsługi kancelaryjnej oraz naczelnik jednostki. Nasze działania prowadzimy na dużym obszarze: od Ostródy po Elk i Olecko, od Bartoszyce po Działdowo. Jesteśmy w każdej placówce oświatowej, która zwróci się do nas z prośbą o wykład lub przeprowadzenie zajęć historycznych.

Naszą pracę wykonujemy z pełnym zaangażowaniem – nie tylko dlatego, że taka jest misja Instytutu Pamięci Narodowej, ale również dlatego, że jako historycy doskonale wiemy, że naród nie znający swojej historii wcześniej czy później ulegnie zatraceniu. Dlatego, niezależnie od niechętnych nam głosów, jesteśmy dla Państwa i z Państwem, w imię prawdy historycznej. Bo tylko ona jest ciekawa...

Z poważaniem

KAROL SACEWICZ

naczelnik Delegatury IPN w Olsztynie

Ustanowienie przez komunistów władzy w Polsce, wymagało budowy aparatu o charakterze ochronnym wobec reżimu, a jednocześnie represyjnym wobec adwersarzy i wrogów. Sowietci ustanawiając policję polityczną w ramach powstającej nowej Polski, kierowali się nawet nie tyle teoretycznymi wskazaniem marksizmu, czy leninizmu, co praktycznymi doświadczeniami wyniesionymi z czasów rewolucji bolszewickiej i okresu funkcjonowania NKWD.

Organ prasowy tak zwanego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego „Rzeczpospolita” z 16 sierpnia 1944 roku w sposób następujący uzasadniał potrzebę powołania Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, jako „ludowego aparatu porządku i bezpieczeństwa”: „Resort [...] musi zapewnić normalną pracę Komitetowi”. Tenże resort był następnie odpowiedzialny za budowę i utrzymanie komunistycznego porządku w Polsce. Również ówczesny I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej, Władysław Gomułka zdawał sobie sprawę z tego, iż „kto posiada te instytucje [czyli resorty siłowe] w swoich rękach, ten posiada główny ster państwowego aparatu”. Bezpieka stała się jak to ujął profesor Ryszard Terlecki „mieczem i tarczą” partii komunistycznej.

Policja polityczna wspierała partię komunistyczną realizującą przebudowę Polski na modłę sowiecką. Polityka, gospodarka, walka z Kościołem katolickim, zagłada podziemia niepodległościowego, kolektywizacja wsi, bitwa o handel, kreowanie nowych tzw. elit – we wszystkim tym uczestniczył aparat represji czyli „bezpieka”.

Myli się jednak ten, kto twierdzi, iż to aparat represji stał nad aparatem partyjnym. Było odwrotnie. Pamiętajmy, że przewodnią siłą narodu była partia. Słyszysz się, również ostatnio przy okazji dekomunizacji ulic, iż ten lub ów zasiadał przecież tylko w Komitecie Wojewódzkim partii, był członkiem PZPR, a nie był przecież konfidentem UB/SB (przypadek Andrzeja Wakara). Tyle że to właśnie partia komunistyczna nadzorowała funkcjonowanie własnego aparatu represji. Członek partii, a tym bardziej członek KW, jawnie wspierał reżim, tworzył go, nie było więc potrzeby, aby czynił to jeszcze w sposób tajny, jako agent, choć i tak niejednokrotnie bywało.

W Olsztynie regułą była obecność I sekretarza wojewódzkiego podczas narad partyjno-służbowych w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Również odwrotnie – szefowie WUBP byli przeważnie członkami egzekutywy i komitetów partii.

Kiedy 24 lipca 1945 roku Henryk Palka wybrany został członkiem Egzekutywy KW PPR w Olsztynie, uznawano, że w regionie

Komunistyczny aparat represji w służbie partii



To w tym przedwojennym gmachu w Olsztynie mieścił się w latach 1945-1956 Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. FOT. © ARCHIWUM

trzy osoby odgrywają decydującą rolę: Jakub Prawin – pełnomocnik rządu na Okręg Mazurski, sekretarz KW Michał Sokołowski i właśnie szef bezpieki Palka.

Dowodem szczególnego zainteresowania ze strony miejscowego kierownictwa partii komunistycznej sprawami kadrowymi i merytorycznymi aparatu represji był fakt, że nie było takiego plenarnego posiedzenia KW w Olsztynie, na którym przynajmniej w dyskusji nie poruszono by lub nie oceniano stanu bezpieczeństwa, a więc pracy UB.

Umocnieniu „prawidłowego charakteru służby”, towarzyszyło też systematyczne rozwijanie weń struktur partyjnych, wzmacnianie kontroli partyjnej, a także organizowanie szkoleń politycznych i ideologicznych. Nie oznacza to bynajmniej jak wspominałem, iż funkcjonariusze aparatu represji nie pozwalali sobie na dokonywanie werbunku i prowadzenie kontaktów operacyjnych z agenturą zasilającą szeregi partii komunistycznej. W różnych okresach istnienia Polski Ludowej sprawa ta przedstawiała się rozmaicie. Na ogół wymagana była zgoda sekretarza. I tę zdobywano, inaczej dana osoba nie mogłaby pełnić eksponowanej funkcji publicznej, czy naukowej. Redaktor naczelny, prezes, rektor, dziekan, zobowiązany był do udzielania informacji o instytucji, urzędzie, uczelni wyższej, a z drugiej strony musiał ten ktoś liczyć się z tym, iż będzie miał zlecane pewne zadania, których realizacji wymaga zachowanie komunistycznego *status quo*. Zawsze jednak nad aparatem stała partia. Jedyny wyjątek stanowi okres schyłkowego okresu

stalinowskiego, kiedy to funkcjonariusze UB poddający ochronie operacyjnej partię, w ramach zakładanych kartotek gromadzili również istotne informacje dotyczące ludzi partii, sekretarzy, jej członków. Oślawiony Departament X kierowany przez Izchaaka Flejszfarba vel Józefa Światłę, jest tu najlepszym przykładem. Był to wyjątek.

Aparat represji realizował linię i wytyczne partii komunistycznej, podkreślmy to. UB odpowiedzialny był za wspieranie, za zagwarantowanie zwycięstwa komunistów w referendum 1946 roku i wyborach do sejmiku roku 1947. Wspierano partię komunistyczną podczas obu kampanii. Wreszcie, to funkcjonariusze UB brali udział w fałszowaniu wyników. Policja polityczna dbała o odpowiedni dobór członków komisji referendalnych, gwarantując tym samym odpowiedni dla własnego środowiska politycznego wynik. Członków komisji pozyskiwano jako agenturę. Niepokornych członków zniechęcano do udziału w jej pracach, a stawiających opór aresztowano. UB angażował partyjnych w prace poszczególnych komisji, instruowano ich jak fałszować odpowiedzi. To wspierająca partię komunistyczną bezpieka dbała, by na listach uprawnionych do głosowania nie pojawili się przynajmniej jawni krytycy narzucanych Polsce porządków, lub chociażby osoby wywodzące się ze środowisk obcych reżimowi. Policja polityczna wspierała partię, monitorując sytuację społeczną, raportując do KW o nastrojach przedwyborczych i powyborczych. Dzięki temu sekretarze partyjni mieli pełną wiedzę, jak publiczność reaguje na

wieczach przedwyborczych, jak poszczególne osoby komentują sytuację w kraju. Sprawdzano jak zachowują się urzędnicy oraz władze lokalne: burmistrzowie, wójtowie itd. Starano się zastraszyć społeczeństwo, zarzucając wielu osobom uprawianie wrogiej propagandy szeptanej, terroryzowano je, aresztując przewencyjnie byłych członków AK. Co więcej niejednokrotnie w liczeniu głosów uczestniczyli ubowcy. Oni posiadali wiedzę, kto pozostaje w lokalu wyborczym po jego zamknięciu. I kto będzie liczył głosy. Transport urn również zagwarantowany był przez policję polityczną. Podobnie było przy wyborach, gdzie UB wspierał działania kampanijne PPR, wskazywał na słabe jej punkty, jednocześnie dążąc do podporządkowania względem komunistów PPS. UB paraliżował kampanię PSL-u (nie mylić z dzisiejszym PSL-em). Wreszcie WUBP występował w roli kontrolera prawidłowego przebiegu wyborów.

Podobną praktykę uprawiano wobec PPS. Samodzielnie myślący członkowie stronnictwa byli zastraszani, szantażowani, zmuszani do rezygnacji, werbowana była pośród nich agentura, tak by odpowiednio sprepować PPS, by była właściwie przygotowana na wchłonięcie przez PPR, w ramach tzw. zjednoczenia partii robotniczych.

Aparat represji odpowiadał na zwalczanie działań organizacji konspiracyjnych i grup zbrojnego podziemia. Opierano się na wzorach sowieckich: werbowano informatorów, stosowano środki przymusu, nagminne były przypadki fizycznego niszczenia żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego, pacyfikacje zagrożonych obszarów. Bezwzględnie korzystano z metod siłowych, terroryzując dodatkowo społeczeństwo. Posługiwano się prowokacją, bywało, że sami ubowcy napadali na gospodarzy i przedstawiali się jako podziemie. Nie mogąc ustalić miejsca ukrywania się żołnierzy podziemia potrafią aresztować członków rodzin. Działania te są największym dowodem na to, że policja polityczna wspierała partię komunistyczną, dla której największym zagrożeniem było właśnie liczące 200 tys. żołnierzy podziemia niepodległościowe, najbardziej bitne, najbardziej świadome swojej polskości.

Inwigilowano ludowców, prowadząc do zniszczenia przywódców PSL i kreowania stronnictw satelickich. Właśnie PSL, szefostwo PPR uważało za głównego konkurenta politycznego. UB prowadził werbunek olsztyńskiego kierownictwa PSL. Rozgrywano ich jak chciano, nastawiano przeciw sobie, zbierano na nich materiały kompromitujące, o które też nie było tak ciężko. Działalcy byli inwigilowani, przeszukiwano ich domostwa, rewidowano i bito, podrzucano im broń, ulotki antykomunistyczne, usuwano z administracji publicznej. Ingerowano

kiedy w regionie PSL współpracowało z PPS. Podejmowano obserwacje każdego z członków stronnictwa, a szczególnie peeselowskich parlamentarzystów. Obsadzano funkcjonariuszami i agenturą lokalne zjazdy. Paraliżowano obchody świąt ludowych. Prowadzono do wygaszania działalności lokalnych ogniw stronnictwa. Preparowano paszkwile, które następnie przez poddane partii komunistycznej redakcje zamieszczano w prasie; inspirowano w ten sposób liczne skandale obyczajowe, których negatywnymi bohaterami byli członkowie stronnictwa. Przedwojennych działaczy miejscowego pochodzenia zaangażowanych w działalność PSL zmuszano do wycofania się z życia publicznego, jak Fryderyka Leyka lub nawet nakłaniano do przechodzenia do PPR, jak Karola Małka. Przy okazji wyborów 1947 roku UB poprzez posiadaną agenturę poznał nazwiska typowanych przez PSL komisarzy wyborczych i w porę doprowadził do ich wyeliminowania, poprzez skandale, zastraszania i aresztowania. Działania dobrze poinformowanej bezpieki doprowadziły do wzajemnego oskarżania się działaczy o współpracę z komunistami i ich policją polityczną. Później już wiemy jak było, osłabione i zniszczone PSL, stworzenie jego atrapy w postaci Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, wszystko to służyło interesowi partii komunistycznej. Jednak nie był to koniec. Bowiem, kiedy już doprowadzono do tzw. zjednoczenia ruchu ludowego podległego komunistom, wówczas miała miejsce długotrwanie trwająca inwigilacja ZSL, czyli partii satelickiej. Starano się tak modelować kształtem kadry stronnictwa, by członkami stanowili chłopi biedni, bardziej skorzy do przyjmowania komunistycznej propagandy wymierzonej w „kułaka”. Długo jeszcze wyszukiwano w ZSL byłych żołnierzy AK.

Od początku policja polityczna zajmowała się „kontrolą” administracji i samorządu. Szybko nastąpiło zdominowanie przez bezpiekę wszystkich urzędów i instytucji. Szczególnemu sprawdzaniu poddawano osoby sprawujące funkcje kierownicze, których charakteryzowano właśnie pod względem przynależności partyjnej. Charakterystyki obejmowały też podejrzania o współpracy z obcym wywiadem, z Niemcami podczas wojny, podatność na nalogi i skłonności korupcyjne. Z czasem wszelkie przejawy zaangażowania ze strony urzędników w działalność PSL traktowano jako przykład wrogiej postawy wobec nowych władz. Już w trakcie kampanii referendalnej 1946 roku WUBP przystąpił do walki o wzmocnienie urzędów ekipą rekrutującą się spośród członków PPR. Lata 1946-1947 to moment decydujący. W ramach tzw. uzdrawiania administracji

ogólnej prowadzono czystkę w urzędach. Czystka obejmowała olsztyński Urząd Wojewódzki, prezydenta stolicy regionu, starostów, burmistrzów, wójtów, sołtysów. A następnie członków rad narodowych. Szef WUBP posiadał szczególnie znakomite rozeznanie o stosunkach, sympatiach i antypatiach panujących w urzędach, a szczególnie w Urzędzie Wojewódzkim. UB prowadził zbieranie materiałów kompromitujących urzędników na szeroką skalę. Zarzutem stawało się bycie „prawicowcem”. Co odbierano jako „dwulicowość”. Trwały aresztowania, a przynajmniej terroryzowanie ludzi inaczej myślących, pamiętających jeszcze Polskę przedwojenną.

Infiltrowano środowiska Warmiaków i Mazurów. Ubowcy i milicjanci dopomagali w tej nikczemnej „robocie” polegającej na realizacji komunistycznej polityki tzw. repolonizacji Warmiaków i Mazurów. Funkcjonariusze UB w relacjach świadków z tamtego okresu grasowali, rabowali, tych którzy jeszcze coś posiadali, nierzadko mordowali, gwałcili w sposób brutalny kalecząc doświadczone już wcześniej przez wojnę kobiety. Resort bezpieczeństwa odpowiadał za weryfikację ludności rodzimej. Warmiaczy i Mazurzy, czyli „ludność tubylcza” – bo tak byli określani przez aparat represji, zostali zrażeni do polskości widzący ubeka jako pierwszego przedstawiciela polskiej władzy. Stali się oni obiektem nienawiści dodatkowo kojarzeni jako zniemczali lub wprost jako Niemcy. Wychodziła przy tym nieporadność działań UB, nieznajomość rodzimej historii.

UB przyczynił się do stworzenia odpowiednio funkcjonującego szkolnictwa. Pierwszorzędnym dla podporządkowania sobie szkolnictwa miejscem było Kuratorium Szkolne w Olsztynie. Przeprowadzono gruntowną modyfikację obsady. Usuwano tzw. zacofanych nauczycieli, czyli takich którzy uczyli polskości, patriotyzmu, wiary. Werbowano agenturę. Niszczono pedagogów stawiających opór. Niszczono kariery uczniom uniemożliwiając dalszy rozwój tym, którzy odważyliby się deklorować swoje przywiązanie do tradycji prawdziwej Polski. Zmieniono kierownictwo Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dokonywano zmian na stanowiskach dyrektorów szkół. Rugowano ze szkół Kościół katolicki, nauczanie religii. Rozpoczęto wojnę z krzyżami. Zapewnienie reżimowi komunistycznemu odpowiednie funkcjonowanie aparatu szkolnego, reprodukcją wyznających materialistyczne poglądy uczniów było równie istotne jak pokonanie podziemia zbrojnego, czy podporządkowanie partii politycznych. Wszystko to w ramach brutalnej praktyki zapewniał Urząd Bezpieczeństwa.

→ Ciąg dalszy ze s. 53

Niszczono rolnictwo. Aparat represji mający wspierać administrację państwową i partię komunistyczną, swą misję zaczynał od kontroli odpowiedzialnych za rolnictwo urzędów. Kontrolując akcję zniwną sprawdzano jak układa się współpraca gospodarzy z żołnierzami Armii Czerwonej, zajmujących jeszcze liczne gospodarstwa. Pretekstem do przejścia aparatu obsługującego, a jak się rychło okazało nadzorującego też rolnictwo, stawały się powszechne po wojnie braki w wyżywieniu, wówczas można było wymienić kierownictwo urzędów, a z czasem również personel.

UB uczestniczył w przebudowie wsi polskiej. Kierunek tej przebudowy nadała konferencja dziewięciu partii komunistycznych z września 1947 roku w Szklarskiej Porębie. UB wspierał więc kolektywizację. Wspierał PPR w czasie starań o przejście kontroli nad wsią. Znacznie wsparło politykę tworzenia spółdzielni produkcyjnych, co było wstępem do zakładania kolchozów na wzór sowiecki. Badano nastroje wśród rolników. Kiedy ktoś wyprzedawał inwentarz, sprawdzano czy przypadkiem nie zamierza uciec z kraju.

Przejmowano przemysł. Sprawdzano nastroje wśród załóg robotniczych. UB realizował program tzw. bitwy o handel. Doprowadzając do bankructw przedsiębiorców, jeszcze tych, którzy ocalili.

Prowadzono działania wymierzone w Kościół katolicki. UB rugował religię z życia narodu. Kościół był pierwszoplanowym wrogiem klasowym. Od początku UB interesował się tworzeniem struktur kościelnych w diecezji. Pozyskiwano agenturę spośród duchowieństwa. UB miało pełną wiedzę na tematy poruszane podczas spotkań – konferencji duchowieństwa warmińskiego. Kościół i podziemie uważano za tożsame. Walczono z Kościołem o młodzież. Starano się kompromitować duchowieństwo. Zbierano liczne materiały obciążające księży. Rejestrowano wrogie wypowiedzi duchownych. Potęgowano trudności, kiedy nałożono na proboszczów obowiązek rejestracji stowarzyszeń młodzieżowych działających przy parafiach. Funkcjonariusze UB Prowadzili do rozłamów w Kościele, wymagając od części duchowieństwa otwartego poparcia aborcji.

Aparat represji realizował politykę partii komunistycznej. Mniejmy tego świadomość, zwłaszcza, kiedy kolejny z sekretarzy PZPR, przy okazji dekomunizacji przestrzeni publicznej, urzędów i innych eksponowanych stanowisk, utrzymuje, iż on był przeciw tylko w partii.

PAWEŁ P. WAROT
IPN Olsztyn

SB a peregrynacja obrazu jasnogórskiego na Warmii i Mazurach (1986-1987)



Dekoracja drogi z Reszła do Świętej Lipki, 31 V 1987 FOT. © IPN

W latach 80. dwudziestego wieku, pomimo że zbliżał się zmierzch epoki PRL-u, aparat bezpieczeństwa na Warmii i Mazurach w dalszym ciągu starał się kontrolować działania Kościoła katolickiego. Na celowniku bezpieczeństwa znalazły się uroczystości kościelne związane z drugą peregrynacją obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, który miał pozostawać na terenie diecezji warmińskiej od 14 września 1986 roku do 16 sierpnia 1987 roku. Obraz miał być wystawiony w ponad trzystu parafiach, pozostając w każdej z nich przez całą dobę.

Z uwagi na spodziewany liczny udział wiernych oraz przedstawicieli Episkopatu Polski, a także w obawie przed działaniami środowisk opozycyjnych, 25 marca 1986 roku Wydział IV Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Olsztynie postanowił wszcząć sprawę obiektową o kryptonimie „Nawiedzenie II”. Jej celem było zapewnienie stałego dopływu informacji o wydarzeniu jakim była peregrynacja obrazu, a także zapobieganie działalności antysystemowej i niedopuszczenie do niekontrolowanych wybuchów niezadowolonia społecznego.

Przy pomocy ponad dwudziestu tajnych współpracowników i kontaktów operacyjnych rekrutujących się ze środowiska świeckiego i duchownego, funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa starali się szczegółowo rozpoznać zamiary organizatorów. W tym celu prowadzono rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze z poszczególnymi członkami diecezjalnego komitetu organizacyjnego oraz administratorami parafii. Wzmoczonej kontroli poddani byli przedstawiciele opozycji politycznej i inteligencji

katolickiej. Ponadto na bieżąco gromadzono informacje o treści kazań i wystąpień duchowieństwa w regionie.

Wśród przewidywanych zagrożeń związanych z uroczystościami kościelnymi, bezpieczeństwo obawiała się wrogich wystąpień kleru diecezjalnego oraz zaproszonych duchownych z kraju i zagranicy. Spodziewała się również kolportażu ulotek i literatury bezdebitowej oraz wzmoczonych procesji i pielgrzymek do miejsc świętych. Zwracać także miało uwagę na negatywne akcenty w wystrojach tras, budynków prywatnych oraz użyteczności publicznej. W ramach szeroko zakrojonych działań zabezpieczających, w dniu przywiezienia obrazu z diecezji łomżyńskiej, tj. 14 września 1986 roku, zamierzano nagrać na taśmę magnetofonową nabożeństwa oczekiwania na obraz, powitanie obrazu i mszę pontyfikalną z udziałem metropolity wrocławskiego – kardynała Henryka Gulbinowicza. Uzupełnienie miało stanowić utrwalenie na taśmie filmowej ważniejszych momentów związanych z po- bytem kopii obrazu. Ponadto powołane zostały ruchome patrole oraz grupy zabezpieczające trasę przejazdu obrazu.

Z treści raportów wysyłanych do WUSW w Olsztynie przez poszczególne Rejonowe Urzędy Spraw Wewnętrznych możemy zaobserwować jak dokładnymi informacjami dysponowali pracownicy aparatu bezpieczeństwa. Meldowano, że 24 maja 1987 roku w Korszach obraz nieśli kombatanci Ludowego Wojska Polskiego, a w powitaniu obrazu brała udział delegatka na X Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ze zdziwieniem informowano, że w uroczystościach w Reszlu wziął udział naczelnik miasta i gminy – Sławomir Liberna, który

dotąd dodatkowo wystrój swoje mieszkanie elementami kultu religijnego.

Odnutowywano każdą niezgodną z linią partii wypowiedź księży i zakonników. Wskazywano, że w parafii pw. św. Jakuba w Olsztynie w kazaniu poruszono sprawę zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, a w kościele na Jarotach wspomniano mord najlepszych polskich oficerów w Katyniu przez władze sowieckie. Władzy nie podobały się również słowa jednego z księży ze Zgromadzenia Salezjanów, który w parafii Gutkowo krytykował osoby odpowiedzialne za niewypuszczenie do Polski w 1966 roku papieża Jana Pawła VI. W związku z przypadkami szkodliwych dla ówczesnej władzy wystąpień kleru, dyrektor Wydziału ds. Wyznań w Olsztynie wystosował pismo do ówczesnego zarządcy diecezji warmińskiej – biskupa Edmunda Piszczka, w którym zwrócił uwagę, aby Kuria zahamowała tego typu wypowiedzi z amby.

Odnutowywano także wszelkie próby zakłócania porządku i bezpieczeństwa w ruchu drogowym. W czasie uroczystości w Ostródzie i Szczytnie, mimo braku zezwolenia na postój kolumny samochodowej przewożącej obraz poza terenem kościelnym, wierni zablokowali ruch drogowy, przez co władze dekanalne i pracownicy Kurii Biskupiej wzywani byli na rozmowy ostrzegawcze.

W okresie pobytu kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na Warmii i Mazurach, Służba Bezpieczeństwa pilnowała czy osoby handlujące pamiątkami religijnymi posiadały stosowne zezwolenia, a w przypadku ich braku kierowała przeciwko nim wnioskiem o ukaranie do Kolegium ds. Wykroczeń. Zabronione również było dekorowanie tras przejazdu roślinnością będącą pod ochroną, a rozwieszenie jakichkolwiek transparentów i plakatów o treści religijnej wymagało stosownej zgody. Ponadto prowadzono statystykę wiernych uczestniczących w uroczystościach oraz spisywano numery rejestracyjne motocykli i samochodów biorących udział w procesji wraz z adnotacją, czy poruszały się na światłach mijania.

Reasumując należy podkreślić, że funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, Służby Bezpieczeństwa oraz ich informatorzy byli obecni w każdym z miejsc pobytu kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Pomimo iż śledzili jego drogę od wjazdu na teren diecezji warmińskiej, aż do uroczystości pożegnania, która odbyła się 16 sierpnia 1987 roku w Olecku, nie byli w stanie zatrzymać treści kazań wygłaszanych przez zapraszanych księży i zakonników, którzy z amby poruszali kwestie nieprzychylnie panującej władzy. Po wyjeździe kopii obrazu do archidiecezji białostockiej, sprawę obiektową o kryptonimie „Nawiedzenie II” zakończono.

KRZYSZTOF A. KIERSKI
IPN Olsztyn



Olsztyn, dekoracja na budynku
WSD przy pl. Bema 2

Działania UB przeciw leśnikom mjr. „Łupaszki” w Olsztyńskim (1946-1947)

W 1946 roku mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” ponownie wyszedł w pole. Słynna 5. Wileńska Brygada AK rozpoczynała kolejny okres swej działalności. Tym razem obszarem jej działania miało być Pomorze, Warmia i Mazury.

Żołnierze mjr. „Łupaszki” zorganizowani w małe szwadrony z niezwykłą brawurą zwalczali instrumenty instalującej się władzy komunistycznej. Rozbrajali posterunki Milicji Obywatelskiej, likwidowali funkcjonariuszy oraz szpicli UBP. Na terenie ówczesnego województwa olsztyńskiego (do 29 maja 1946 – Okręg Mazurski) spektakularne zwycięstwa odnosił m. in. ppor. Henryk Wieliczko „Lufa”.

Operowanie szwadronów w polu było w znacznym stopniu uzależnione od pomocy miejscowej ludności. W przypadku Warmii i Mazur sytuacja była o tyle trudna, że opuszczone przez Niemców ziemie nie zostały jeszcze zasiedlone przez ludność Polską. Pierwsi osadnicy oczywiście już się pojawili jednak ich liczba była nieduża. Mazurzy i Warmiacy, którzy stanowili

do niedawna ostoję polskości tych ziem, nie do końca orientowali się w politycznym położeniu Polski. Wobec tego poważnym oparciem dla szwadronów mjr. „Łupaszki” były leśniczówki – obsadzone przez napływowych leśników. Ludzie ci okazując pomoc niepodległościowcom ryzykowali wolnością tak swoją, jak i rodzin. Do takich właśnie niezłomnych leśników należał m. in. Bolesław Kijewski, który był leśniczym w Kończewie, w powiecie morąskim. Pomagał on kilkakrotnie żołnierzom 5. Brygady. W tych działaniach wspierała go jego córka Zofia.



Ppor. Henryk Wieliczko „Lufa” FOT. © IPN

Na terenie powiatu mrągowskiego w leśniczówce Chmielówka pracował Edward Hamerski, który 12 czerwca 1946 roku udzielił kwater szwadronowi ppor. Leona Smoleńskiego „Zeusa”. Dodatkowo Hamerski przekazał ppor. „Zeusowi” pistolet maszynowy, który był w jego posiadaniu. Natomiast na terenie powiatu ostródzkiego partyzanci mogli liczyć na pomoc leśniczych ze Śmieszego Kąta: Romana Kuchcińskiego i Czesława Masztalera. Na terenie tego samego powiatu – w Miłomłynie – pracował w charakterze nadleśniczego Bronisław Morawski¹.

Wszystkie wyżej wymienione osoby spotykały represje ze strony komunistycznego aparatu „bezpieczeństwa”. Jednak szczególnie „ostro” komuniści potraktowali podleśniczego Zbigniewa Jarosińskiego i gajowego Karola Szczotkę, pracujących w leśniczówce Omulew. Współpraca Jarosińskiego z mjr. Szendzielarzem rozpoczęła się w maju 1946 roku. Właśnie wtedy w stodole znajdującej się przy leśniczówce zakwaterował oddział „łupaszkowców”. Powracający z kontroli lasów Jarosiński przywitał kwaterujących partyzantów w sposób bardzo życzliwy. Zaprosił ich do swego mieszkania i przyrządził skromny posiłek. Podczas spożywania kolacji mjr „Łupaszka” opowiedział leśnikowi kim jest i skąd przybywa. Następnego dnia pododdział 5. Brygady opuścił Omulew.

Niepodległościowcy ponownie zjawili się u Jarosińskiego w połowie czerwca. Leśniczy, który nie mógł zapewnić wyżywienia wileńskim partyzantom udał się do lasu na polowanie, wyprawa zakończyła się sukcesem, leśniczy upolował sarnę. Kolejny raz oddział zawitał do leśniczówki 29 czerwca 1946 roku w „gorącym” okresie referendum.

Oddział przebywał w Onulewie do 1 lipca 1946 roku. Podczas tej wizyty partyzantów, poza Jarosińskim w leśniczówce przebywała pochodząca z pobliskiego Kota gospodyni Hilda Kopka, która pomagała Jarosińskiemu w codziennych obowiązkach. Major „Łupaszka” mógł liczyć na dyskreję tak leśniczego, jak i jego gospodyni.

Kolejny raz partyzanci 5. Brygady skorzystali z bezpiecznego schronienia w Omulewie w sierpniu 1946 roku – tym razem oddział zakwaterował w gościnnej leśniczówce wieczorem. Rano partyzanci zjedli – przygotowane przez Hildę Kopkę – śniadanie. Wizytę przerwały odgłosy wystrzałów, w pobliżu operowała grupa pościgowa UB/KBW – partyzanci opuścili zagrożony rejon.

Do ostatniej wizyty „łupaszkowców” doszło w październiku 1946 roku. Tym razem do Jarosińskiego przybył szwadron ppor. „Lufy” z rannym kierowcą szwadronu kpr. Henrykiem Wojczyńskim „Mercedesem”. W tym czasie w leśniczówce przebywał – w ramach praktyki leśnej – Karol Szczotka. „Nad ranem – zeznawał w gmachu PUBP Nidzica, Jarosiński – przyszedł do mnie «Lufa» i powiedział, że mają broń, bo rozbili UB, że trzeba żeby tę broń zakopać. «Lufa» wziął tę broń na łódkę i przeniósł (sic!) jeziorem na łódź². Następnego dnia oddział odjechał w poszukiwaniu pomocy dla rannego „Mercedesa”.

Jarosiński i Szczotka zakonserwowali pozostawioną broń i zgodnie z poleceniem ppor. „Lufy” zakopali. Warto dodać, że poszukujący pomocy dla rannego kpr. „Mercedesa”, ppor. Wieliczko nie zdążył niestety znaleźć

lekarza, który mógłby uratować życie dzielnego kierowcy. Kapral „Mercedes” zmarł 30 października 1946 roku.

Pod koniec 1946 roku pododdziały 5. Wileńskiej Brygady AK zakończyły swą działalność na Warmii i Mazurach. Jednak UBP pomimo zniknięcia tej formacji z terenów województwa olsztyńskiego nie zakończyło działań operacyjnych, których głównym celem było rozpracowanie aktywnych współpracowników 5. Wileńskiej Brygady. Pierwsze informacje na temat „siatki” terenowej, która stanowiła oparcie

oddziałów 5. Brygady, „resort” uzyskiwał od aresztowanych (najczęściej brutalnie przesłuchiowanych) żołnierzy 5. Brygady. Jeden z partyzantów Szwadronu „Lufy” zdekonspirował leśniczówkę w Omulewie.

Karol Szczotka został aresztowany 20 grudnia 1946 roku, Zbigniew Jarosiński zaś 28 stycznia 1947 roku; obaj zostali osądzeni w trybie doraźnym. Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie 14 kwietnia

stał skazany przez WSR w Olsztynie na 3 lata więzienia. Miał jednak dużo szczęścia – został zwolniony na mocy amnestii w maju 1947 roku. O podobnym szczęściu mogli mówić i inni leśnicy – „siatkowcy” mjr. „Łupaszki”. Roman Kuchciński w „ubeckim” więzieniu przebywał 8 miesięcy. Czesław Masztalerz został zwolniony z więzienia 17 marca 1947 roku. Nadleśniczy Bronisław Morawski został aresztowany 28 stycznia

1947 roku, zwolniono go w kwietniu tego samego roku. Podobnie Bolesław Kijewski i jego córka Zofia spędzili w więzieniu kilka miesięcy.

Czy zwolnienia te należy wiązać z „łaskawością” komunistycznego aparatu represji? Oczywiście nie. Był to tylko element cynicznej gry, jaką „resort” prowadził w ramach amnestii. Zwolnienie powszechnie znanych i szanowanych w lokalnych społecznościach leśników w doskonały sposób wpisywało się w akcję propagandową, która miała na celu zachęcić członków organizacji podziemnych do ujawnienia.

W ciągu kolejnych lat niezłomni pracownicy „łasów” byli wciąż inwigilowani przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, a potem Służbę Bezpieczeństwa. Jeszcze na początku lat 70. XX wieku olsztyńscy funkcjonariusze SB, interesowali się leśnikami mjr. „Łupaszki”.

MICHAŁ OSTAPIUK
IPN Olsztyn



Mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” FOT. © IPN

1947 roku skazał Jarosińskiego na 10 lat więzienia, Szczotkę zaś na 5. Wyroki były pierwotnie surowsze jednak zostały złagodzone na mocy postanowień ustawy amnestyjnej³. Lokalna społeczność starała się pomóc Jarosińskiemu – pisała prośby o wypuszczenie dzielnego leśnika z więzienia, podkreślając jego zasługi w dotychczasowej pracy – niestety „resort” był niewzruszony.

UBP stopniowo aresztowało kolejnych leśników. Edward Hamerski za pomoc okazaną Szwadronowi ppor. „Zeusa” zo-

Przypisy

¹ AIPN Bi, 065/21, Charakterystyka. V-ta Brygada

„Łupaszki”, Kwestionariusze osobowe: Bolesława Kijewskiego, Zofii Kijewskiej, Edwarda Hamerskiego, Romana Kuchcińskiego, Romana Masztalerza, Bronisława Morawskiego, k. 41, 42, 55, 58, 84, 95.

² Tamże, Protokół przesłuchania podejrzanego Zbigniewa Jarosińskiego z 23.01.1947 r., k. 28.

³ AIPN OI, 8/447: Akta w sprawie Jarosińskiego Zbigniewa i Szczotki Karola, Akt Oskarżenia, k. 86-87; Protokół rozprawy z 14.04.1947 r., k. 111-120; Wyrok WSR w Olsztynie z 14.04.1947 r., k. 121-128.

Nowości IPN

Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w USA

Praca Piotra Kardeli na temat kół Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953-2012 stanowi cenny wkład w badania polskiego życia społecznego w USA. Na zawsze pozostanie niezastąpionym kompendium wiedzy na temat lokalnych struktur kombatanckich w Ameryce po II wojnie światowej – tak o monografii autorstwa Piotra Kardeli pt. *Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych 1953-2012* pisał dr hab. Tadeusz Kondracki z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk.

Książka ta ukazała się nakładem wydawnictwa IPN w 2017 roku. To kolejna monografia autorstwa dr. hab. Piotra Kardeli poświęcona Stowarzyszeniu Kombatantów Polskich w Stanach Zjednoczonych, co nie oznacza że nie oryginalna. O ile w poprzedniej

pracy (*Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych w latach 1953-1990*, Olsztyn-Białystok 2015) autor przeanalizował i opisał dzieje organizacyjno-politycznej aktywności Stowarzyszenia, to w swej najnowszej monografii na 1 200 stronach w sposób bardzo szczegółowy odtwarza działalność i strukturę każdego z 54 kół SPK w Stanach Zjednoczonych. W książce tej czytelnik znajdzie odnotowane przez autora najdrobniejsze formy aktywności poszczególnych kół, a przede wszystkich setki nazwisk ich działaczy, nazwisk ludzi powszechnie znanych i tych zapomnianych, choć bezwzględnie wiernych ideałom Niepodległej Rzeczypospolitej.

Atutem pracy, jak i swoistym znakiem rozpoznawczym innych publikacji Piotra Kardeli, jest bogata i wartościowa baza źródłowa. Dzięki temu w naszych rękach

znajduje się bardzo dobra książka historyczna, która w znaczący sposób przybliżyła nas do odtworzenia przeszłości, do poznania prawdy. A to jest przecież główny cel badań historyków.

P. Kardela, *Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych 1953-2012*, Olsztyn-Białystok-Warszawa 2017, ss. 1160 + 40 (wkładka zdj.).



Warmińsko-Mazurskie studia z historii najnowszej

Czwierćwiecze, które upłynęło od przeprowadzonych w 1989 roku częściowo wolnych wyborów, oraz przypadające w 2015 roku piętnastolecie Instytutu Pamięci Narodowej stały się zatem okazją do podsumowania dotychczasowych osiągnięć badawczych dotyczących najnowszych dziejów Polski.

Prezentowany tom studiów poddaje także pewnej ocenie dwudziestopięcioletni dorobek historiografii poświęconej Warmii i Mazur w latach 1945-1989. Ważnym celem przyświecającym powstaniu tej publikacji, oprócz omówienia problematyki poruszanej dotąd w pracach naukowych, było również zasygnalizowanie nowych obszarów badawczych. Jest to ponadto głos w charakterystycznej dla ziem zachodnich i północnych dyskusji na temat postrzegania dziedzictwa kulturowo-historycznego tych terenów czy kwestii edukacji regionalnej społeczeństwa postmigracyjnego. Mamy zatem nadzieję, że niniejsze wydawnictwo nie tylko wniesie wkład w rozwój regionalnego dorobku naukowego dotychczasowych dziejów Warmii i Mazur, ale stanie się również przyczynkiem do debaty i refleksji nad przeszłością tych ziem.

W części pierwszej zbioru znalazły się trzy artykuły dotyczące szeroko rozumianej spuścizny historyczno-kulturowej Warmii i Mazur w aspekcie edukacyj-

nym (J. Łapo, *Niemieckie pomniki wojenne na Mazurach po 1945 roku*; M. Bieniek, I. Józwiak, *Różnijmy się pięknie. Wielokulturowość Warmii i Mazur oczami młodych mieszkańców regionu*; M. Gałęziowska, *Zapis interakcji między muzeum a jego gościem jako obraz dynamiki więzi społecznych. Muzeum Warmii i Mazur po II wojnie światowej*).

W drugim bloku tematycznym zamieszczono cztery artykuły poświęcone analizie historiograficznej prac naukowych dotyczących dziejów Warmii i Mazur po 1945 roku, a publikowanych od 1990 (G. Jasiński, *Mniejszości narodowe na Warmii i Mazurach (1945-1989). Stan badań*; A. Kopiczko, *Kościół mniejszościowe i związki wyznaniowe na Warmii i Mazurach (1945-1989). Stan badań*; P. Kardela, *Życie polityczne na Warmii i Mazurach (1945-1989). Stan badań*; K. Sacewicz, *Kilka uwag o miejscu problematyki polskiego antykomunistycznego podziemia niepodległościowego na Warmii i Mazurach w historiografii polskiej po 1989 roku*).

W trzeciej części tomu, o charakterze sprawozdawczym, Waldemar Brenda przedstawił funkcjonowanie i działalność Delegatury IPN w Olsztynie w latach 2000-2015. Natomiast Renata Gieszczyńska szczegółowo omówiła jedną

z podstawowych sfer aktywności na polu edukacyjnym IPN, jaką jest przygotowanie i prezentacja wystaw historycznych. I w części ostatniej tomu, Monika Rogulska-Krysiak i Małgorzata Szymańska-Jasińska z Biblioteki Uniwersyteckiej UWM opracowały *Bibliografię prac naukowych opublikowanych po 1989 roku dotyczących historii Warmii i Mazur w latach 1945-1990*. Należy podkreślić, że jest to pierwsze tego typu zestawienie wydawnictw dotyczących powojennej historii regionu, prezentujące dorobek naukowy ostatniego dwudziestopięcioletnia.

DOMINIK KRYSIAK



Warmińsko-Mazurskie studia z historii najnowszej, tom 1, red. Dominik Krysiak, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi

Polskiemu Delegatura w Olsztynie, Olsztyn 2016, ss. 328.



Uroczystości oraz piknik patriotyczny na stadionie gminnym FOT. © SEBASTIAN NOWAKOWSKI

Rutka-Tartak: Przekazanie proporca

24 września w Rutce-Tartak, na terenie województwa podlaskiego, miejscowa Placówka Straży Granicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego otrzymała proporzec.

Historyczny obiekt Straży Granicznej został wzniesiony w 1937 roku w kształcie liter „JP”, jako hołd dla Marszałka Józefa Piłsudskiego. W listopadzie tego samego roku do obiektu przeniesiono siedzibę dowództwa 1. kompanii granicznej Batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Sejny”. Warto podkreślić, że jest to jedyny zachowany obiekt Korpusu użytkowany współcześnie przez Straż Graniczną.

Uroczystości rozpoczęły się mszą św. w kościele pw. Matki Bożej Królowej Polski. Następnie na stadionie gminnym odbyła się ceremonia przekazania proporca. Symbolicznego wbicia gwoździ w jego drzewiec dokonali m. in. Jarosław Zieliński – sekretarz stanu w MSWiA, ppłk Grzegorz Biziuk – komendant Podlaskiego Oddziału SG, płk Grzegorz Opaliński reprezentujący Komendę Główną SG, ppłk rez. Janusz Głosek – przewodniczący „Stowarzyszenia Marszałek”, które ufundowało proporzec i dr hab. Piotr Kardela – dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku. Wśród gości obecny był także Adam Świtalski – wnuk dowódcy 1. kompanii granicznej Batalionu KOP „Sejny” w latach 1936-1939, który na ręce Komendanta Placówki SG w Rutce-Tartak mjr. Michała Łangowskiego przekazał pamiątkowy portret swojego dziadka – kpt. Marii Michała Jana Świtalskiego.

Święto było połączone z występem artystycznym Morskiego Oddziału Straży Granicznej pod batutą kpt. Jarosława Rywalskiego, pokazem musztry paradowej w wykonaniu 14. Suwalskiego Dywizjonu Artylerii Przeciwpancernej oraz piknikiem patriotycznym, podczas którego swoje umiejętności wokalne zaprezentował miejscowy zespół dziecięco-młodzieżowy „Szeszupiaki” pod kierownictwem Beaty Szyszko-Anzulewicz. Zaprezentowano



Przekazanie proporca Straży Granicznej

FOT. © SEBASTIAN NOWAKOWSKI



Kompania honorowa Straży Granicznej

FOT. © SEBASTIAN NOWAKOWSKI



Poświęcenie proporca FOT. © PIOTR KARDELA

również sprzęt Straży Granicznej, Wojska Polskiego, Policji, Państwowej Straży Pożarnej i Lasów Państwowych.

W czasie uroczystości można było obejrzeć wystawę poświęconą historii powstania i działalności Korpusu Ochrony Pogranicza – formacji granicznej o charak-

terze wojskowym, strzegącej wschodnich rubieży Polski w latach 1924-1939. Ekspozycję przygotowało Oddziałowe Biuro Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku oraz Delegatura Instytutu Pamięci Narodowej w Olsztynie.

SEBASTIAN NOWAKOWSKI



Oblicza polskiego antykomunizmu w XX wieku

Ogólnopolska konferencja naukowa

W dniach 22-24 listopada br. w Olsztynie odbyła się ogólnopolska konferencja naukowa zorganizowana przez Delegaturę Instytutu Pamięci Narodowej w Olsztynie – Oddział w Białymstoku. Tematem przewodnim był szeroko rozumiany polski antykomunizm minionego stulecia. W konferencji, którą otworzył prezes IPN dr Jarosław Szarek, grono ponad czterdziestu naukowców reprezentujących różne ośrodki akademickie i instytucje naukowo-badawcze zastanawiało się czym był tak naprawdę antykomunizm, jakie przybierał formy i jak kształtował postawy czynników państwowych oraz organizacji politycznych i społecznych.

Przez trzy kolejne dni uczestnicy konferencji mogli wysłuchać referatów dotyczących inicjatyw antykomunistycznych podejmowanych w latach II Rzeczypospolitej, w okresie wojny i konspiracji, w czasach powojennego wychodźstwa niepodległościowego oraz w latach powojennej Polski rządzonej aż do 1989 roku przez komunistów.

Genezę antykomunizmu scharakteryzował prof. dr hab. Andrzej Nowak, który upatrywał ją w myśli politycznej i wydarzeniach wieku XIX, tj. powstanie krakowskie i reakcja na jego skutki oraz wydarzenia Wiosny Ludów. Ślady antykomunizmu odnalazł także w dziełach literackich doby XIX wieku. Prof. dr hab. Włodzimierz Suleja poszukiwał działań antykomunistycznych w bolszewickim przewrocie jaki dokonał się jesienią 1917 roku. Zjawisko to starał się uchwycić z perspektywy wojennej Polaków, którzy doświadczyli zbrodniczego systemu jakim był komunizm.

Działania antykomunistyczne w okresie II Rzeczypospolitej uwidaczniały się na różnych polach funkcjonowania aparatu władzy. Dr Tomasz Gajownik podkreślał, że zainteresowanie wojskowych służb specjalnych komunizmem było jednym z głównych determinantów Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Prowadził on penetrację poza granicami osób związanych z komunizmem oraz wymianę korespondencji z państwami sojuszniczymi i krajami bałtyckimi dotyczącą polskich komunistów przebywających na tamtejszych terenach. Z kolei dr hab. Robert Litwiński wskazywał na ciągle zainteresowanie aparatu bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych problemem komunizmu i działalności antypaństwowej prowadzonej przez członków KPRP/KPP. Dr hab. Karol Sacewicz udowodnił, że nie tylko agendy



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

państwowe, ale także czynnik społeczny, niejednokrotnie przy wsparciu aparatu państwowego podejmował akcje antykomunistyczne. Jako przykłady organizacji zajmujących się antykomunizmem wskazywał Ligę Antybolszewicką, Instytut Naukowy Badania Komunizmu czy też Centralne Porozumienie Antykomunistyczne.

Wiele referatów poświęcono inicjatywom antykomunistycznym podejmowanym przez Polaków pozostających na emigracji. Dr hab. Piotr Kardela omawiając antykomunizm Polonii amerykańskiej wskazywał na organizacje polonijne powstałe zarówno w okresie II wojny światowej, jak i tuż po jej zakończeniu, które starały się zaszczepić antykomunistyczną postawę wśród Amerykanów polskiego pochodzenia. Do organizacji tych zaliczył m. in. Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia, Polski Instytut Naukowy, Kongres Polonii Amerykańskiej oraz Stowarzyszenie Polskich Kombatanów, które wspomagało Kościół katolicki w Polsce i organizacje walczące o poszanowanie swobód obywatelskich, a także manifestowało przyjazdy oficjeli komunistycznych do USA. Prof. dr hab. Tadeusz Wolsza prezentując obraz polskich komunistów w ujęciu emigracji politycznej na Wyspach Brytyjskich po 1945 roku, podkreślał, iż nieocenioną rolę odgrywała wówczas prasa, w której zamieszczano prawdziwe, nielukrowane biogramy przywódców komunistycznej Polski, nie szczędząc zbrodniczej i agenturalnej przeszłości na rzecz Związku Radzieckiego.

Nie zabrakło także referentów, którzy w swoich wystąpieniach skupili się na antykomunizmie w regionie Warmii i Mazur.

Dr Paweł Warot charakteryzując sytuację w Okręgu Mazurskim podkreślał, że w oczach władz lokalnych właściwie każda forma opozycji postrzegana była jako antykomunizm. Sam fakt bycia Warmiakiem lub Mazurem był niejako zagrożeniem dla władzy. Dr Waldemar Brenda wskazując postawy antykomunistyczne na tychże terenach w latach 1946-1956 mówił o trudnych losach ludzi, którzy niekiedy działali pod przykrywką na rzecz antykomunizmu. Doceniał postawy mieszkańców, którzy przygotowywali raporty wywiadowcze dla organizacji WiN oraz dostrzegał zaangażowanie młodzieży z organizacji „Ol-16” na rzecz walki z komunizmem.

W trakcie konferencji poruszane były także postawy antykomunistyczne osób duchownych oraz poszczególnych działaczy politycznych. Sporo miejsca poświęcono organizacjom i ugrupowaniom politycznym o charakterze opozycyjnym jak: Konfederacja Polski Niepodległej, Federacja Młodzieży Walczącej, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy oraz ruch harcerski.

Podsumowując należy powiedzieć, że konferencja była ważnym spotkaniem naukowców zajmujących się na co dzień różnorodną tematyką historii XX wieku. Dzięki interesującym wystąpieniom zaproszonych referentów oraz długim, merytorycznym dyskusjom mogliśmy poznać różnorodne oblicza antykomunizmu i zastanowić się czy każda oportunistyczna postawa wobec komunizmu była równoznaczna z antykomunizmem. Na koniec pozostaje tylko czekać na publikację książkową, która będzie znacznie rozszerzonym zbiorem wygłoszonych referatów.

KRZYSZTOF A. KIERSKI



Dwór w Żelaznej pod Skierniewicami

Nie mogę odszukać tego jednego, mocnego zdania, w którym Maria Rodziewiczówna w wielkim skrócie przypominała o konieczności obrony ziemi, tak ważnej dla zachowania polskości. No i nie wiem czy pisała to w swoim – po ojcu odziedziczonym – Hruszowie koło Kobrynia, w którym przez lata gospodarowała, czy gdzieś we Lwowie, kiedy pomagała zakładać Związek Szlachty Zagrodowej. A może w Warszawie, do której wyjeżdżała żeby wspomóc Warszawski Związek Ziemianek i dopilnować spraw wydawniczych, bo to przecież honoraria książkowe pomagały utrzymać hruszowski majątek.

Ukochana autorka

Kiedy w 1939 roku bolszewicy wyrzucili ją z dworu miała 75 lat i była ukochaną autorką pokoleń czytelników, odznaczoną przez dwóch kolejnych prezydentów Krzyżem Oficerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Z fałszywymi papierami pokonała wtedy okupacyjną granicę i tak zaczęła się jej peregrynacja przez kilka obozów przejściowych. Z jednego z nich, w Łodzi, wydostał ją w marcu 1940 roku Aleksander Mazaraki



z majątku Żelazna pod Skierniewicami, dla odróżnienia od ojca, też Aleksandra, nazywany Juniorem.

Zanim udało mu się wydobyć pisarkę z obozu, Mazaraki przeszedł swoje. Jako ochotnik 1. Pułku Ułanów Krechowickich wziął udział w wojnie bolszewickiej 1920 roku. Na drogę, jak to w Polsce, dostał od matki ryngraf. Któregoś dnia chciał spojrzeć na mapę, którą trzymał stojący

obok niego kapelan. Zsiadł więc z konia i w tym właśnie momencie padł strzał – pocisk utkwął w siodle. Ryngraf razem z pociskiem wisi do dziś na starej ambonie w kościele w Żelaznej.

Po wojnie 1920 roku Aleksander Junior został prezesem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, którego warszawski gmach na Kredytowej – tam gdzie dziś Muzeum Etnograficzne – Niemcy zamienili w 1939

roku na siedzibę Arbeitsamtu. Aleksander Mazaraki zachował jednak pozycję człowieka wpływowego. Podobnie jak jego ojciec, w czasie I wojny światowej, także on współdziałał teraz z akceptowaną przez Niemców Radą Główną Opiekuńczą, miał przepustkę i zgodę na posiadanie samochodu, był łącznikiem między biskupem łódzkim i warszawskim, spotykał się z kardynałem Sapiehą w Krakowie. Dzięki tym kontaktom udało się wydostanie Marii Rodziewiczówny z łódzkiego obozu.

Dotarła do Warszawy, tu przeżyła Powstanie, jak wielu trafiła potem do Milanówka. Aleksander Mazaraki znów ją odnalazł i wywiózł do majątku w Żelaznej. We dworze stacjonował Wehrmacht, 80-letnia pisarka została więc umieszczona w niedalekiej leśniczówce. Zachorowała jednak na ciężkie zapalenie płuc i zmarła w listopadzie 1944 roku, a na jej pogrzeb w Żelaznej przybyły tłumy ludzi.

Można powiedzieć, że ta dramatyczna historia to polska opowieść jakich wiele. A jednak jest jeszcze coś, co sprawiło, że ją teraz zapisuję.

Komunista żarliwy, jak również piszący

Oto bowiem do majątku w Żelaznej trafił w roku 1946 pewien człowiek. Urodził się niedaleko, skończył trzyklasową szkołę ludową w Skierniewicach i zanim został murarzem pomagał ojcu w gospodarstwie. Miał 27 lat, kiedy w 1917 roku wstąpił do SDKPiL, a rok później był już członkiem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, za chwilę KPP. Organizował rady delegatów robotniczych, milicję ludową w Skierniewicach, potem Związek Zawodowy Robotników Rolnych RP w powiecie skierniewickim, no i, obowiązkowo, komórki partyjne.

Po wrześniu 1939 osiadł w Białymstoku, a w 1940 roku został instruktorem mularskim przy budowie obiektów przemysłowych na Uralu. Od 1943 roku działał w Związku Patriotów Polskich i pisał pamiętnik, który towarzysze z ZPP w Moskwie dali do przepisania maszynistkom i obiecali wydać w Polsce. W roku 1946 wrócił więc. No i pisał. Ciągłe coś pisał, maszynistki – choć z błędami ortograficznymi i nie przejmując się interpunkcją – przepisywały, a ja, pół wieku później, mogłam to przeczytać w Czytelnicy Rękopisów Biblioteki Narodowej, w Pałacu Rzeczpospolitej przy Placu Krasieńskich, projektowanym przez mojego ukochanego Tylmana z Gameren, syna szewca z Utrechtu.

Opowieści rzeczzonego...

Józef Bok, komunista – jak go doprecyzowuje Wikipedia – wraca więc do Polski, o czym opowiada tak (zachowano oryginalną pisownię):

7 kwietnia 1946 r. Miarowy stuk kół wagonów po szynach, bez przerwy meldował o zbliżaniu się pociągu do granicy ziemi ojczyźnej Polski Ludowej. Jadę pociągiem radzieckim Moskwa – Berlin. Wiekrzość podróżnych to wojskowi armii radzieckiej i ich żony i gromada powracających polaków. [...] Co będę robił? O jaką by należało starać się pracę? W swym życiu różne robiłem roboty. Wiadomo, że każda robota jest ważna, jeśli jest społecznie potrzebna. [...] W jaki sposób mogę się przyczynić do szczęścia innych ludzi? Na to pytanie nie znajdowałem żadnej odpowiedzi. Wtem błysła myśl prosta i jasna, przecież mogę zostać instruktorem rolnym, wszystko jedno gminnym czy powiatowym [...]. Zaczęłem się zastanawiać co wiem o rolnictwie. W prawdzie w szkołach rolniczych się nie kształciłem ale w swym życiu czterdzieści lat żyłem na wsi. Ojciec miał pół hektara ziemi, robiłem u bogaczy i dziedziców mularkę a jak nie było mularstwa to i w polu. Zwidziłem kawał świata, widziałem jak pracują w rolnictwie maszyny. [...] Miałem wiele doświadczenia politycznego, to jest wszystko mało ale myśl raz powzięta nie opuszczała mnie, czego nie umiem będę się uczył, razem z chłopami, będę uczył tych, co wiedza mniej odemnie. Choć miałem 56 lat nie padałem na duchu. Co prawda będąc zagranicą marzyłem otem, żeby pracować jako pracownik polityczny w partii, te rzeczy się uzupełniają. [...] Najważniejsze zadanie w pracy politycznej i oświatowej jest podnieść we właściwym kierunku społeczną i polityczną [świadomość?], umocnić w człowieku miłość ojczyzny, narodu, szacunku dla wszystkich ludzi, robotników, chłopów i inteligencji pracującej na świecie a wzgardę i nienawiść dla darmożjadów, wyzyskiwaczy i złodziei społecznych wszelkiego gatunku.

Jak pomyślał, tak i zrobił. I oto kilka miesięcy później, jako instruktor Powiatowego Urzędu Rolnego (tak w każdym razie o tym pisze, choć to musiał być raczej urząd ziemski), wyruszył w teren.

Z Łodzi przyjechała towarzyszka, przystojna blondyna, instruktor komitetu wojewódzkiego. Uzgodniła z sekretarzem, że pojedzie do Żelazny. Jadę razem z nimi. [...] Po trzydziestu latach, znów chodzę po podwórzu dworskim w Żelazny. Gdzie administrator pytam?

Administratora nie ma, pojechał do miasta, odpowiada napotkany robotnik rolny, niech się pan tego spyta.

*Wy zastępujecie administratora?
Nie, karbowy, ja pilnuję podwórza.*



Maria Rodziewiczówna, ok. 1911 r.

FOT. © AC / WIKIMEDIA

Wy pepeerowiec?

Robotnik trochę się zmienił na twarzy, ale się nie zapiera.

Nie bójcie się, mówię, śmiejąc się do niego, my nie mikołajczyki, nie przychodzimy zabijać.

[...]

No to pujdziemy do karbowego, pogadamy o gospodarce.

Ja bezpartyjny mówi karbowy, długie lata tu robiłem u państwa dziedziców, bardzo dobrzy państwo byli. [...] Mnie pan dziedzic bardzo uważał.

[...]

Dużo ziemi rozparcelowano z waszego majątku?

Tylko parę hektarów, to co pan dziedzic miał sam rozparcelować, z dziesiątą część nie więcej.

Dlaczego pyta blondynka instruktorka. Służba folwarczna pozapisywała się a później nie chcieli ziemi, kazali się wykreślić.

Boście wy z administratorem wierną służą dziedzica ich nastraszyli, że będą ich wieszać jak zrobią rząd Mikołajczyka, nie inaczej, Mikołajczyk ma tu dużo swoich.

Nie ma u nas Mikołajczyków, kłamie karbowy.

Przecież wy i administrator należycie do partii Mikołajczyka.

Skąd pan o tym wie to nieprawda.

Przecież o tym mówi cała okolica. Po co wy nas oszukujecie [...].

Ciąg dalszy na s. 64 →

→ Ciąg dalszy ze s. 63

Wszystko ma swój czas, a więc w opowieści pojawia się w końcu i administrator majątku:

Wchodzimy po schodach, administrator mieszka ma piętrze w pałacu. Wielkie psisko zastępuje nam drogę, po krótkiej chwili wyjechała pani administratorowa, zawołała psa i zaprosiła do eleganckiego pokoju, administrator prosi siadać. Krzesła wyścielane.

Co słyhać pyta blondynka, czy odstawiście państwu kontygent w zbożu?

My kontygentu nie oddalim, majątek teficytowy, tak, tak, jeszcze parę lat państwo będzie dokładać do naszego majątku.

Czemu to? dziedzicowi żyło się nieźle, miał na wszystko, a teraz deficyt, majątek przynosi straty?

Bo widzi pani, nie zdążyliśmy zebrać zboża w żniwa, przyszły deszcze i ziarno wysypało się z kłosa, to już siła wyższa, my nie winni.

Przecież ci sami ludzie pracują w dworze, dawniej zdążyliście a teraz nie nadążacie ze zbiorami?

Dawno pan tu pracuje?

Trzydzieści lat.

A za Niemca pan tu był?

Tak cały czas.

To dziwne, bo Niemcy stawiali swoich administratorów.

Unas nie odpowiada administrator.

Niemcom pan dawał pełny kontygent pyta blondynka?

Tak odpowiada niedbale.

Był sumiennym administratorem dla Niemców i serdecznym przyjacielem państwa dziedziców, a państwu ludowemu ani kila zboża nie oddaje.

Widzę że upana jest ładna biblioteka?

Tak, tak, mam śliczne rzeczy, pan dziedziec lubił książki a dla chłopów mieliśmy specjalnie dobraną przez pana dziedzica bibliotekę.



FOT. © RZDZELAZNA.CEM.SGGW.PL

Wiem o tem dobrze odpowiadam.

Państwo dziedzice leczyli okolicznych chłopów i ja to robie.

Pan jest doktor panie administratorze mówi blondynka?

Nie, ale mam ziola, jodyne, aspiryne, a w wypadkach jeśli się choroba zastarzeje, wtedy wysyłam do doktora, niech on leczy.

Jak to było z reformą rolną?

Oto mnie i w bezpieczeństwie się pytali, bo mnie jeden oskarżył, że agitowałem, straszylem chłopów przeciw reformie, że po referyndum będzie rząd Mikołajczyka wróć państwu dziedzice, będą wieszac i rozstrzeliwać tych chłopów co wzięli szlachecką ziemię z reformy rolnej. Zastrzelili tego co mnie oskarżał.

Kto go zastrzelił pytamy?

Skąd ja mogę wiedzieć. Wytłumaczyłem się w bezpieczeństwie, że jestem za parcelacją planową, spokojną, długo falową, bo podług mnie w dwadzieścia cztery godziny parcelować nie można, udowodniłem świadkami, świadczył za mną karbowy, długoletni pracownik majątku, jego żona i zięć. Puścili, majątek pozostał prawie

cały, Państwo w jakiej sprawie jeżdżą, spytał administrator?

My jeździmy uświadamiamy ludność w sprawie referyndum. Odpowiedziała blondynka.

[...].

Wtem we drzwiach staje pokojówka, czy podać obiad?

Wszyscy troje jak na komendę dziękujemy.

Może mleka pyta administrator grzecznie?

Nie trzeba odpowiadam spokojnie, Niech pan zawiadomi robotników majątku że wieczorem w świetlicy będzie ogólne zebranie, my o zachodzie słońca przyjdziemy.

W tej samej świetlicy w której 30 lat temu występowałem przeciw dziedzicowi zebrało się ponad 70 osób. O znaczeniu referyndum mówiłem ja i blondynka. Mówiliśmy z półtorej godziny [...].

Nie znajdziemy już zapewne wyjaśnienia tego, co robił Józef Bok w Żelaznej 30 lat wcześniej. Życie partyjne zaczął – wedle Wikipedii – dopiero w roku 1917, no ale może to tylko taka *licentia poetica* kałała mu wrzucić do opowieści tę okrągłą liczbę lat. Może w czasie kiedy organizował związek pracowników rolnych miał z Aleksandrem Mazarakim Juniorem jakiś zatarg? Dość, że obecna wizyta z towarzyszką blondyną była brzemnienna w skutki:

Podczas zebrania administrator nie wszedł do świetlicy, stał w sieni. [...] Przysłał bryczkę, żeby nas odwiozła do Skierniewic. [...] Jedziemy, towarzyska mówi do mnie, jakby z cieniem żalu, towarzyszu Bok, po waszym przemówieniu, ja nie wiele miałam do powiedzenia, powiedzieliście wszystko, co należało powiedzieć. Czy wy pracujecie jako etatowy pracownik komitetu powiatowego?

Nie towarzyszko, ja pomagam partji, pracuje społecznie.



FOT. © RZDZELAZNA.CEM.SGGW.PL



Żelazna, pogrzeb Aleksandra Mazaraki, Seniora FOT. © RZDŻELAZNA.CEM.SGGW.PL

Twarz towarzyski posmutniała, zaciśła usta, milczała [...].

Po rozmowie z nią, sekretarz w obecności innych pracowników, oświadczył, towarzyszu Bok, bądźciecie unas pracować, na etacie instruktora propagandy.

Finiał

Grób Marii Rodziewiczówny dopiero 11 listopada 1948 roku przeniesiono z Żelaznej na warszawskie Powązki. Być może dowiedział się o tym i Józef Bok, który też przecież czuł się pisarzem... Jego także odznaczono później Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. On także – 20 lat potem – spoczął na Powązkach.

Tuż po pogrzebie na Powązkach, książki Rodziewiczówny wycofano z bibliotek, nie wznawiano ich i strategicznie zarządzając gustami mas, uznano – *via* autorytety – za kicz. A we dworze w Żelaznej, prawem sowieckiego kaduka, do dziś ma siedzibę dyrekcja Rolniczego Zakładu Doświadczalnego SGGW.

Fakt: dzięki wielu takim zakładom doświadczałnym PAN-u albo SGGW część



Żelazna, pogrzeb Zofii Mazaraki

FOT. © RZDŻELAZNA.CEM.SGGW.PL

dworów jeszcze w ogóle stoi. Zastępczy, bo zastępczy, jednak zawsze to gospodarz, który dba choćby o to, żeby dach nie przeciekał. Bo nieremontowany dach potrafi pociągnąć za sobą szybko resztę domu, który w końcu – znikną. Zdarzało się zresztą czasem, że wygnani z własnych, ziemianie bywali peerelowskimi administratorami czy kierownikami w innych pozbawionych daw-

nych właścicieli dworach. Nie żeby zaraz w swoich – to by było, jak na PRL, za dużo. Ale w innych – tak. Bo w końcu, ci „obywatele ziemscy”, na czym jak na czym, ale na rolnictwie czy hodowli akurat się znali. Tego w końcu się uczyli, sposobiąc się przed wojną do zarządzania swoimi majątkami. No a dziś – jest jak jest.

ANNA MIESZCZANEK



Dwór w Żelaznej, obecna siedziba Rolniczego Zakładu Doświadczalnego

FOT. © RZDŻELAZNA.CEM.SGGW.PL

Jeszcze jedno pożegnanie

29 października zmarł Emil Morgiewicz, działacz opozycji w czasach PRL, jeden z twórców i przywódców niepodległościowej organizacji „Ruch”. W odczytaniu podczas pogrzebu liście Prezydent RP Andrzej Duda napisał między innymi: „Odszedł człowiek ogromnie zasłużony dla sprawy niepodległości naszej Ojczyzny”, a MON zapewnił pełną asystę wojskową z udziałem kompanii honorowej. Odszedł nasz przyjaciel i towarzysz, współtwórca ruchu niepodległościowego z lat 60. i 70., ale i czasów Solidarności. 4 listopada, w Mrągowie – gdzie państwo Morgiewiczowie, wysiedleni z Wilna, zamieszkali po wojnie – żegnali Go rodzina, przyjaciele, dawni koledzy z opozycji i mieszkańcy Mrągowa.

Znałam Emila ponad 40 lat. Zetknęliśmy się w końcu lat 60., kiedy przywoziłam z Łodzi do Warszawy teksty, które potem Emil, redaktor naczelny, umieszczał w „Biuletynie” „Ruchu”. Ale 21 czerwca 1970 roku spotkaliśmy się w okolicznościach dość dramatycznych. Bezpieka aresztowała braci Niesiołowskich, więc razem z Andrzejem Woźnickim, z którym mieliśmy brać udział w akcji „Poronin”, pojechaliśmy do Warszawy, aby ostrzec Czumów i Emila o aresztowaniach. Akurat gościł u siebie przyjaciela z lat dziecięcych, Niemca, co jeszcze bardziej komplikowało sytuację.

Już w więzieniu dowiedziałam się, że Emila skazano w grupie przywódców i z tego samego co nas paragrafu „próba obalenia siłą ustroju socjalistycznego w PRL”, dostał cztery lata, które w całości odsiedział. Potem nasze trudne drogi – dysydentów w czasach Gierka, rozeszły się, i tylko od czasu do czasu słyszałam o tym jak przystąpił do KOR, potem do ROBCiA, a następnie 13 grudnia 1981 roku został internowany na Białoleczę.

Ale dziesięć lat temu znowu się spotkaliśmy, i zaprzyjaźniliśmy. Odtąd co jakiś czas umawialiśmy się na kawę, żeby pogadać, Emil uczestniczył w promocji książki Jacka Wegnera *Zamach na Lenina*, a dosłownie miesiąc temu zaproponowałam Mu udział w panelu „Polskie drogi do wolności” – części Festiwalu „Niezlomni, Niepokorni, Wyklećci”. Niestety, nie mógł przyjechać do Gdyni, bo nie czuł się już dobrze.

O czym rozmawialiśmy podczas tych naszych posiadów? O wszystkim, ale przede wszystkim o „Ruchu”, rekonstruowaliśmy sobie wspomnienia, wymienialiśmy informacje, opowiadali o tym, co dzieje się z naszymi kolegami dziś. Wtedy to dowiedziałam się, jak bliskie Mu było, Wilniukowi, Mrągowo i jak wysoka cenę zapłacił za wierność swoim ideom. Najpierw więzienie, w sumie pięć lat, potem utrata perspektyw zawodowych



FOT. © RADEK PIETRUSKA / PAP

i kariery, na koniec emigracja. Jednak – i o tym także mówił – nigdy nie wątpił, że „było warto”. A więc na początek cztery lata w procesie działaczy „Ruchu”, które w całości odsiedział, żadnej amnestii. Potem, tuż po wyjściu z więzienia napisał raport o stanie więziennictwa w Polsce, skierował go do ówczesnego marszałka Sejmu Stanisława Gucwy i do londyńskiej centrali Amnesty International. Oczywiście, natychmiast został aresztowany, tym razem pod zarzutem „znieważenia władzy ludowej” i „szerzenie fałszywych informacji na temat PRL”, bo tak wtedy nazywano słowa prawdy na temat patologii komunistycznej władzy w Polsce. Tym razem trzymano go w więzieniu przez kilka tygodni.

Opowiadał, że potem wstąpił do KOR, a w rok później – poróżniwszy się ze zwolennikami reform w stronę „socjalizmu z ludzką twarzą” i „demokratyzacji polskiego socjalizmu” – Emil od początku był niepodległościowcem – przeniósł się do ROBCiA. Był tam redaktorem, wydawanego przez ROBCiA niezależnego miesięcznika „Opinie”. W czasach Solidarności działał w prowadzonym przez Antoniego Macierewicza Ośrodku Badań Społecznych przy Regionie Mazowsze. Był w grupie koordynującej działania klubów służby niepodległości, zrzeszających środowiska wolnościowców, myślących podobnie jak on.

Internowany w stanie wojennym, od razu 13 grudnia 1981 roku, wyładował na Białoleczę, zwolniono go dopiero w czerwcu, ze względu na zły stan zdrowia. Nie widząc żadnych perspektyw dla siebie ani powiększającej się rodziny, w 1983 roku wyemigrował do ówczesnego RFN. Tam także nie próżnował: był związany z Chrześcijańską Służbą Wyzwolenia Narodów, organizował przerzuty sprzętu poligraficznego i bezdebitowych wydawnictw do Polski, współpracował z Radiem Wolna Europa. Po powrocie, prawnik, został zatrudniony

w Kancelarii Senatu RP, gdzie pracował do emerytury. Członek Stowarzyszenia Wolnego Słowa, uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, i Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, już pośmiertnie – złotym medalem MON „Za zasługi dla obronności kraju”.

Oczywiście, najwięcej czasu podczas naszych spotkań i rozmów pochłaniały wspomnienia o „Ruchu”, czym był, do czego się przyczynił, co po sobie zostawił. W tym miejscu się zgodziliśmy, że była to wspólna platforma działania na rzecz Ojczyzny, programu, który w istocie realizowany jest dopiero dziś, a więc po ponad 45 latach. Bo celem „Ruchu”, wyartykułowanym w manifestie „Mijają lata...”, było przecież odzyskanie niepodległości i suwerenności Polski, pluralizm poglądowy, medialny, prawo do wolności słowa, stowarzyszeń oraz ochrona praw człowieka. Dopiero po dekadach, siedząc przy kawie i rozmawiając, dostrzegaliśmy jak radykalny wtedy był to wówczas program, ale z drugiej strony – jak bardzo nowoczesny. Emila zawsze irytowała opinia o „Ruchu”, wskazująca, że był „to związek młodzieży, który zamierzał wysadzić w powietrze pomnik Lenina – symbol zniewolenia”, „posługujący się akcjami ekspropriacyjnymi wzorowanymi na organizacji bojowej PPS”. I zawsze to prostował, m. in. w książce Jacka Wegnera *Zamach na Lenina*. Oddajmy więc na koniec głos samemu Emilowi: „Ruch stawał na mozolne budowanie wspólnoty politycznej. Także dzięki kontaktom z emigracją polityczną i przeciwnikami komunizmu w innych krajach, wsparty działalnością wydawniczą, ukierunkowany na cel perspektywiczny – odzyskanie niepodległości Polski... „Ruch” był zaczątkiem takiej wspólnoty, tworzonej w warunkach państwa policyjnego, oczywiście niejawniej”.

W tamtych latach, „późnej gomułkowszczyzny”, tacy ludzie jak Emil byli wielką rzadkością. Już samo wstąpienie do tajnej organizacji było aktem odwagi, zmanifestowaniem nie tylko poglądów, ale i chęci pracy na rzecz innych, wspólnoty, społeczeństwa, narodu. Emil należał do tego niezwykle wąskiego, ekskluzywnego grona. Był następnym ogniwem w łańcuchu pokoleń polskich patriotów, które drogą, złamanymi karierami, zdrowiem, czasem życiem płacili za coraz bliższą – choć jeszcze o tym nie wiedzieliśmy – niepodległość Polski. Zawsze dzielny, choć nieskłonny do szybkich decyzji, zawsze oczywisty, „transparentny”.

Będzie nam Ciebie, Emilu, bardzo brakowało.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS



„Odszedł od nas człowiek ogromnie zasłużony dla sprawy niepodległości naszej Ojczyzny.

Szanowna Rodzino!
Szanowni Państwo!

Z głębokim smutkiem żegnamy śp. Emila Morgiewicza. Odszedł od nas człowiek ogromnie zasłużony dla sprawy niepodległości naszej Ojczyzny, współtwórca podziemnego „Ruchu”, Komitetu Obrony Robotników oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, działacz „Solidarności”, nieprzejednany bojownik o wolność Polski, łącznie przeszło cztery i pół roku więziony i internowany przez reżim komunistyczny. Dzisiaj, jako Prezydent Rzeczypospolitej, pochylam głowę ze czcią dla Jego patriotyzmu, odwagi i szlachetności.

Emil Morgiewicz należał do wąskiego grona niezwykle śmiałych ludzi, którzy jako pierwsi zaangażowali się w organizowanie tajnych struktur, nie myśląc o reformowaniu ustroju, lecz całkowicie odrzucając zniewolenie i dążąc do odzyskania własnego suwerennego państwa. Miał przekonanie, że jest kolejnym ogniwem długiego łańcucha pokoleń Polaków walczących o niepodległość, kontynuując opór powojennej drugiej konspiracji. Był jednym z tych, którzy przecierali szlak dla późniejszej jawnej opozycji demokratycznej i pokojowej rewolucji „Solidarności”. Płacił za to osobiście wysoką cenę utraty wolności, perspektyw zawodowych, wreszcie emigracji, ale nigdy nie wątpił, że dobro Polski i rodaków warte jest tych poświęceń.



Jego poglądy były jasne i zdecydowane, ale wyrażając je otwarcie i precyzyjnie, miał też zawsze wzgląd, wyrozumiałość i wrażliwość dla bliźnich. Różnice zapatrywań, które w wolnej Polsce podzieliły wielu niegdyś bliskich współpracowników, w Jego przypadku nie stawały się szczelnymi barierami. Pozostał uczciwy i lojalny wobec dawnych przyjaciół, choćby się z nimi w zasadniczych kwestiach nie zgadzał. I tę Jego szlachetną postawę przeciwnicy potrafili dostrzec i docenić.

Jestem przekonany, że Emil Morgiewicz pozostanie w pamięci potomnych jako człowiek, który całym swoim życiem dobrze służył Ojczyźnie. I za to w imieniu naszego narodu i państwa składam Mu dzisiaj wyrazy szacunku i wdzięczności. Święć, Panie, nad Jego duszą!

Rodzynie, bliskim i przyjaciołom Zmarłego przekazuję wyrazy głębokiego współczucia.

ANDRZEJ DUDA
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Ci, co wskrzesili ducha Grunwaldu

W 2017 roku Stowarzyszenie Przyjaciół Filatelii Maltańskiej wydało serię kartek pocztowych i znaczków poświęconych osobom zaangażowanym w powstanie inscenizacji największej bitwy średniowiecznej Europy. Edycja ukazała się z okazji 20-lecia pierwszej inscenizacji Bitwy pod Grunwaldem.

Impreza – będąca częścią obchodów Dni Grunwaldu, organizowanych przez gminę Grunwald – odbywa się corocznie w rocznicę zwycięstwa 1410 roku. Skupia ona miłośników historii i jest jedną z największych inscenizacji stworzonych przez środowiska „historyczne” na terenie naszego kraju. 15 lipca na pola grunwaldzkie wychodzi ponad 1,4 tys. rycerzy, a wszystko to dzieje się na oczach ponad 100 tys. widzów.

Głównym celem, jaki stawiają sobie organizatorzy, jest przede wszystkim krzewienie historii, odtwarzanie kultury, tradycji oraz rzemiosła dawnego.



Od 1998 roku na pola pod Grunwaldem przybywają miłośnicy średniowiecza z różnych zakątków Europy, m. in. z Niemiec, Włoch, Francji, Finlandii, Czech, Słowacji, Węgier, Rosji, Białorusi, Ukrainy, a także z USA.

Równocześnie z tej okazji, Stowarzyszenie Przyjaciół Filatelii Maltańskiej organizuje specjalną „Pocztę Samolotową” na trasie Klebark Wielki – Olsztyn – Grunwald.

Partnerem edycji jest Warmińsko-Mazurski Oddział SDP.

ISB



Beata Waclawik – przewodnicząca Mazurskiego Towarzystwa Ewangelickiego i Rudolf Bażanowski – biskup diecezji mazurskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego prezentują *Kancjonał mazurski*

FOT. © EWA ZDROJKOWSKA / PRO



Kancjonał mazurski

Sejmik Województwa Warmińsko-Mazurskiego uchwalił rok 2017 Rokiem Reformacji w województwie warmińsko-mazurskim. Podkreślono w ten sposób znaczenie reformacji dla tego regionu w wymiarze religijnym, kulturowym i społecznym.

Jednym z najpiękniejszych świadectw oddziaływania reformacji na społeczność Mazurów był *Kancjonał mazurski*. Warto pamiętać, że przed pięcioma wiekami było wielkie społeczne oczekiwanie na odnowę w zachodnim Kościele chrześcijańskim. Wystąpienie księdza doktora teologii Uniwersytetu Wittenberskiego Marcina Lutra przeciw kupczeniu odpustami uznaje się za początek reformacji. Nie był sam. Reformację przeprowadzali byli katolicycy biskupi, księża, zakonnicy. Nikomu z nich nie chodziło o rozbicie jedności Kościoła, ale o jego odnowę w duchu nauki Pisma Świętego.

W nauczaniu i w życiu liturgicznym zaniechano dotychczasowej praktyki (m. in. kultu świętych), czemu wyraźnie sprzeciwiało się Pismo Święte, które uznaje się za jedyny autorytet nauki chrześcijańskiej i objawienia Boga w Jezusie Chrystusie. Tak było i w państwie krzyżackim, a więc i na terenie dzisiejszych Mazur. Za odnowę życia religijnego opowiedział się w Królewcu, jeszcze przed sekularyzacją zakonu, katolicki biskup Jerzy Polentz. Po hołdzie krakowskim również księciu Albrechtowi zależało na odnowie chrześcijańskiego życia w Księstwie Pruskim. Troszczył się o to, aby Słowo Boże było głoszone czysto i w zrozumiałym dla ludu języku. W jego Księstwie żyli nie tylko Niemcy, lecz także ludzie mówiący po polsku, litewsku, a nawet ci, którzy posługiwali się jeszcze językiem staropruskim. Lud miał się kierować w swoim życiu prawdami Ewangelii Chrystusowej, a nie żyć w nieświadomości i zabobonie. Otwarcie się na języki narodowe dało nowy impuls do rozwoju szkolnictwa, piśmiennictwa, a w konsekwencji także do ludowej twórczości.

Śpiew pieśni religijnych, opartych na treści Ewangelii, pomagał w krzewieniu prawd wiary i kształtowaniu odpowiedzialnego życia. Reformatorzy akcentowali udział całego zboru w liturgii nabożeństwa. Profesor Janusz Małek napisał: „Czymś całkowicie nowym dla pierwszej połowy XVI stulecia był zbor śpiewający w swoim ojczystym języku”. Luter uważał nawet, że muzyka potrafi bardziej oddziaływać niż słowo mówione. Pieśń kościelna winna być instrumentem w głoszeniu Słowa Bożego dokładnie tak, jak kazanie. Od samego początku także w Księstwie Pruskim powstawały śpiewniki i pieśni nie tylko dla chórów, lecz także dla zboru. Pisano i komponowano pieśni w języku ludu lub tłumaczono je, aby w ojczystym języku można było śpiewać Bogu na chwałę, a sobie ku duchowemu zbudowaniu.

Kancjonał Wasiańskiego opracowany przez nidzickiego księdza, wydany po raz pierwszy już po jego śmierci, był najbardziej powszechną książką wśród Mazurów i – obok Biblii oraz postylli – najcenniejszym skarbem domowym. Z tym kancjonałem Mazur obcował od najmłodszych lat (w szkole, kościele, domu, podczas wszystkich uroczystości) i z nim umierał, zabierał do grobu. Był to swego rodzaju elementarz chrześcijanina i zarazem podręcznik ewangelickiej dogmatyki.

Trzymając dziś w ręce reprint tego kancjonału, winniśmy sobie uświadomić, jak bardzo ewangelicki lud mazurski był przywiązany do swojego Kościoła i do polskiego języka. Nie jest w tym kancjonałe nasz współczesny język polski, ale język staropolski – z epoki Kochanowskiego i Reja. Nie jest też nam łatwo go czytać, bo był drukowany nieużywanym obecnie pismem gotyckim. Nie ma jednak żadnej wątpliwości, że Mazurzy śpiewali i modlili się po polsku, czego dowodem jest właśnie *Kancjonał mazurski*. Potwierdza on jednocześnie, że nie można identyfikować wyznania z tą czy inną narodowością.

RUDOLF BAŻANOWSKI



Czemu wątpię w uczciwość filmu „Pokot”

„Pokot” Agnieszki Holland został wystawiony do Oskara. Wątpię w uczciwość tego filmu, jak pisałem wkrótce po premierze...

Pokot Agnieszki Holland to strzał w wojnie kulturowej oddany w polski katolicyzm i prowincję. Strzał uznano w Berlinie za celny, stąd nagroda od niemieckich sojuszników. Statuetka im. Alfreda Bauera dawana jest za filmy ukazujące „nowe perspektywy”. Niech mi będzie wolno wskazać perspektywę szerszą. Może tym zachęcę byśmy razem napisali scenariusz kolejnego filmu o okrucieństwie wobec żywych istot.

Motywy „Pokotu” jest potępienie myśliwych, którzy zabijają zwierzęta dla rozrywki. Jako uzasadnienie barbarzyństwa ksiądz podaje z ambony cytat biblijny „czyńcie sobie ziemię poddaną”, nakaz dany przez Boga pierwszym rodzicom. Ksiądz jest myśliwym, a więc ginie za karę w spalonym kościele. Zostają zabici także inni myśliwi z elity polskiej prowincji. Jeżeli rozumiem język kina, to zakończenie filmu pochwała owe zabójstwa.

Agnieszka Holland pokazała mszę myśliwych we wnętrzu kościelnym, ze świętymi obrazami, a w zbliżeniach chór chłopięcy śpiewający „pojedziemy na łów towarzyszu mój”. Bezmyślne polskie dzieci nie słyszą, że wzywają do rzezi. Jednak w drugiej części fabuły nie odważyła się pokazać, jak płonie wnętrze kościelne i ksiądz. Pożar widać z daleka w planie ogólnym z informacją w dialogu, że płonie kościół. Twarz księdza miga w popiołach w bardzo krótkim zbliżeniu. Pani Agnieszka dopiero bada grunt.

Zobaczymy, jak daleko można się posunąć. „Czyńcie sobie ziemię poddaną” nie pochodzi z *Nowego Testamentu*, jak mimochodem sugeruje reżyserka. Jest cytatem *Księgi Rodzaju* należącej do *Pięcioksiągu Mojżeszowego*, podstawy judaizmu, skąd przeszedł do tradycji chrześcijańskiej. Wspomnijmy więc ubój koszerne. To zadanie zwierzęciu jednego cięcia nożem po przelyku i arterii. Zwierzę nie może być



Na planie filmu „Pokot”

FOT. ROBERT PALKA / SF TOR



ogłuszone, jak przy zwykłym uboju. Wije się z przerażenia w pełni świadome powolnej śmierci od upływu krwi. Trybunał Konstytucyjny uznał „ubój rytualny” za okrutny i sprzeczny z konstytucją w roku 2004. Ale dziesięć lat później zmienił zdanie.

Szacuje się, że kilkadziesiąt tysięcy ton wołowiny rocznie na eksport pochodzi z uboju rytualnego ważnego też dla muzułmanów, czyli kilkaset tysięcy wołów i krów. A Polski Związek Łowiecki podaje, że rocznie ginie na polowaniach 850 tysięcy różnych zwierząt. Myślistwo i ubój rytualny mają ten sam rząd wielkości. Agnieszka Holland powinna więc spalić nie tylko kościół z księdzem ale również meczet z imamem i synagogę z rabinem. Znajdzie się smętna pieśń żydowska do ilustracji muzycznej. Nasza artystka moralistka światowej sławy powinna przyjąć globalną perspektywę.

Ale czemu nie posunąć się dalej w kinie dla walki z okrucieństwem? Najważniejsze w judaizmie święto Paschy wspomina wymordowanie przez Jehowę pierworodnych dzieci Egipcjan, aby zmusić faraona do wypuszczenia Żydów z niewoli. Ludobójstwo dzieci jest tak wstrętne, że Ridley Scott w filmie o Mojżeszu schował tę dziesiątą plagę, chociaż była decydująca dla złamania faraona. To jest materiał dla naszej artystki moralistki. Niechby zbadała, co zachodzi w psychice ludu od tysięcy lat czczącego takie wydarzenie.

Ale dlaczego na tym poprzestać, gdy jest więcej materiału do rewizji moralnej. Święto Purim wspomina królową Ester. W czasie śmiertelnego zagrożenia dla Żydów ujawniła mężowi, że jest Żydówką i wyprosiła ocalenie dla swojego ludu. Król zezwolił Żydom na zabicie przewencyjne 75 tysięcy podejrzewanych o wrogie zamiary. Zaś chrześcijaństwo głosi przebaczenie wrogom. Jest tu też podskórny przekaz, by uważać w stosunkach z Żydami; nigdy nie wiadomo, jak wysoko mają postawionych rodaków i przyjaciół.

Agnieszko, po starej przyjaźni usiądźmy do pisania scenariusza. Każde z nas wniesie własny punkt widzenia. Jak dialog to dialog, jak chucpa to chucpa. I pokażmy nasz ładny film w postępowym Berlinie. Nie będą chcieli takiej „nowej perspektywy”? Niemożliwe! To może chociaż dostaniemy Oskara?

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI

Medialna galaktyka Marshalla McLuhana

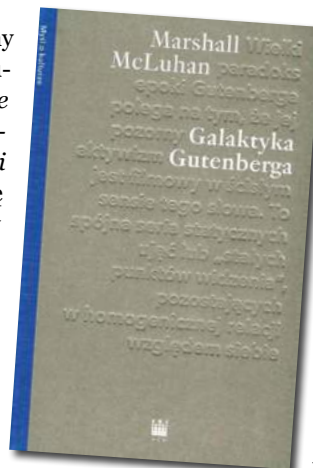
Marshall McLuhan (1911-1980), uważany jest za jednego z najważniejszych, a przy tym na pewno najgłośniejszych myślicieli współczesności, którego poglądy wywarły olbrzymi wpływ na kształtowanie się wiedzy o mediach.

Dzięki staraniom Narodowego Centrum Kultury ukazało się właśnie pierwsze pełne polskie wydanie jego fundamentalnego dzieła, jakim jest bez wątpienia *Galaktyka Gutenberga* (Warszawa 2017, ss. 467), dodajmy – po pięćdziesięciu pięciu latach od pierwodruku, co stwarza niepowtarzalną okazję ponownego przyjrzenia się naukowemu podejściu do problematyki mediów w ujęciu tego niezwykłego intelektualisty z Kanady, który stał się niemalże guru zwolenników nowoczesnych technologii komunikacyjnych.

Jak stwierdza Grzegorz Godlewski we Wstępie do polskiego wydania, dorobek McLuhana, myśliciela głęboko osadzonego w kulturowych realiach lat 60. XX wieku, poddany ponownej, lecz niejako „pierwszej” lekturze, nie tylko wytrzymuje tę próbę, ale też „odslania wiele zapoznanych bądź w ogóle niedostrzeganych wcześniej walorów” (s. 10). *Galaktyka Gutenberga* to bodaj najgłośniejsza z jego prac, uznawana za jego najlepszą książkę. Polscy czytelnicy przez wiele lat nie mogli zapoznać się z myślą McLuhana, znali ją tylko z zapośredniczonych relacji innych autorów, cytujących z angielskiego oryginału główne sformułowania badacza. Zaległości w tym zakresie zaczęliśmy nadrabiać bardzo późno, gdyż dopiero w 2001 roku ukazał się *Wybór tekstów* przygotowany przez syna McLuhana – Eryka i Franka Zingrone. W tym też roku pojawiła się pierwsza monografia całego dorobku Kanadyjczyka autorstwa Krzysztofa Loski *Dziedzictwo McLuhana. Między nowoczesnością a ponowoczesnością*. W 2006 roku do oceny recepcji jego

twórczości dołożył swój skromny wkład piszący te słowa, redagując monografię *Definiowanie McLuhana: media a perspektywy rozwoju rzeczywistości wirtualnej*, która ukazała się na rynku wydawniczym przy wydatnej pomocy Ambasady Kanady w Polsce.

Kształtowanie się nowej rzeczywistości medialno-elektronicznej McLuhan opisywał językiem barwnym, plastycznym, pełnym metafor, już tylko swoim stylem pisarskim wywołując niechęć u jego adwersarzy. Przypomnijmy, iż jego teoria lokowana jest w zakresie tzw. determinizmu technologicznego, przypisującą znaczącą rolę mediom masowym nie tylko w procesie komunikowania się, ale też organizacji całego społeczeństwa. W analizie naukowej determiniści uprzywilejowaną pozycję przyznawali technologii stosowanej przez media dominujące w danej epoce historycznej, stąd pochodzą sformułowania deterministów technologicznych, że technika stanowi „przedłużenie ludzkich organów naturalnych”, co zaproponował McLuhan. Dyskurs naukowy McLuhana bardziej przypomina awangardową poezję niż tok naukowego studium, gdzie cyfry, tabele, wykresy, procenty, „twarde dane” statystyczne przesłaniają niejednokrotnie wywód i treść. Jego pisarstwo jest wciąż porywające, miało za zadanie od pierwszych stron zaciekać potencjalnego czytelnika, a nie być oschłą lekturą, zrozumiałą jedynie dla niewielkiego, elitarnego kręgu odbiorców. Między innymi z tego powodu *Galaktyka Gutenberga* odniosła spory sukces rynkowy, rozchodząc się w stu tysięcy nakładzie wydaw-



niczym. O tego typu popularności ówczesni naukowcy mogli tylko marzyć, zadowolając się niewielkimi nakładami swoich książek.

Jedną z najbardziej znanych koncepcji McLuhana, opisująca globalną wioskę, stała się wartością na skalę światową, wchodząc do obiegu w licznych, popularnych wypowiedziach dziennikarskich, literackich oraz

zwykłych dialogach ludzi, wciąż jest warta pogłębionych analiz oraz studiów na ten temat. Badacz był katolikiem o wielkiej misjonarskiej pasji i wyobrażał sobie, że nowe medium – telewizja uczyni nas wszystkich braćmi żyjącymi w jednej „wspólnocie wiary”. To określenie, powtarzane dziś bez zastanowienia, okazało się jedną z większych pomyłek współczesnej kultury, bo istota wioski polega na tym, że jej mieszkańcy znają się blisko, dzielą wspólny los, obcują ze sobą, ale czy taki jest współczesny świat?

Jaka jest jednak trwała wartość dorobku Marshalla McLuhana w XXI wieku, przy założeniu, że wyznawany przez niego „twardy” determinizm technologiczno-medialny odszedł już do lamusa historii? Oraz najważniejsze pytanie, w dobie mediów społecznościowych: czy ustalone wówczas poglądy, głoszone głównie na podstawie analiz dominującego wówczas medium, jakim była telewizja, w odmiennym od dzisiejszego środowiska komunikacyjnego infrastrukturze informacyjnej, w którym najważniejszą rolę odgrywa Internet, mogą jeszcze inspirować poznawczo? Odpowiedzi niechaj udzieli lektura fascynującej *Galaktyki Gutenberga*.

MAREK SOKOŁOWSKI

Okiem satyryka

Nowy zarząd

Przyszła wreszcie taka pora,
Że jesteśmy po wyborach.
Co się zmieni? Czas pokaże,
A ocenią dziennikarze,
Więc nie strzępię tu jęzora.

Trudny wybór

Będą zmiany w ordynacji.
Każdy broni swoich racji,
I pod siebie prawo zmienia,
Nie pytając suwerena.
Wszystko w imię demokracji.

Drodzy Czytelnicy, „Bez Wierszówki” znajdziecie...

Placówki Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

SDP Dom Dziennikarza przy Foksal (Warszawa, ul. Foksal 3/5)
Dom Pracy Twórczej SDP (Kazimierz Dolny, ul. Małachowskiego 17)
Siedziby oddziałów SDP w całym kraju

Redakcja Śląskiej Telewizji Miejskiej

STM Świętochłowice, ul. Kubiny 5

Księgarnie „Książnicy Polskiej” oraz księgarnie partnerskie

Olsztyn, pl. Jana Pawła II nr 3/5 (Centrum Książki)
Olsztyn, ul. Jagiellońska 33/82 (Orion)
Olsztyn, ul. Kołobrzeska 5 (Logos)
Bartoszyce, pl. Konstytucji 3 Maja 8 (Wena)
Bolesławiec, Rynek 28 (Agora)
Działdowo, ul. Mickiewicza 27 (ABC)
Ełk, pl. Miejski 1 (Melanż)
Ełk, ul. Mickiewicza 19 (Mentor)
Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 128 (Edukacja)
Giżycko, ul. Warszawska 2 (Odeon)
Gorzów Wielkopolski, ul. Hawelańska 9/10 (Versus)
Iława, ul. Niepodległości 2 (Metis)
Kętrzyn, ul. Sikorskiego 20/1A (Verso)
Korsze, ul. Mickiewicza 12 (Merkuriusz)
Kraków, al. Tadeusza Bora-Komorowskiego 41 (Centrum Serenada)
Lidzbark Warmiński, ul. Powstańców Warszawy 14
Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 39 (Tales)
Mińsk Mazowiecki, ul. Kościuszki 2 (Bajka)
Morąg, ul. 3 Maja 4 (Wiedza)
Mrągowo, ul. Ratuszowa 4 (Współczesna)
Nidzica, ul. 30-lecia 4 (Errata)
Nowy Sącz, ul. Węgierska 170 (Galeria Sandecja)
Oborniki Wielkopolskie, ul. Piłsudskiego 19 (Akapit)
Ostrołęka, ul. Gorbatowa 28 (Jantar)
Ostróda, ul. Czarnieckiego 25 (Popularna)
Ostróda, ul. Czarnieckiego 32 (Impuls)
Ostróda, ul. Zamkowa 2 (Lexica)
Poznań, ul. Baraniaka 8 (CH Malta)
Poznań, al. Marcinkowskiego 21 (Jedynka)
Przasnysz, ul. Rynek 14 (Pegaz)
Siedlce, ul. Piłsudskiego 6 (Świt)
Szczecin, ul. Hołdu Pruskiego 8 (Zamkowa)
Szczytno, ul. Polska 1 (Fraszka)
Świdnik, ul. Wyszyńskiego 17 (Bumerang)
Tarnów, ul. Słoneczna 29-33 (Planeta)
Tomaszów Mazowiecki, pl. Kościuszki 26 (Czytaj-Cafe)
Warszawa, ul. Górczewska 212/226 (Sylabus)
Warszawa, ul. Świętokrzyska 14 (Na Świętokrzyskiej)
Warszawa, ul. Zamieniecka 80 (Orbita)
Wrocław, ul. Świdnicka 49 (Pod Arkadami)
Zabrze, ul. Wolności 299 (Victoria)

Warszawskie placówki Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

Warszawa, ul. Łomianańska 5 (Biuro Zarządu Fundacji)
Warszawa, ul. Grzybowska 4 lok. 9A (Ośrodek Rehabilitacji CEMICUS)
Warszawa, ul. Grzybowska 4 lok. 210 i 211 (Hostel dla Podopiecznych)
Warszawa, ul. Klaudydy 6 lok. 119 (Hostel dla Podopiecznych)
Warszawa, ul. Pańska 96 lok. 201 (Ośrodek Rehabilitacji BIOMICUS)
Warszawa, ul. Pańska 96 m. 36 (Hostel dla Podopiecznych)
Warszawa, ul. Pańska 98, lok. 201 (Biuro Obsługi Beneficjenta)
Warszawa, ul. Słowackiego 12 (Ośrodek Rehabilitacji AMICUS)
Warszawa, ul. Żelazna 41 lok. 12 (Hostel dla Podopiecznych)

bezwierszówki

Miesięcznik społeczno-kulturalny
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

ISSN 1732-7237

REDAKTOR NACZELNY

Ireneusz Stanisław Bruski
tel. 531 507 527
e-mail: bezwierszowki@wp.pl

WSPÓŁPRACA AUTORSKA

Jerzy Biernacki (Warszawa)
Tadeusz Brzeski (Olsztyn)
Andrzej Zbigniew Brzozowski (Olsztyn)
Małgorzata Chomicz (Perugia)
Henryk Falkowski (Olsztyn)
Witold Gadowski (Kraków)
Wojciech Goljat (Olsztyn)
Anna Grelewska (Warszawa)
Jerzy Jachowicz (Warszawa)
Krzysztof Kłopotowski (Nowy Jork)
Bogdan Krawczyk (Warszawa)
Elżbieta Królikowska-Avis (Londyn)
Wojciech Piotr Kwiatek (Warszawa)
Anna Mieszczanek (Warszawa)
Jerzy Leszek Okuniewski (Olsztyn)
Marek Palczewski (Łódź)
Joanna Paszkiewicz-Jägers (Groningen)
Ewa Pustelnik (Warszawa)
Monika Sadowa (Warszawa)
Marek Sokołowski (Olsztyn)
Błażej Torański (Łódź)
Stefan Truszczyński (Warszawa)
Jacek Wegner (Warszawa)
Zenon Złakowski (Olsztyn)

DTP

Marcelina Gorzka

ADRES REDAKCJI

(do korespondencji)
11-041 Olsztyn
ul. Hozjusza 12 m. 3

WYDAWCA

Warmińsko-Mazurski Oddział
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
10-162 Olsztyn
ul. Nowowiejskiego 5
Rachunek bankowy: Bank Pekao S. A.
nr 40 1240 5598 1111 0000 5031 6164

DRUK

Przedsiębiorstwo Poligraficzne HAKUS
Maria i Andrzej Kuśmierczyk S. J.
11-041 Olsztyn
ul. Hozjusza 11
www.hakus.pl

Nakład – 5 000 egzemplarzy
Numer zamknięto 30 listopada 2017 roku



Podaruj 1% podatku

Fundacja Dzieciom „Zdażyć z Pomocą”

KRS 0000037904

1% podatku przeznaczamy na:

- pomoc dla ponad 32 000 chorych i niepełnosprawnych dzieci z całego kraju
 - refundację kosztów związanych z leczeniem i rehabilitacją
- prowadzenie trzech ośrodków rehabilitacji: AMICUS, BIOMICUS i CEMICUS oraz pięciu hosteli w Warszawie, z których korzystają podopieczni Fundacji

Przez cały rok darowizny można przekazywać na konto:

41 2490 0005 0000 4600 6116 6530



